Nie mam kompleksu wieku...

Z IRENĄ SANTOR — rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Przyjechała do Łodzi w poniedziałek, 26 września br., na cykl koncertów z programem „Bądźmy razem", który zaprezentuje amerykańskiej i kanadyjskiej Polonii.

Pierwsza dama polskiej piosenki, o której najczęściej pisano bardziej jak o relikwii aniżeli żywej osobie. Nigdy nie szokowała, nie była bohaterką skandali, życia prywatnego strzegła w wywiadach jak tabu. Może dlatego wydawała mi się nieciekawa jako rozmówczyni, a może to ja nie potrafiłem znaleźć klucza do jej ciekawej, niebanalnej osobowości, którą aby naprawdę poznać, odkryć (publicznie też) należy prześledzić jej wspaniałą karierę, porozmawiać z nią przez kilka godzin. Po dziennikarsku i prywatnie.

Nie ukrywa, że bała się tego spotkania, ale w rozmowie dla Czytelników „Odgłosów" niczego nie ukrywała, nie nakładała masek, nie grała.

IRENA SANTOR tak jak na estradzie, w telewizji, w radio lub na płytach, tak i prywatnie jest przede wszystkim sobą, skromną myślącą, przemiłą, serdecznie roześmianą kobietą, która nie ujmuje sobie lat. Pokazuje się bez cienia makijażu, w okularach, zwyczajna i niezwyczajna, bezpośrednia i wzbudzająca szacunek, podziw, serdeczną dla ludzi i świata. Nasza „Syrenka" i jednocześnie niekoronowana królowa polskiej piosenki, wielka gwiazda i zwyczajna kobieta. Po prostu — **IRENA SANTOR.**

☆ ★ ☆

— Nie była pani obecna na jubileuszowym FPP w Opolu?

— Na to pytanie odpowiem panu tak samo jak odpowiedziałam organizatorom „Opola — 83", którzy nie chcieli mi uwierzyć i doszukiwali się podtekstów. Uważam, że festiwalowa estrada należy do młodych ludzi. Uprawiając ten zawód jest się ciągle pod pręgierzem ocen, wciąż się z kimś konkuruje, powstaje problem: wygram czy przegram? Sądzę, że pora zakończyć festiwalowy rozdział w mojej karierze. Przykro mi tylko z powodu podtekstów.

— A może bała się pani, że posadzą ją w Opolu na zabytkowym fotelu, na środku sceny jak dostojną, zasłużoną jubilatkę, tak jak to zrobiono z Marylą Rodowicz i Zdzisławą Sośnicką, które jednak są od pani młodsze?

— O nie! Mam poczucie humoru i starzeję się właśnie z poczuciem humoru. Nie mam kompleksu wieku, w tym względzie jestem nowoczesną kobietą, która uważa, że ma się tyle lat ile się ma. W przypadku pani Rodowicz i pani Sośnickiej to był żart, w moim — potraktowano by to na serio.

— Nie słychać pani nowych piosenek na radiowej i telewizyjnej antenie, „chodzą" same starocie?

— Istotnie, nie nagrywałam dość dawno niczego nowego dla radia i telewizji. Ale faktem jest, że ostatnie nagrania nie pojawiają się na antenie. więc? Polskie Nagrania mają moje dwie nowe, duże płyty, które czekają na wydanie. Jedna od 4 lat, druga od 2. Więc po co mam nagrywać nowe piosenki? Mam nowy repertuar, bo zawsze go uzupełniam. Do nagrań radiowych planuję się zabrać po powrocie z USA i Kanady.

— Nie pisze się o pani i nie pokazuje na zdjęciach w kolorowych i czarno-białych czasopismach?

— To już nie moja wina, te sprawy należą do pana.

— Nie ma pani nowego przeboju?

10

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 47 (1338) ROK XXVI 19 LISTOPADA 1983 ROKU CENA 15

R — jak rock ○ Z uśmiechem do klienta ○ Wiosną Widzew będzie nie do poznania ○ Kalejdoskop ○ Raz w roku w Skiroławkach ○ 75 lat ŁKS ○ Kompleks Otella

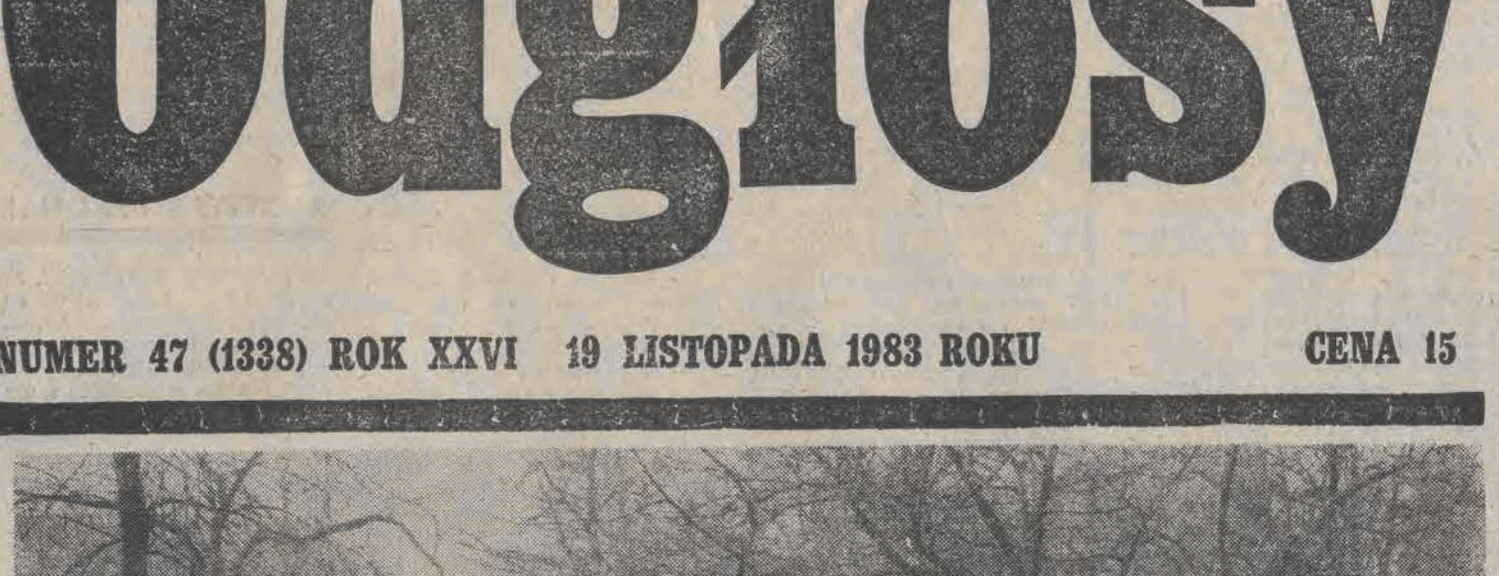

Foto: Mirosław Zajdler

Kształt przyszłości zawarty w minionym

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

I. Rzeczywistość można opisywać, ale to już nie wystarcza. Trzeba ją zmieniać. Dążyć do tego, aby usuwać z rzeczywistości wszystko to, co jest złe, co przeszkadza postępowi, co hamuje rozwój rzeczywistości. Aby spełniać taki postulat należy kierować się krytycyzmem.

Między krytycyzmem a krytykanctwem istnieje zasadnicza różnica. Krytykanctwo jest niczym innym, jak nierzeczową, a więc nie opartą na faktach, nieuzasadniona krytyką. Krytycyzm jest to zdolność do właściwej oceny ludzi i zjawisk, jest to umiejętność dostrzegania zarówno zalet, wad, jak i błędów popełnianych w trakcie działania, jest to postawa przeciwstawna dogmatyzmowi, zmuszająca do sprawdzania wszelkich twierdzeń przed ich uznaniem, do konfrontacji teorii z praktyką.

Krytycyzm jest też umiejętnością stawiania właściwych pytań, od odpowiedzi na które zależy ocena rzeczywistości. Powinniśmy bowiem zawsze pytać, czy to, co zrobiliśmy to jest maksimum tego, co mogliśmy osiągnąć przy aktualnym poziomie organizacji, techniki, umiejętności, wiedzy, czy tylko minimum. Jest to pytanie o umiejętność przekształcania marzeń w programy i umiejętność ich realizacji. Jest to pytanie dotyczące nie tylko aktualnego naszego działania, ale i przeszłości. I w jednej, i drugiej dziedzinie jest to jednakowo ważne.

II. *„Naczelnym zadaniem pracy ideowo-wychowawczej partii* — głosi uchwała IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR — *jest pogłębianie politycznej i historycznej samowiedzy narodu".* W kształtowaniu tej samowiedzy narodu niezwykle ważne jest krytyczne podejście do naszej najbliższej przyszłości. Ważne jest dlatego, że powinniśmy odpowiedzieć na pytanie, czy w określonych warunkach historycznych — a więc organizacyjnych, technicznych, materialnych — dokonaliśmy tyle, ile mogliśmy, czy mniej. A jeśli mniej, to dlaczego. Oceny tej powinniśmy dokonać w oparciu o marksistowskie, dialektyczne, klasowe kryteria.

„Nauka nasza — pisał Włodzimierz Lenin powołując się na Fryderyka Engelsa i Karola Marksa — *nie jest dogmatem, lecz wytyczną działania. W tej klasycznej tezie z niezwykłą siłą i wyrazistością podkreślona została ta strona marksizmu, któ-*

3

Skandal w ośrodku zdrowia

EDWARD BRYL

Najgorsi są ci, co potrafią tak wyłudzać pieniądze, aby pacjenci byli zadowoleni. Spekulują wszelkimi możliwościami zawodu, nacią gają łatwowiernych, potrzebujących pomocy. Najczęściej zdarza się to na wsi. Prawdą jest, że tutaj lekarz z reguły liczy na szybki dorobek. A przecież na początek otrzymuje niemało — komfortowe mieszkanie, talon na samochód, najwyższą pensję, dodatki, sporą sumę na zagospodarowanie. Mimo to dla wielu jest to ciągle za mało. Szczególnie dobre warunki prosperity dla wszelkiego rodzaju cwaniaków powstały na terenie woj. łódzkiego. Polityka wyciszania wszelkich afer (np. głośna sprawa Domu Opieki Społecznej w Wiśniowej Górze, gdzie głodzono i bito psychicznie chorych), prowadzona od lat przez Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi, wytworzyła swego rodzaju barierę ochronną dla mało odpowiedzialnych, nieuczciwych.

I sekretarz KG PZPR w Ozorkowie, *Jan Marlicki:*

— Sprawa doktora Jerzego Krawczyka z wiejskiego ośrodka zdrowia w Leśmierzu, niejednokrotnie wypływała na posiedzeniach egzekutywy. Informowaliśmy o sytuacji lekarza wojewódzkiego w Łodzi, dyrekcję ZOZ w Zgierzu. Wszystko bez skutku. Odnoszę wrażenie, że doktor chroniony jest przez ZOZ, konkretnie przez dyrektora Marcela Franca, który zwykł do nas mawiać — „nie macie dowodów, kto go za rękę złapał?" Nawet jeśliby się znalazły, to co ja z nim zrobię, gdzie go poślę?

Elżbieta Gieraga — naczelnik gminy Ozorków:

— To, że doktor Krawczyk leczy za pieniądze, kury, kaczki jest już publiczną tajemnicą. Nawet na dożynkach ludzie o tym śpiewają. Wzywałam lekarza na rozmowę. Kategorycznie zaprzeczył wszystkiemu. Uniósł się gniewem, zażądał nazwisk, faktów. Ludzie są zastraszeni, nie chcą składać skarg na piśmie, nie dają nam argumentów do ręki. Jesteśmy bezsilni.

Jerzy Smolewski — dyr. PGR w Leśmierzu:

— Jedna czwarta załogi na okrągło jest na zwolnieniu. Wiem że druki L-4 otrzymują na żądanie, wszyscy o tym wiedzą. Jak pracownik nie dostanie dnia wolnego, najczęściej się odgraża — „jest jeszcze lekarz w Leśmierzu". I następnego dnia do kadr rzeczywiście wpływa zwolnienie. Dużo przychodzi z datą wsteczną dla pija-

6

Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem

JOHN REED

Około południa byłem już znów przed Smolnym. Rozmawiałem z kierowcą ambulansu mającego jechać na front rewolucyjny. Czy mógłbym z nim pojechać? Ależ oczywiście! Był on ochotnikiem, studentem. Po drodze odwrócił do mnie głowę i przez ramię zawołał potworną niemczyzną:

— Also, gut! Wir nach die Kasernen zu essen gehen!

Domyśliłem się, że ma zamiar zjeść coś w koszarach.

Na Kirocznej wjechaliśmy w ogromne podwórze, otoczone zabudowaniami wojskowymi. Po ciemnych schodach weszliśmy na górę i znaleźliśmy się w niskim pokoju oświetlonym jednym oknem. Za długim drewnianym stołem siedziało z dwudziestu żołnierzy, jedzących drewnianymi łyżkami kapuśniak z blaszanego kotła. Rozmawiali i śmiali się głośno.

— Czołem komitetowi szóstego rezerwowego batalionu inżynierii! — zawołał mój towarzysz i przedstawił mnie jako socjalistę amerykańskiego, na co wszyscy powstali i zaczęli ściskać moją rękę, a pewien stary żołnierz objął mnie nawet i serdecznie ucałował. Dali mi drewnianą łyżkę i posadzili przy stole. Zjawił się nowy kocioł, tym razem pełen kaszy, ogromny bochen czarnego chleba, no i oczywiście nieunikniony czajnik. Ze wszystkich stron zaczęto mnie zasypywać pytaniami o Amerykę. Czy to prawda, że w wolnym kraju ludzie sprzedają głosy za pieniądze? Jeżeli prawda, to w jaki sposób lud osiąga swoje pragnienia? A co to jest Tammany? Czy to prawda, że w wolnym kraju garstka ludzi może trzymać całym miastem i wykorzystywać je dla swoich celów? Jakże lud może to znieść? W Rosji tego nie było nawet za carskich czasów! Ucisku tutaj nie brakowało, to prawda, ale kupować i sprzedawać całe miasta, zamieszkane przez masy ludowe?! I to w wolnym kraju?! Czy lud w Ameryce nie posiada wcale ducha rewolucyjnego?

Usiłowałem im wytłumaczyć, że lud w moim kraju próbuje zmienić stan rzeczy drogą prawną.

— Oczywiście — przytaknął młody sierżant Bakłanow, mówiący po francusku. — Ale przecież posiadacie bardzo silną klasę kapitalistyczną, która wobec tego niewątpliwie trzyma w ręku i prawodawstwo, i sądownictwo. Jakże lud może zmienić istniejący stan rzeczy? Naturalnie mogę się mylić, bo nie znam waszego kraju, ale przyznam, że to jest dla mnie mało prawdopodobne...

Powiedziałem, że jadę do Carskiego Sioła.

— I ja też — rzekł nagle Bakłanow.

— I ja! I ja! — Wszyscy naraz postanowili jechać do Carskiego.

Wtem drzwi się uchyliły i zjawiła się w nich postać pułkownika. Nikt nie wstał, ale wszyscy powitali go głośno.

— Można? — zapytał pułkownik.

— Prosim! Prosim! — serdecznie odpowiedzieli żołnierze.

Pułkownik wszedł uśmiechając się. Był to wysoki, dobrze prezentujący się oficer w czapce z koźlego futra, haftowanej złotem.

— Słyszałem, jak mówiliście, że jedziecie do Carskiego Sioła — rzekł. — Czy nie mógłbym i ja pojechać?

Bakłanow zastanowił się.

— Sądzę, że tu nie ma nic specjalnie ważnego dzisiaj — odpowiedział. — Jedźcie z nami, towarzyszu. Będzie nam bardzo przyjemnie.

Pułkownik podziękował, usiadł i nalał sobie herbaty. Bakłanow udzielił mu wyjaśnień szeptem, nie chcąc zadrasnąć dumy pułkownika.

4

Przegląd prasy

Tak się złożyło, że kalendarz nasz historyczny pełen jest rocznic. Jedne pomijamy milczeniem, o innych tylko wspominamy, a jeszcze o innych piszemy szeroko. Zastanawiam się często, czy nie jest tych rocznic za dużo, czy nie przesadzamy z ich świętowaniem. Ale argumenty przemawiają zarówno za tym, jak i przeciw temu. Rosną i dojrzewają przecież nowe pokolenia, trzeba im pewne fakty z historii uświadamiać, trzeba ich tego uczyć. Powtarzanie jest matką nauki, więc powtarzanie uparte tych samych faktów może mieć też sens wychowawczy. Z drugiej strony — nie wolno zapominać, że walka polityczna obejmuje również przeszłość, że przedmiotem sporów politycznych i ideowych są różne wydarzenia z naszej historii. Pomijać przeszłości, a więc i rocznic, nie można. Tylko, że tu sprawa jest bardziej skomplikowana. Powtarzanie tego samego nie jest już argumentem w walce politycznej, trzeba odpowiadać na ataki i pomówienia, na interpretacje przeciwnika, a tego nie spełnią publikacje przypominające tylko fakty. Czytelnik mający orientację w historii szuka dziś czegoś nowego, chce wzbogacić swoją wiedzę, pragnie odpowiedzi na nurtujące go pytania. Sięga więc do czasopism, aby znaleźć tam coś, co może wzbogacić jego wiedzę o przeszłości. Z taką propozycją wystąpił na przykład „TYGODNIK KULTURALNY" (nr 46 z 13 listopada 1983 r.) publikując fragment przygotowywanej do druku książki Jana Borkowskiego pt. *„Od Witosa do Mikołajczyka. Ludowcy w II Rzeczypospolitej"*. Przytoczony fragment mówi o tym,

JAKI BYŁ STOSUNEK WINCENTEGO WITOSA DO RZĄDU LUBELSKIEGO

A nie jest to rzecz bez znaczenia, gdyż do tej pory — jak pisze Jan Borkowski — twierdziło się, iż Wincenty Witos *„odmówił wejścia do rządu Daszyńskiego, a później Moraczewskiego z powodu radykalizmu ich programu"*. Zdaniem J. Borkowskiego zarzut ten jest *„bezpodstawny"*.

W październiku 1918 roku dokonuje się w Galicji zjednoczenie różnych ugrupowań politycznych, którego celem jest odbudowa państwa polskiego. 2 października posłowie socjalistyczni, ludowcy i narodowi demokraci zgłosili rezolucję w parlamencie austriackim, postulującą odbudowę Polski obejmującej wszystkie ziemie zamieszkane przez Polaków oraz dostęp do morza. Wraz z przedstawicielami innych ugrupowań politycznych, ale bez konserwatystów, którzy nadal trwali przy monarchii habsburskiej, wypracowano i opublikowano odezwę, którą J. Borkowski nazywa *„manifestem niepodległej Polski"*.

W odezwie tej, jej sygnatariusze, stwierdzili między innymi, że *„nie uznają żadnych zaborów i żadnych granic dzielnicowych, że odrodzona i zjednoczona Polska scali wszystkie ziemie polskie"*. Odrodzona Polska — ich zdaniem — miała mieć ustrój republikański, parlamentarny i demokratyczny. Nazwali ją Polską Ludową, która *„wszystkim obywatelom płci obojga zapewni równouprawnienie i swobody"*. Stanęli na stanowisku przymusowej parcelacji folwarków za odszkodowaniem, *„upaństwowienia większych obszarów leśnych, kopalń, środków komunikacji oraz innych zakładów gospodarczych o dużym znaczeniu narodowym, w tym częściowo banków i handlu"*. Zapowiadali 8-godzinny dzień pracy w przemyśle i górnictwie oraz *„powszechną, świecką i bezpłatną oświatę szkolną"*. Stali na stanowisku *„prawa narodów do samostanowienia"*. Jan Borkowski określa charakter proponowanych reform, jako wybiegający *„poza ramy ustroju kapitalistycznego"* który też *„nosił cechy socjalistyczne"*. Ale co jest najbardziej istotne w tym przypadku, to fakt, że *„deklaracja posłów galicyjskich wyprzedziła o kilka tygodni głośny manifest rządu Daszyńskiego w Lublinie, a treścią nie ustępowała mu w radykalizmie reformatorskim"*.

Dlaczego zatem Wincenty Witos — jak wiemy — w Rządzie Tymczasowym, zwanym Lubelskim, a któremu przewodniczył Ignacy Daszyński, wyznaczony ministrem aprowizacji, teki tej nie przyjął i z pracami tego rządu nic nie chciał mieć wspólnego?

Otóż J. Borkowski uważa, że — po pierwsze — Wincenty Witos nie wzbraniał się współpracować z przedstawicielami innych stronnictw, chociażby w Polskiej Komisji Likwidacyjnej, która powstała w Krakowie 28 października 1918 roku, ale — po drugie — nie chciał brać udziału w imprezach peryferyjnych. W Lublinie złożył on oświadczenie, w którym stwierdził, iż kierownictwo PSL „Piast" *„dało mu mandat do współdziałania przy tworzeniu rządu ogólnopolskiego w Warszawie, nie zaś dzielnicowego w Lublinie"*. Nie ukrywał on obaw, że za przykładem Lublina mogą pójść inne dzielnice polskie, *„co doprowadziłoby do zupełnego rozkawałkowania"* odradzającej się Polski. Były też i inne powody, a mianowicie przeświadczenie, że w Tymczasowym Rządzie Lubelskim przeważają zwolennicy Józefa Piłsudskiego, jeśli nie jawni, to ukryci. Jan Borkowski przypomina, że *„na 14 jego członków, 9 przeszło później do sanacji"*. Ale to stało się później, o tym W. Witos ani mógł wiedzieć, ani przewidywać. Mógł natomiast wiedzieć, że maczał w tym palce tajny Konwent stworzony przez Józefa Piłsudskiego do penetracji innych ugrupowań politycznych.

I jeszcze jest jeden argument, który musi się liczyć. Otóż Jan Borkowski podkreśla, iż Wincenty Witos pragnął, aby w nowo powstających władzach chłopi mieli równoprawną pozycję polityczną i społeczną, aby nie byli traktowani jak ciury. Wychodząc z takiego założenia, nie mógł przyjąć teki ministra aprowizacji, gdyż był to w stosunku do niego, jako przedstawiciela tych, którzy żywią, manewr o wyraźnie negatywnym nastawieniu. Wiadomo, co w ówczesnej sytuacji mógł zrobić minister aprowizacji.

Popularyzacja historii — w moim przekonaniu — to między innymi wchodzenie w głąb pewnych spraw, czasem nawet dość wąskich i wydawać by się mogło fragmentarycznych, a przecież mających ważne i decydujące dla dalszego rozwoju historycznego kraju czy ruchu znaczenie. O takich dwóch sprawach pisze na łamach „ŻYCIA LITERACKIEGO" (nr 46 z 13 listopada 1983 r.) Jan Ptasiński w artykule *„Wzloty i upadki Władysława Gomułki"*. Jest to również fragment przygotowywanej do druku w KAW książki pt. *„Pierwszy z trzech zwrotów, czyli rzecz o Władysławie Gomułce"*. Tym razem Jan Ptasiński prezentuje

STOSUNEK WŁADYSŁAWA GOMUŁKI DO BIURA INFORMACYJNEGO I NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI

W 1947 roku podczas rozmowy Władysława Gomułki z Józefem Stalinem padła propozycja ze strony tego drugiego stworzenia pisma informacyjnego, w którym poszczególne partie mogłyby prezentować swoje stanowiska. Wł. Gomułka propozycję tę aprobował, zastrzegając jedynie, że publikowane materiały mają być zatwierdzone i publikowane na odpowiedzialność kierownictwa poszczególnych partii, a nie kierownictwa tego pisma. Józef Stalin prosił o dyskrecję wokół przygotowań do spotkania, które odbyło się niebawem w Szklarskiej Porębie. Tylko że wówczas okazało się, iż Andriej Żdanow występujący w imieniu WKP(b) przedstawia nie tylko propozycję powołania międzypartyjnego pisma, ale również Biura Informacyjnego, które spełniałoby rolę koordynatora w ruchu komunistycznym i robotniczym, czemu Władysław Gomułka był zdecydowanie przeciwny. Uważał on, że ruch robotniczy od czasów drugiej wojny światowej wszedł na różne, wynikające z historycznych uwarunkowań, drogi i każda partia musi swoje sprawy rozwiązywać na własną odpowiedzialność i budować programy wynikające z narodowych potrzeb i historycznych uwarunkowań. Chciał nawet — w zaistniałej sytuacji — zrezygnować z funkcji sekretarza generalnego KC PPR, ale przekonano go, aby tego nie czynił. Sprzeciwił się natomiast propozycji — już zaakceptowanej przez J. Stalina, z którą do Szklarskiej Poręby przyjechali Andriej Żdanow i Gieorgij Malenkow — aby siedziba Biura Informacyjnego znalazła się w Warszawie. W końcu Biuro Informacyjne wzięli do Belgradu Jugosławianie.

Zastrzeżenia Władysława Gomułki w sprawie Biura Informacyjnego dotarły do Józefa Stalina. Przysłał mu przed opublikowaniem wywiad udzielony w tej sprawie jednemu z zachodnich dziennikarzy, w którym to wywiadzie wyjaśniał, że obecnie kierowanie partiami komunistycznymi przez Biuro Informacyjne byłoby niemożliwe i nierealne. Władysław Gomułka odstąpił od zamiaru rezygnacji z funkcji sekretarza generalnego i podjął się uzasadnienia idei Biura Informacyjnego na plenarnym posiedzeniu KC PPR. Poparł go w tym Jakub Berman, który później zapomniał swoich słów i krytykował stanowisko Władysława Gomułki na przełomie lipca i sierpnia 1948 roku, robiąc mu z tego zarzut nacjonalistycznego stanowiska.

Również w tym czasie poddano krytyce inne stanowisko Władysława Gomułki, a mianowicie w sprawie stosunku partii lewicowych, w tym PPS do niepodległości Polski. Przed faktem zjednoczenia PPR i PPS dyskutowano bowiem o tych tradycjach ruchu robotniczego, które powinny znaleźć się u podstaw nowej partii — PZPR. Władysław Gomułka był za tym, aby do tych tradycji włączyć również właściwą ocenę walki o niepodległość prowadzoną przez PPS. Propozycja taka, jak też ocena stosunku różnych odłamów ruchu robotniczego do tej kwestii wywołała sprzeciw i gorące spory. Jakkolwiek Jan Ptasiński uważa, że Władysław Gomułka nie dokonał pełnej oceny problemu, że nie uniknął pewnych uproszczeń, to przecież z jego oceny wynika jasno widzenie złożoności tych spraw. Widział on zarówno niebezpieczeństwa występujące w rozwoju PPS, jak choćby przenikanie WRN do PPS powojennej, ale i próbował widzieć pozytywy. Nie był to jednak czas sprzyjający takim ocenom, panowały wówczas przede wszystkim uproszczenia i schematy.

Odnotujmy jeszcze gwoli kronikarskiego obowiązku

LIST BARBARY MOŁOJEC

do „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO" (nr 46 z 13 listopada 1983 r.) w sprawie tragicznej śmierci Marcelego Nowotki. Barbara Mołojec domaga się pełnej rehabilitacji swoich braci zamieszanych w ową tragiczną śmierć oraz odbiera wszelką wiarygodność tekstom Antoniego Przygońskiego. Autor cyklu artykułów pod tytułem: *„Władysław Gomułka w latach wojny i okupacji"* odpowiada na postawione przez Barbarę Mołojec zarzuty i podtrzymuje swoje, wcześniej wyrażone, stanowisko.

Sprawa jest niebywale skomplikowana, pełna wątpliwości i pytań, dlatego nie podejmuję się jej omówienia, a zainteresowanych Czytelników odsyłam do tekstu w „Przeglądzie Tygodniowym".

Jak przeszłość splata się z teraźniejszością i jak mylne są wszelkie schematy pokazuje reportaż Zenona Kuleja w „SZTANDARZE MŁODYCH" (nr z 11—13 listopada 1983 r.) pt.

„MUR NA 38 RÓWNOLEŻNIKU"

Wybudowali go Amerykanie w 1979 roku. *„Betonowy mur* — pisze Zenon Kulej — *jest wysoki na 5 metrów, u podstawy liczy 10 m szerokości. Trzeba było zużyć miliony ton cementu dla stworzenia jeszcze jednego faktu pogłębiającego podział narodu koreańskiego na dwa społeczeństwa"*.

Tu przypomnienie: rozejm w Phanmundżon podpisano 27 lipca 1953 roku o godzinie 10. A więc już przeszło 30 lat dzieli Koreę linia demarkacyjna na 38 równoleżniku.

„Samo określenie „38 równoleżnik" — zastrzega Zenon Kulej — *jest nieprecyzyjne. Sugeruje bowiem, że Koreę dzieli prosta linia. Tymczasem granica na zachodzie półwyspu znajduje się nieco na południe od 38 równoleżnika, by następnie — wijąc się w górach — na wschodnim wybrzeżu znaleźć o prawie cały stopień na północ. Tędy właśnie ciągnie się koreański mur, który skutecznie oddziela obie części kraju. Nawet dzikie zwierzęta i ryby nie mogą swobodnie się tu poruszać"*.

Autor znalazł się też na punkcie obserwacyjnym wojsk północnokoreańskich.

„Żołnierzy seulskich ani amerykańskich nie widać. Ich obecność zdradzają tylko gigantofony, przez które nadają dywersyjną audycję, mającą zachęcić żołnierzy KRL-D do zdrady.

— Potrafią i działać inaczej. Czasami przerzucają na naszą stronę ulotki — mówi jeden z podoficerów.

— A co jest na nich?

— Między innymi zdjęcia pornograficzne!

Tę pełną oburzenia odpowiedź trudno zrozumieć, jeżeli ograniczymy się do europejskich kryteriów. Korea zachowała tradycyjną powściągliwość wobec spraw seksu. Miłość traktuje się tam jako prywatną sprawę dwojga osób. Amerykański styl życia nie koresponduje z azjatycką mentalnością, stąd i traktowanie pornografii — przez obie strony — jako oręża w walce między dwoma systemami".

Korea podzielona jest miejscem grożącym napięciami i konfliktem. Stąd wysiłki strony północnej do położenia kresu podziałowi, a przez to i napięciom. Ale nie jest to sprawa łatwa. Takich ogniw zapalnych jest na świecie więcej. Rosną w stosunkach międzynarodowych napięcia, zaostrzają się one, rosną zbrojenia, nad światem wisi groźba atomowego konfliktu. W Polsce bawili pisarze radzieccy, weterani II wojny światowej. W Siekierkach nad Odrą wspólnie z pisarzami polskimi napisali

APEL DO PISARZY ŚWIATA

W apelu tym czytamy między innymi:

„Narodom trzeba nie rakiet, a chleba, pracy, nauki i swobodnego dostępu do skarbca narodowej i światowej kultury. Narodom trzeba wolności i pokoju.

Wzywamy Was, pisarze świata, byście swymi nazwiskami poręczyli złowrogą prawdę: w atomowej wojnie jaka wisi nad światem nie będzie zwycięzców, tylko bezmiar zniszczenia, pustynia promieniująca śmiercią".

Pod apelem tym figurują też nazwiska pisarzy z Łodzi: Wacława Bilińskiego i Igora Sikiryckiego. Apel opublikowały „ARGUMENTY" (nr 46 z 13 listopada 1983 r.).

LUCJAN BOGUSZ

PODZIĘKOWANIE

Autor przeglądu prasy sprzed dwóch tygodni serdecznie dziękuje panu T-o, recenzentowi gazet z „Dziennika Łódzkiego", za troskę o cenne zdrowie autora. Troska owa objawiła się w zadedykowaniu autorowi przeglądu prasy w „Odgłosach" („DŁ" nr 228 — 08.11.83 — tekst pt. „Na innych łamach" — in finem) takiego oto tekstu z „Przekroju": *„Jeśli czekasz na okrycie się chwałą, to pamiętaj, że zanim się nią okryjesz, możesz się bardzo poważnie zaziębić"*.

Otóż to. W oczekiwaniu na chwałę (nb. któż na nią nie czeka?; mniemam, że recenzent T-o czeka także...), postaram się skorzystać ze sposobu kultywowanego przez innego recenzenta prasy krajowej, znanego osobiście mnie i koledze recenzentowi T-o (temu drugiemu może nawet lepiej) — dla kurażu po prostu strzelić sobie setę — nawet przed trzynastą.

T.S.

Minął tydzień

CYTAT Z PRZEMÓWIENIA

ministra spraw zagranicznych Stefana Olszowskiego wygłoszonego na akademii poświęconej 66 rocznicy Rewolucji Październikowej:

„Jakie są przyczyny niezwykłego zaostrzenia sytuacji w Europie i na świecie?

Wynika ono z otwartego odrzucenia przez Stany Zjednoczone i przez państwa NATO idei odprężenia i pokojowego współistnienia i zastąpienia ich polityką konfrontacji. Przywódcy tych krajów podjęli próbę podważenia historycznie ukształtowanej strategicznej równowagi sił między Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich a USA, Układem Warszawskim a NATO w celu zdobycia przewagi militarnej w skali europejskiej i globalnej, co miałoby pozwolić Stanom Zjednoczonym i państwom NATO na prowadzenie wobec wspólnoty socjalistycznej polityki z pozycji siły, a nie z pozycji równości i jednakowego bezpieczeństwa".

ANDRZEJ WAJDA NAKRĘCIŁ FILM

pt. „Miłość w Niemczech". Jest to historia miłości młodej Niemki i wywiezionego na roboty do Niemiec Polaka. Miłość się wydaje, ona wędruje do obozu, on na szubienicę. Po latach do miejsca, gdzie rozgrywała się ta miłość przyjeżdża syn bohaterki z prawowitego łoża, bo ona była mężatką, i jej wnuk. Chcą poznać prawdę o przeszłości, ale im to się nie udaje.

Prasa i krytyka niemiecka przyjęła film Andrzeja Wajdy z dużą niechęcią i zastrzeżeniami. „Der Spiegel": *„To, że reżyser filmu nazywa się Andrzej Wajda, powinniśmy — tak, jak w ogóle ów film — szybko zapomnieć"*.

Oczekiwano arcydzieła, a otrzymano film przeciętny, na dodatek poruszający sumienia „porządnych Niemców". Nic więc dziwnego, że „Frankfurter Allgemeina Zeitung" skomentował to najkrócej: *„Nieszczęście"*.

LECH WAŁĘSA ZREZYGNOWAŁ

— jak to stwierdził na konferencji prasowej u rzecznika rządu PRL przedstawiciel amerykańskiej sieci telewizyjnej „NBC News", John Cochran — z wyjazdu do Norwegii po odbiór nagrody Nobla. W jego zastępstwie ma tam udać się żona, najstarszy syn i towarzyszący im dziennikarz. John Cochran zapytał więc Jerzego Urbana, czy przewiduje ten jakieś trudności z planowanym wyjazdem. Jerzy Urban odpowiedział, że *„władze paszportowe nie będą wydawać paszportu zbiorowego dla delegacji Wałęsy"*. Rozpatrują one każdy wniosek indywidualnie i każdy składający taki wniosek osobno otrzyma odpowiedź.

W OBUCHOWIE POD KIJOWEM

zorganizowano wystawę marnotrawstwa materiałów i urządzeń. Znalazły się tam między innymi — jak donosi PAP — zupełnie dobre silniki spalinowe, które wyrzucono na złomowisko. Znalazły się tam również wyrzucone na złom części zamienne, arkusze blachy aluminiowej, zawory z tytanu oraz cement. Obliczono, że odzyskanie materiałów i urządzeń zgromadzonych na wystawie pozwoliłoby na wyprodukowanie towarów o wartości 10 miliardów rubli, a ujawnione rezerwy dałyby gospodarce około 3 milionów ton żelaza i 2 milionów ton cementu. Eksponaty tak długo znajdować się będą na wystawie, póki we właściwym zakładzie nie poprawi się sposób gospodarowania nimi.

„KARUZELA" SIĘ ODCIĘŁA

„Przeglądowi Tygodniowemu" piórem Krzysztofa Wilemskiego:

„...W „Przeglądzie" jakiś mkk
Co tydzień coś sobaczy,
A Jola Zięba mądrość srok
Wyraża jak pustułka,
Boć nie upłynął nawet rok,
Gdy zniosła ją kukułka —
I zanim pojmie w jakim z gniazd
Znalazła się podrzutkiem,
Miast kukać kuku — raz po raz
Próbuje być kogutkiem..."

Dalszą część — jak to sam autor określa — *„rymowanki częstochowskiej"* redakcja „Karuzeli" postanowiła pozostawić *„na inne czasy"*. A może w ogóle nie należało tego drukować? Przecież mieliśmy się już nie obrażać na krytykę. A satyrycy w żadnym wypadku!

W 110 MINUT

z Warszawy do Łodzi będzie jechał pociąg pośpieszny już od 2 czerwca 1984 roku — donosi z radością i dumą „Express Ilustrowany". Ale — jak wynika z treści informacji — z Łodzi do Warszawy pociąg pośpieszny będzie jechał 120 minut, czyli 2 godziny. Obecnie taki pociąg jedzie do Warszawy Wschodniej 149 minut. Gdyby autor tej informacji sięgnął do starych rozkładów jazdy, to mógłby na przykład dowiedzieć się, że w 1900 roku pociąg z Łodzi Fabrycznej wyjeżdżał o godzinie 6.45 i do Warszawy przyjeżdżał o 9.55. Odległość tę pokonywał w 190 minut, a więc tylko o 41 minut więcej.

Po rewelacyjnym skróceniu o 20 minut czasu przejazdu pociąg będzie tę trasę pokonywał w 129 minut, a nie jak „EI" podaje w 120 minut. A więc różnica zwiększy się do 61 minut. I tak oto z niebywałą szybkością zbliżamy się do XXI wieku.

A. B. SEKATOR

W NASTĘPNYCH NUMERACH:

- NOŻE W OCZACH — REPORTAŻ Z PRASKIEGO MECZU WIDZEWA
- O DYPLOMACH DEMAGOGIA DYPLOMOWANA
- CO PO STUDIACH
- O NAUKOWCACH PESYMISTYCZNIE
- ŚWIADECTWO WŁASNEJ OBECNOŚCI — WSPOMNIENIA ŁÓDZKIEGO DZIENNIKARZA FELIKSA BĄBOLA PO 50 LATACH PRACY
- MIŁOŚĆ, NAMIĘTNOŚĆ I RESZTA — DWIE OPOWIEŚCI MAKABRYCZNO-SENSACYJNE
- ORAZ CIĄG DALSZY POWIEŚCI OBYCZAJOWEJ „RAZ W ROKU W SKIROŁAWKACH"

Maślana lekcja

Dokończenie ze strony 1

Też stałem w kolejce — dostałem dwie paczki masła. Identycznie zapewne zareagował każdy obywatel na telewizyjne wezwanie byłego już wiceministra handlu Borsa, byśmy kierowali się „obywatelskim" poczuciem odpowiedzialności i nie napierali na sklepy 31 października. Odwoływanie się do sumień ludzkich przy takiej okazji jest dowodem głupoty — nie tylko politycznej — aż nazbyt oczywistym. Ale sposób, w jaki eks-wiceminister objaśniał całą sprawę za pośrednictwem Tv, to już dowód czego innego — dowód odradzającej się mimo wielu bolesnych lekcji, arogancji niektórych przedstawicieli władzy...

Pozostańmy jednak przy tym przykładzie. I zastanówmy się, dlaczego właściwie doszło do takiej wpadki rządu? Bo jest to wpadka, która mocno nadszarpnęła wiarygodność administracji, niezależnie od tego, jak opinia społeczna potraktowała późniejsze przeproszenia i tłumaczenia się rządu. Aczkolwiek nie należy przypuszczać, że komunikat Rady Ministrów w tej sprawie przyjęto nieprzychylnie — to jednak warto pamiętać, że słowa nie leczą urazów spowodowanych przez fakty materialne...

Wszystko wskazuje na to, że w kwestii ponownej reglamentacji masła i innych tłuszczów doszło do szczególnie niebezpiecznego połączenia się dwóch czynników kształtujących na ogół (wśród zresztą wielu innych) świadomość ludzi tkwiących w strukturach zarządzania państwem i jego interesami. Pierwszym czynnikiem jest wspomniana już arogancja, drugim — nieodparta potrzeba sukcesu. Zbieg tych dwóch okoliczności wsparty został przez trzeci czynnik, niejako immanentnie i od lat tkwiący w naszym systemie władzy — przez brak wyobraźni.

O arogancji władzy w ogóle mówiono i pisano w ciągu ostatnich trzech lat bardzo wiele. W tym konkretnym przypadku objawiła się ona w postaci *„nieczułości na reakcję społeczną"* — jak napisano w komunikacie z posiedzenia rządu. Po prostu — urzędnicy „z wysokości" ogłaszający decyzję nie zadbali o porządaną argumentację, rzucili jak ochłap parę bałamutnych i mętnych frazesów.

Zaś potrzeba sukcesu? Drążyła ona od dawna sporo środowisk administracji. Między innymi — jak się okazało — handlowców i mleczarzy. Jeszcze w pierwszej połowie października pojawiały się enuncjacje oficjalne, wywodzące się z tego ostatniego środowiska, rozpowszechniane za pośrednictwem rządowej agencji, że na rynku mlecznym sytuacja jest doskonała jak nigdy przedtem i o powrocie do reglamentacji nie ma mowy. Skąd się wzięła ta aberracja? Z nadmiaru usłużności... Mówi generał, mówią wicepremierzy o trudnościach? Mówią... To dajmy im, my skromni mleczarze, trochę optymistycznej amunicji — że rzeka mleka opanowana, że już wkrótce masłem będzie można smarować chleb po obu stronach i to grubo... A gdy się fałsz wyda? To nic — za przywrócenie reglamentacji całe odium spadnie i tak na rząd. Ważne jest, że przez chwilę żyliśmy sukcesem!

Jest to jeden z powodów, dla których nie wierzę w jakieś oszałamiające sukcesy odcinkowe. W sytuacji kryzysu tak totalnego jak nasz, miarodajne dla skonstatowania poprawy mogą być tylko wskaźniki ogólne, syntetyczne. Sęk w tym tylko, że rosną one zbyt wolno, jak na potrzeby aroganckich i nie potrafiących przewidywać decydentów.

Lekcja maślana była bolesna dla rządu pewnie nie mniej niż dla obywateli. Mam nadzieję wszakże, iż wypływające z niej ogólne pouczenie: *„wsłuchaj się w głosy opinii publicznej i miej na każdy wypadek rozsądne argumenty"*, że to pouczenie będzie zastosowane przy kolejnej trudnej operacji społecznej, której założenia właśnie w ubiegłą sobotę opublikowano — przy podwyżce cen żywności.

TOMASZ SAS

Kształt przyszłości zawarty w minionym

konfliktów i zrodzonych z nich tragedii. Ale były to dzieje wytężonej pracy, wysiłku całego narodu poniesionego w odbudowie i rozbudowie kraju, ambitnej próby wydobycia Polski z zacofania, dorównania innym w ich gospodarczym i społecznym rozwoju.

III. Przeszłość naszą — i tę najdalszą i tę bliższą — pokazujemy jako ciąg walki o wielkość Polski, a później o jej niepodległość. Wojny prowadzone przez Polskę na wschodzie i na zachodzie były starciami z rosnącymi ościennymi potęgami. Nie o ocenę polityki Polski w przeszłości tu teraz chodzi, ale o sposób ukazywania historii. Po utracie niepodległości, po rozbiorach, zrywał się nasz naród do walki o jej odzyskanie. *„...wyzwolenie Polski* — pisał Karol Marks — *jest jednym z warunków wyzwolenia klasy robotniczej w Europie"* i dodawał, że *„słowa „Polak" i „rewolucjonista" stały się synonimami"*. Walka Polaków z zaborcami zjednywała nam uznanie i sympatię całej postępowej Europy. Nie bez powodu i dziś dumni jesteśmy z postawy naszych przodków. To dzięki ich walce i nieustępliwości w sprzyjających warunkach zewnętrznych doszło do odbudowy niepodległości w 1918 roku. I nadszedł czas pracy.

We wrześniu 1939 roku, gdy wybuchła druga wojna światowa, ponownie straciliśmy niepodległość. Nadszedł ponury czas okupacji, czas walki podziemnej, czas walki o przetrwanie narodu i odrodzenie go na nowych, demokratycznych zasadach. W tej walce wielu Polaków oddało życie.

Nie wolno ani nam, ani tym, którzy przyjdą po nas zapomnieć o tych, którzy ojczyźnie oddali swe życie. Niech pamięć o nich nigdy nie zaginie, niech będzie wieczna. Jednocześnie nie wolno nam zapominać — i tak musimy rozumieć historię — że ma ona dwa nurty: nurt walki i nurt pracy. Ci, którzy szli w bój, walczyli przede wszystkim o prawo do życia, co w konsekwencji oznacza też prawo do pracy. W szeregi walczących szli przede wszystkim ludzie pracy: robotnicy, chłopi, inteligenci. O potędze walczących armii też decydowali ludzie pracy. *„Trzeba najpierw dać państwu, żeby ono dało"* — napisał kiedyś Karol Marks i miał niewątpliwą rację. To właśnie ludzie pracy dają państwu, oni poprzez swą pracę stanowią o jego potędze, sile i możliwości działania. Bez ich pracy państwo istnieć może, ale niewiele będzie znaczyć. Nie będzie zdolne do spełniania swych podstawowych klasowych funkcji — nie będzie mogło też podjąć działań obronnych, do których również jest powołane.

Jeśli więc chcemy powiedzieć prawdę o naszym czterdziestoleciu, to musimy je ukazać przede wszystkim jako dzieje pracy. Były to też — przynajmniej w pierwszym okresie — dzieje walki. Najpierw z najeźdźcą u boku Armii Czerwonej. Później były to dzieje walki z reakcyjnym podziemiem o utrwalenie demokratycznych przemian, o utrzymanie władzy ludu. O tym też nie wolno zapomnieć. Ale jednocześnie są to dzieje pracy. Pracy ciężkiej, trudnej, znojnej, ale i bohaterskiej.

Scenarzyści filmowi, pisarze, historycy wiedzą, jak trudno jest pokazać patos i dramatyzm dziejów pracy. O ile łatwiej jest pokazywać dzieje walki. Nie przypadkiem najlepsze nasze filmy dotyczą okresu wojennego. Podobnie zresztą — choć niecałkowicie — jest w literaturze. A przecież nie możemy ciągle wychowywać młodego pokolenia tylko w oparciu o jeden nurt naszych dziejów — nurt walki. Musimy również pamiętać o nurcie drugim — nurcie pracy. Historia pokazująca przebieg dziejów narodów jednostronnie jest historią nie w pełni prawdziwą.

IV. Nasze najnowsze dzieje są niebywale dramatyczne, nie pozbawione momentów tragicznych, są pełne komplikacji, ścierania się różnych racji, różnych polityk, punktów widzenia, są dziejami walki klas przebiegającej w sposób niebywale ostry. Czy teraz, kiedy zbliżamy się do obchodów czterdziestu lat Polski Ludowej, mamy prawo do łagodzenia sprzeczności, konfliktów, do pokazania niepełnego procesu dziejów najnowszych? Czy możemy to zrobić, pamiętając o doświadczeniach ostatnich dwu lat, kiedy w puste miejsca w naszej historii wchodził przeciwnik polityczny z własną interpretacją?

Mówiono i mówi się o „białych plamach" w naszej historii. Pojęcie to ma określony sens polityczny. Są to te momenty w naszej przeszłości, o których z tych czy innych przyczyn wolimy nie mówić. Ale życie samo nas do tego zmusza, bo jeśli my o tym nie mówimy, to mówi głośno przeciwnik polityczny i na dodatek nadaje temu własną interpretację, czym chce między innymi pozyskiwać sobie młode pokolenie. Nie wolno się z tym godzić!

Nie lubię pojęcia: „białe plamy" — bo ono albo nic nie znaczy, albo zawiera tylko określone politycznie treści. Wolałbym mówić o pełnym pokazaniu procesu dziejowego w jego uwikłaniach, sprzecznościach i tragediach. Jeśli IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR miał odwagę powołać specjalną komisję — a decyzję tę wykonało III Plenum KC PZPR — do wyjaśnienia przyczyn i przebiegu konfliktów społecznych w dziejach Polski Ludowej, to możemy również mieć odwagę powiedzenia prawdy o dziejach bardziej odległych.

Można oczywiście zastosować unik i na przykład ogłosić, że wszystko, co zdarzyło się przed upływem 50 lat nie należy do historii. Między innymi Brytyjczycy nie udostępniają niektórych dokumentów przed upływem 50 lat. A więc wszystko, co pisze się na temat dziejów, które nie ukończyły jeszcze półwiecza, jest domniemaniem, z góry założonymi hipotetycznymi rozważaniami, bowiem w świetle udostępnionych dokumentów wszystko może wyglądać zupełnie inaczej. Tylko, że wówczas nasza najnowsza historia skończyłaby się w... 1933 roku. Wojna obronna 1939 roku i wszystko, co po niej nastąpiło zostałoby zepchnięte do sfery hipotetycznych domniemywań. Byłoby to stanowisko absurdalne i dla nas nie do przyjęcia. Musimy więc mówić o naszej najbliższej przeszłości tyle, ile to jest możliwe przy obecnym stanie wiedzy, pamiętając zawsze o tym, że w miarę upływu czasu, w miarę ujawniania różnych dokumentów, wspomnień, pamiętników i innych materiałów stan wiedzy historycznej będzie się zmieniał, rozszerzał i w wyniku tego będą się zmieniały niektóre fakty, jak i ich oświetlenie. W zasadzie jednak nie może to zmieniać samej istoty, prawidłowości procesu historycznego.

Nie wolno nam też bohaterów naszej przeszłości czynić ludźmi ponadnaturalnymi. Budujemy im pomniki, ale jednocześnie pokazujemy ich w sztuce, teatrze, literaturze i filmie, jako normalnych ludzi, którzy mieli swoje upodobania, różne bardzo charaktery, słabości, a nawet słabostki, żywili normalne uczucia: kochali i nienawidzili, bali się, załamywali, ale potrafili zdobyć się na bohaterstwo. Nie ubierajmy ich w spiżowe garnitury, aby później musieli pojawiać się ludzie, którzy będą się podejmowali odbrązawiania. Nie ma nic gorszego jak zdejmowanie z piedestału bohaterów, których wstawiono tam bez należytego uzasadnienia.

V. W burzliwych latach 1980 — 1981 wysuwano często zarzut, że Polska Ludowa poczęła się sztucznie, że był to nie tyle naturalny poród, co import rewolucji. Taką tezę można było lansować albo nie wiedząc, że bardzo dawno temu już Fryderyk Engels napisał, iż *„każdą partię, która chce przyjść do władzy, zanim warunki pozwolą jej urzeczywistnić własny program — czeka zguba"*, albo wiedząc, że ci, do których się mówi nie mają o tej prawdzie najmniejszego pojęcia. Z samej istoty marksizmu-leninizmu wynika, że zarówno rewolucję, jak też wszelkie programy minimum i maksimum można realizować tylko wówczas, gdy dojrzeją do tego społeczne i polityczne warunki. Gdyby było inaczej, to mielibyśmy już kolektywizację w Polsce dawno za sobą. Skoro jednak warunki rozwoju naszego rolnictwa ułożyły się inaczej, musimy szukać innych rozwiązań, gwarantować trwałość gospodarki rodzinnej i nieustannie szukać sposobów łagodzenia sprzeczności między własnością prywatną w rolnictwie i własnością społeczną w przemyśle

Mamy obchodzić czterdziestolecie Polski Ludowej, ale z tego wcale nie wynika, że rodowód Polski jest tak krótki, że jej korzenie nie sięgają do czasów II Rzeczypospolitej, a także i do czasów wcześniejszych, do czasów walki o niepodległość, czasów narodzin ruchu robotniczego i ludowego. Mówiąc więc o 40 latach dziejów Polski Ludowej nie możemy zapominać o dziejach lewicy społecznej w naszej przeszłości, bo w tych dziejach tkwią korzenie naszego czterdziestolecia.

Warto więc pamiętać o prekursorach i tych z ruchu ludowego, o tych z ruchu robotniczego i tych z lewicowo zorientowanej inteligencji. Warto — i trzeba nawet — pamiętać o partiach chłopskich, o PPS i KPP. Trzeba zapoznać młode pokolenie Polaków z dorobkiem takich ludzi, jak Bolesław Limanowski, Mieczysław Niedziałkowski, Norbert Barlicki, Wera Kostrzewa, Adolf Warski i wielu innych. To też często były postacie przemilczane w naszych dziejach, „białe plamy", o które jakoś mało kto się upominał. Więcej i głośniej domagano się prawdy o Józefie Piłsudskim. A w dziejach Polski byli jeszcze choćby tylko Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, Roman Dmowski. Rolę w dziejach Polski ich wszystkich, jak też wielu tu nie wymienionych, trzeba rzetelnie pokazać, sprawiedliwie ocenić, pamiętając o klasowym punkcie tej oceny.

VI. Dzisiejsza młodzież, która przeżyła ostro atak na socjalizm, która była świadkiem walki politycznej — a ta walka przecież się jeszcze nie skończyła — za lat 10 wejdzie w pełnię życia społecznego i politycznego. Ci, którzy dziś mają po 18—20 lat w 1990 roku będą mieli po 28—30 lat. W takim właśnie wieku był „szalejący aktyw" byłej Solidarności. Do niego najsilniej docierała bałamutna propaganda. Ulegał jej i sam ją kolportował. A byli to ludzie, którzy w 1970 roku mieli właśnie po 18—20 lat, do których nie potrafiliśmy wówczas dotrzeć, przemówić, przekonać ich co do słuszności drogi, jaką wybraliśmy. Bo mimo pomyłek i błędów lat siedemdziesiątych droga ta jest jedynie słuszną, dającą Polsce jedyną szansę właściwego rozwoju. I nie dlatego, że mamy takie czy inne położenie geograficzne, a tylko dlatego, że taka jest prawidłowość historycznego rozwoju społeczeństw.

W latach siedemdziesiątych zaproponowaliśmy młodemu pokoleniu przemilczanie różnych fragmentów naszych dziejów i szybkie bogacenie się na kredyt. Nie potrafiliśmy się uporać z jedną Polską, a marzyło się nam wybudowanie drugiej Polski. Nie były to — wbrew pozorom — rozwiązania na długą metę i nie dlatego, że się wszystko wysypało w sierpniu 1980 roku, ale dlatego, że taka „filozofia" dobra była na krótką metę, ale nie mogła być programem na całe życie.

Myślę, że młodym trzeba powiedzieć podstawową prawdę: mamy trudną i tragiczną historię i ciężką przyszłość. Nie stać nas bowiem na doganianie wysoko rozwiniętych krajów świata, gdyż kraje te na swój poziom życia pracowały dziesiątkami lat i korzystały z wyzysku innych narodów. Nie stać nas na to również dlatego, że musimy spłacać długi, które przejedliśmy, a w przejadaniu których młodzi ludzie akurat mają najmniejszy udział. Nie będziemy więc obiecywać, że za 5 lat dogonimy Francję, za 8 Anglię, a za 10 dogonimy USA. Niczego doganiać nie będziemy. Musimy natomiast zrobić wszystko, na co tylko nas będzie stać, aby ludziom pracowało się lżej i lżej się żyło. Musimy zatroszczyć się o własny model życia, a nie małpować na siłę Zachód. Nie jest to być może porywające, ale realne. Nasza przyszłość będzie zależeć tylko od naszej pracy! Przestańmy oszukiwać się, że ktoś przyjdzie i cokolwiek za nas zrobi, i cokolwiek nam da. My sami musimy budować przyszłość naszej ojczyzny.

I dlatego ważna jest wiedza o przeszłości, bo się od niej oderwać nie możemy, bo ona zadecydowała o kształcie teraźniejszości i będzie w dużej mierze decydowała o przyszłości. Tę prawdę trzeba stale powtarzać, uczyć się ją rozumieć. To właśnie nasza najbliższa przeszłość — ostatnich 40 lat — dobitnie pokazała do czego prowadzi zrywanie więzów z tradycją, z własną przeszłością, szukanie wzorów u obcych, odrywanie teraźniejszości od przeszłości. Jest to po prostu niemożliwe.

VII. Obchodziliśmy już wiele różnych jubileuszów. Doświadczenia mamy nie najlepsze. Czasami wręcz fatalne. Lubimy przesadzać. Lubimy świętować. Potrafimy ludzi zanudzić świętowaniem. Teraz, z okazji czterdziestolecia Polski Ludowej zrobić nam tego nie wolno. To nie może być ciąg uroczystości, akademii ku czci, festynów i spotkań. Przecież od lipca 1984 roku wszystkie przedsiębiorstwa, organizacje, instytucje zaczną też mieć po 40 lat i jak każdy będzie to chciał uczcić akademią, spotkaniem, jubileuszem, to zamieni się to wszystko w nieustający ciąg świętowania. A przecież zupełnie nie o to chodzi.

Chodzi przede wszystkim o to, aby czterdziestolecie Polski Ludowej wykorzystać dla rozwoju samowiedzy historycznej narodu, aby krytycznie i rzetelnie ocenić przebytą drogę, zobaczyć, co na niej osiągnęliśmy, co się nam nie udało, jakie popełniliśmy błędy i dlaczego i co trzeba teraz zrobić, aby tych błędów uniknąć. Czterdziestolecie Polski Ludowej trzeba też wykorzystać do tego, aby z naszej przeszłości wydobyć na światło dzienne i ukazać w całej krasie nurt pracy, aby zrozumieć, że wszystko od tej pracy zależy, że to z niej brały się nasze osiągnięcia jak i nasze błędy. Minione czterdziestolecie — co może wydawać się paradoksem, ale jest to prawda — otwiera przed nami wielką szansę dokonania krytycznej samooceny. Czy potrafimy z niej skorzystać?

Od tego, czy potrafimy i jak potrafimy z niej skorzystać zależeć będzie nasza przyszłość!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Kronikarz Wielkiej Rewolucji

Z okazji tegorocznej 66 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej 1917 r., warto przypomnieć amerykańskiego dziennikarza Johna Reeda, autora rewelacyjnej książki pt. „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem".

Książka ta stała się prawdziwym bestsellerem, zarówno dla czytelnika amerykańskiego, jak i radzieckiego. Przetłumaczono ją na wiele języków świata. Między innymi również i na język polski.

Szczególnie ceniono ją w Związku Radzieckim, jako obiektywną i żywą w swej treści relację — kronikę pamiętnych wydarzeń październikowych 1917 r. Lenin po przeczytaniu tej książki, tak ją ocenił:

„Z ogromnym zainteresowaniem i z niesłabnącą uwagą przeczytałem książkę Johna Reeda pod tytułem „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem". Bez zastrzeżeń polecam ją wszystkim robotnikom świata. Książkę tę chciałbym widzieć rozpowszechnioną w milionach egzemplarzy i przełożoną na wszystkie języki. Daje ona bowiem prawdziwy i wyjątkowo żywy obraz wydarzeń tak ważnych dla zrozumienia istoty rewolucji".

Nadieżda Krupska zaś w przedmowie do rosyjskiego wydania książki Reeda pisała:

„Na pierwszy rzut oka zdumiewa, jak mógł napisać tę książkę cudzoziemiec, Amerykanin, który nie zna języka tego kraju, obyczajów. Zdawałoby się, że co krok powinien popełniać błędy, nie dostrzegać wielu rzeczy istotnych".

W OBRONIE REWOLUCJI

Reed znał zaledwie sto słów rosyjskich. Słaba znajomość języka rosyjskiego nie była zresztą jedyną trudnością, którą musiał pokonać gromadząc materiał do książki i pisząc ją. Przede wszystkim wielką rolę odgrywał czas. Nie miał go za wiele ani w Rosji, z której wyjechał w końcu stycznia 1918 r., ani w USA, gdzie dotarł w kwietniu tegoż roku. W Rosji poza wszystkimi innymi zajęciami — a starał się nie pominąć niczego, co miałoby wielki wpływ na ówczesne wydarzenia — współpracował z Ludowym Komisariatem Spraw Zagranicznych. Ślęczał nocami w drukarni nad ulotkami dla żołnierzy obcych państw. Był podczas przewrotu październikowego współredaktorem pisma. Kiedy spodziewano się zbrojnego wystąpienia prawicowych eserów, zmienił pióro na karabin. Nie inaczej było po przyjeździe do Ameryki. Podróżował po całym kraju, przemawiał na wiecach, odpierał w artykułach ataki prasy burżuazyjnej, współtworzył Komunistyczną Partię Stanów Zjednoczonych.

CURRICULUM VITAE

Urodził się w Portland. Studiował w Harvardzie. Już od najmłodszych lat zdradzał nieprzeciętne zdolności do pisania reportaży, korespondencji, relacji prasowych Toteż po studiach przeszedł całkowicie do pracy dziennikarskiej, w czasie której związał się blisko z rosnącym amerykańskim ruchem robotniczym. Spod jego pióra wyszło wiele reportaży o ówczesnych akcjach strajkowych.

Był jednym z najbardziej popularnych ówczesnych dziennikarzy amerykańskich. Wielki rozgłos przyniosły mu zwłaszcza reportaże z rewolucji meksykańskiej w latach 1913—1914. Otrzymał za nie najwyższe honoraria O jego współpracę ubiegały się nie tylko największe dzienniki amerykańskie, lecz także wiele znanych pism innych krajów europejskich.

Odwiedził wiele krajów świata, między innymi udał się w pierwszych latach wojny światowej do Rosji i z dużym zainteresowaniem śledził przebieg wydarzeń wojny, a później lutowej i październikowej rewolucji.

O REWOLUCJI LUTOWEJ 1917 R.

Oto jak relacjonował w jednym ze swych reportaży pierwsze dni rewolucji lutowej 1917 r. w Piotrogrodzie:

„Jak zwykle bywa w takich wypadkach, drobnomieszczańskie, konwencjonalne życie szło w mieście swym zwykłym trybem, starając się jak najbardziej ignorować rewolucję. Poeci pisali wiersze o wszystkim — tylko nie o rewolucji, malarze-realiści malowali sceny ze średniowiecznej Rosji — byle nie tknąć rewolucji. Młode panie z prowincji przyjeżdżały do stolicy uczyć się francuskiego i śpiewu. Młodzi przystojni oficerowie obnosili po korytarzach hotelowych swe czerwone, haftowane złotem baszłyki i pięknie inkrustowane szable kaukaskie. Panie ze sfer urzędniczych przychodziły do znajomych na herbatę, niosąc w muffce małą, złotą lub srebrną cukierniczkę-cacko i kawałek chleba.

Marzyły o tym, aby car wrócił, albo żeby Niemcy nadeszli, lub też żeby stało się coś takiego, co by załatwiło kwestię służącej... Córka moich znajomych powróciła pewnego razu do domu histerycznie zdenerwowana, ponieważ konduktorka nazwała ją „towarzyszką".

SPOTKANIE W CYRKU „MODERNE"

W czasie swego pobytu w Rosji John Reed spotykał się z wielu wybitnymi działaczami, politykami, artystami. Często widywano go u Lenina, rozmawiającego z nim na aktualne tematy sytuacji międzynarodowej w świecie. Żyją do dziś dnia ludzie, którzy w okresie wielkiej rewolucji stykali się z amerykańskim korespondentem, rozmawiali z nim. Ich wspomnienia o Johnie Reedzie ukazują się fragmentarycznie w różnych czasopismach radzieckich. Na szczególną uwagę zasługują zwłaszcza pamiętniki znanej działaczki radzieckiej Drabkinowej, które były drukowane między innymi w miesięczniku „Nowyj Mir". Przytaczamy niektóre ich fragmenty:

„Po raz pierwszy zobaczyłam Reeda jesienią 1917 r. w słynnym cyrku „Moderne", w którym nasza partia w przededniu października niemal co wieczór urządzała mityngi i wiece.

Tego wieczoru w „Moderne" miał przemawiać Wołodarski. Ja z grupką towarzyszy przyszłam nieco wcześniej, żeby zająć dobre miejsce.

Obok mnie siedział człowiek w szarej kurtce, z wyłożonym kołnierzem koszuli. Rozglądał się po całej sali, niekiedy wstawał, żeby lepiej widzieć.

Ludzie schodzili się. Robiło się coraz ciaśniej. W końcu tłum przycisnął mnie do niego. Teraz już mój sąsiad nie próbował wstawać. To byłoby niemożliwe, ale jak ptak obracał na wszystkie strony głowę osadzoną na długiej chudej szyi.

Nie wiem, czy ktoś szepnął Wołodarskiemu, że jest na sali amerykański dziennikarz, czy też to był po prostu przypadek, ale mówca znaczną część przemówienia poświęcił istocie demokracji burżuazyjnej w ogóle, a amerykańskiej w szczególności.

Wolność demokratyczną Stanów Zjednoczonych Wołodarski znał dobrze. Długo pracował tam w fabryce, strajkował razem z amerykańskimi robotnikami w wielu amerykańskich więzieniach.

...Narastało tempo wydarzeń. I to tu, to tam spotykałam przypadkowego sąsiada z cyrku „Moderne". Uważnie przysłuchiwał się ludziom. Kiedy żądano od niego dokumentów, pokazywał przepustkę podpisaną przez Dzierżyńskiego, która otwierała przed nim wszystkie drzwi".

AMERYKANIE O REWOLUCJI 1917 R.

Pisali o Rewolucji Październikowej i inni Amerykanie. Wraz z Reedem przeżywali w Piotrogrodzie owe wstrząsające światem 10 dni tacy amerykańscy dziennikarze, jak autorka wydanej w 1918 r. książki „Czerwone serce Rosji" Bessie Beatty, jak Luiza Bryant — żona Reeda, która ukazała Październik w publikacji „Sześć czerwonych miesięcy w Rosji" w 1918 r., jak wreszcie Albert Rhyn Williams, przyjaciel Reeda i jak on, nie tylko świadek, lecz również uczestnik rewolucji, autor książek „Lenin — człowiek i jego dzieło", „Poprzez rosyjską rewolucję".

Wszyscy oni pragnęli przekazać współrodakom prawdę o rosyjskiej rewolucji, przekazać na gorąco, by wzbudzić tak jej potrzebną sympatię. Wszystkich ich szykanowano, dręczono przesłuchiwaniami w specjalnych komisjach, okładano karami pieniężnymi, szkalowano w prasie, nazywając bolszewikami, agentami, wrogami Ameryki.

PROCES REEDA

Johnowi Reedowi, kiedy po pierwszym pobycie w Rosji schodził w nowojorskim porcie ze statku, policja skonfiskowała wszelkie przywiezione przez niego notatki i dokumenty.

Zrozpaczony Reed pisał wtedy do Lincolna Steffensa:

„Czy nie wiecie, kiedy zwrócą mi moje papiery? Jeśli nie otrzymam ich w najbliższym czasie, będzie za późno, wydawca nie przyjmie książki, zerwie umowę".

Ale papiery zwrócono mu dopiero w listopadzie 1918 r. Reed wynajął pokój w jakiejś odległej dzielnicy. Nikomu nie podał adresu. Pracował w dzień i w nocy. W styczniu oddał rękopis wydawcy. Książka „10 dni, które wstrząsnęły światem" była w księgarniach już w pierwszych dniach marca 1919 r.

Reed wykorzystywał do obrony socjalistycznych idei każdą nadarzającą się trybunę, także ławę oskarżonych. Na procesie, który mu wytoczono, Reed zaczął swoje zeznania od opisu okropności wojny.

— To nas nie interesuje — przerwał mu sędzia. — Sąd chciałby wiedzieć, jakie są pana poglądy.

— Moje poglądy ukształtowały mój stosunek do wojny — odpowiedział Reed.

— To znaczy, że jest pan przeciwnikiem wojny

— Tak jest, sir.

— Czy jest pan socjalistą?

— Yes, sir. Obecnie jestem socjalistą.

— Od jak dawna?

— Od lata ubiegłego roku.

Pięciokrotnie stawał Reed przed sądem, ale nie sformułowano przeciwko niemu formalnego oskarżenia. Dlaczego? Po części dlatego, że materiały śledztwa nie podtrzymały tez oskarżenia. Po wtóre — dzięki umiejętnej obronie. Ale jeszcze i inna sprawa odegrała w tym poważną rolę.

Władze Stanów Zjednoczonych chciały przedstawić komunizm jako produkt obcy, sztucznie importowany na dziewiczy w tej mierze grunt amerykański. Reed zaś, tak ze strony ojca jak i ze strony matki, był stuprocentowym Amerykaninem. Jego przodkowie osiedlili się w Ameryce jeszcze w 1607 r. Jeden z nich złożył podpis pod Deklaracją Niepodległości, drugi był generałem w armii Jerzego Waszyngtona, trzeci dowodził pułkiem w wojsku Północy. Sądzić Reeda jako zwolennika komunizmu było zatem niewygodnie.

REPORTAŻ O ARMII PRACY

W 1920 r. Reed przyjechał do Moskwy. Odwiedził Włodzimierza Iljicza-Lenina. Spędził dzień w Galerii Trietiakowskiej. Spotkał się z Klarą Sheridan, angielską rzeźbiarką, która przyjechała do Moskwy, żeby rzeźbić popiersie Lenina. W dzienniku, który później wydano, Sheridan tak napisała o Reedzie:

„Rozmawiałam z Rosjanami o jego książce „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem". Mówią, że to najlepsza książka, jaką napisano o ich rewolucji".

Reed napisał w tym czasie entuzjastyczny reportaż o armii pracy. Była to ostatnia praca w jego życiu. Nagła choroba i śmierć nie pozwoliła mu go dokończyć. Między innymi tak wyrażał swój zachwyt dla ofiarności ludzi radzieckich:

„...Tragiczna wręcz sytuacja gospodarcza po zakończeniu walk z Denikinem, a przede wszystkim groźna sytuacja w transporcie, spowodowała konieczność zastosowania nadzwyczajnych środków powołania armii pracy.

Zamiast demobilizacji, armie zostały przy zachowaniu swojej struktury przekształcone w armie pracy, skierowane na najcięższe odcinki.

Jedna armia pracy skierowana została na wschód do odbudowy mostów i naprawy dróg kolejowych, zniszczonych przez Kołczaka. Inna armia udała się do ośrodków przemysłowych na Uralu, jeszcze inne na Powołże do pomocy chłopom w siewach wiosennych.

Na czele tych armii stanęli najbardziej popularni ludzie w Rosji. W rozmowie ze mną Lenin twierdził, że armie pracy są tylko eksperymentem i jeśli okażą się one niepopularne, to trzeba będzie z nich zrezygnować. Nie można przecież ludzi zmuszać do wydajnej pracy, jeśli sami nie chcą pracować wydajnie.

— Ale nasza przewaga nad pozostałym światem — mówił Lenin — polega na tym, że my możemy pozwolić sobie na tego rodzaju eksperymenty. Robotnicy wierzą nam...

W najgorszym okresie zimy, jaką kiedykolwiek Rosja radziecka pamiętała, wyjechałem na prowincję, aby własnymi oczami obejrzeć miasteczka i wsie. Tam, daleko od stolicy, zauważyłem, że władza radziecka głęboko zakorzeniła się w życiu narodu, że nowe społeczeństwo zdecydowanie okrzepło.

Weźmy na przykład miasteczko Klin, ośrodek powiatowy, w którym znajduje się rada powiatowa..."

W tym miejscu ostatni reportaż Johna Reeda urywa się.

ŚMIERĆ REEDA

W kilka dni później Reed zachorował. Początkowo lekarze sądzili, że to influenza. Dopiero później okazało się, że tyfus. Przywieziono go do szpitala. Robiono co się dało.

Znaleziono pielęgniarkę, która znała angielski. Ale lekarzy niepokoiły zaburzenia w pracy jedynej jego nerki. Reed umierał. Można go było ratować, ale w Moskwie nie było podówczas lekarstw. Nie było nawet kamfory.

Ta noc z 16 na 17 października 1920 r. musiała nadejść.

W pochmurny dzień świąteczny Moskwa chowała Reeda. Kondukt żałobny przeciągnął przez Plac Rewolucji na Plac Czerwony. Przy dźwiękach żałobnego marsza opuszczono trumnę do mogiły pod ścianą Kremla.

Trzy lata wcześniej, na tym samym Placu Czerwonym, Reed brał udział w pogrzebie 500 robotników, poległych w walkach październikowych. Teraz, jak wtedy, zapełniły plac dziesiątki tysięcy ludzi. Z prawdziwym żalem żegnali mieszkańcy stolicy swego oddanego przyjaciela, kronikarza i piewcę wielkiej rewolucji — amerykańskiego dziennikarza Johna Reeda.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

■

Dokończenie ze strony 1

— Widzicie, ja jestem przewodniczącym komitetu, który całkowicie zarządza batalionem. Pułkownik jest przez nas obrany dowódcą bojowym, w czasie akcji rozkazy jego muszą być ściśle wykonywane, ale za wszystkie swoje rozporządzenia jest odpowiedzialny przed nami. W koszarach nie może nic przedsięwziąć bez naszego pozwolenia... Można go nazwać naszym oficerem wykonawczym...

Rozdano nam karabiny i rewolwery — „wiecie, możemy przypadkiem spotkać kozaków" — po czym wpakowaliśmy się do ambulansu, zabierając trzy ogromne paki gazet dla frontu.

Pędziliśmy w dół Litiejnym, a potem Zagorodnym Prospektem. Tuż obok mnie siedział młody porucznik, który władał jednakowo biegle wszystkimi językami europejskimi. Był on członkiem komitetu batalionowego.

Ja nie jestem bolszewikiem — zapewniał mnie gorąco. — Pochodzę ze starej szlacheckiej rodziny! Właściwie mówiąc — jestem kadetem...

swą rolą. W tej samej białej, ozdobnej sali, w której już raz byłem, zastaliśmy kilku czerwonogwardzistów, rozglądających się z ciekawością i mojego starego znajomego, pułkownika. Stał przy oknie zagryzając wąsa, a na mój widok rzucił się ku mnie z taką radością, jakbym był przynajmniej powracającym, dawno zaginionym jego bratem. Przy stole, niedaleko od drzwi, siedział mój Francuz z Besarabii. Bolszewicy kazali mu pozostać i pracować dalej.

— Cóż mogłem uczynić? — szeptał do mnie. — Ludzie mojego pokroju w takiej wojnie, jak ta, nie mogą walczyć po niczyjej stronie, niezależnie od tego, w jakim stopniu instynktownie nie znoszą dyktatury tłumu... Żałuję tylko, że jestem tak daleko od Besarabii i od mojej matki!

Bakłanow oficjalnie przejmował obowiązki od dotychczasowego komendanta. (...)

Przed pałacem stała ciężarówka wybierająca się na front. Wlazło na nią sześciu czerwonogwardzistów, kilku marynarzy i jeden czy dwóch żołnierzy. Zawołali na mnie, abym pojechał z nimi. Dowodził samochodem jakiś rosły robotnik. Z lokalu rady wychodzili czerwonogwardziści. Wszyscy ugi-

Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem

— Ależ w jaki sposób?... — zacząłem ze zdumieniem.

— Tak, tak. Jestem członkiem komitetu. Nie ukrywam swoich przekonań politycznych, ale nikt na mnie nie zwraca uwagi, bo wiedzą, że nigdy nie wystąpię przeciw woli większości... Nie brałem czynnego udziału w wojnie domowej, bo nie chcę podnosić broni przeciwko braciom-Rosjanom...

— Prowokator! Korniłowiec! — wołali żartobliwie towarzysze, poklepując go po ramieniu. (...)

W końcu dojechaliśmy do Carskiego Sioła, pełnego bohaterów armii proletariatu, z dumą obnoszących swoje zwycięstwo. Teraz pałac, w którym mieściła się rada, był bardzo ożywiony. W podwórzu pełno było czerwonogwardzistów i marynarzy, przy drzwiach stały warty, a komisarze i kurierzy spieszyli we wszystkich kierunkach. W pokoju rady stał samowar, około pięćdziesięciu robotników, żołnierzy, marynarzy i oficerów otaczało go dokoła, pijąc herbatę i głośno rozmawiając. W kącie dwaj robotnicy niewprawnymi rękoma usiłowali uruchomić powielacz. Nad stołem, stojącym na środku, schylał się ogromny Dybenko oznaczając na mapie położenie wojsk za pomocą czerwonego i niebieskiego ołówka. W wolnej ręce trzymał, jak zwykle, potężny oksydowany rewolwer. Potem zasiadł przy maszynie do pisania i zaczął coś wystukiwać jednym palcem. W najkrótszych chwilach przerwy chwytał natychmiast za rewolwer i z lubością obracał bębenek.

Pod ścianą stało polowe łóżko, na którym leżał na wznak młody robotnik. Dwaj czerwonogwardziści pochylali się nad nim, reszta nie zwracała nań uwagi. Był ranny w pierś i za każdym uderzeniem serca świeża krew występowała na ubraniu. Oczy miał przymknięte; młoda twarz okolona zarostem była bladozielona. Oddychał jeszcze. Wśród słabych i coraz rzadszych westchnień rozlegał się jego szept:

— Mir budiet! Mir budiet! (Będzie pokój! Będzie pokój!)

Dybenko spojrzał na nas.

— A! — rzekł, ujrzawszy Bakłanowa. — Czy nie zechcielibyście, towarzyszu, pójść do lokalu komendanta i objąć jego stanowisko? Wystawię wam zaświadczenie.

Usiadł do maszyny i zaczął stukać.

Poszedłem z nowym komendantem Carskiego Sioła do Pałacu Katarzyny. Bakłanow był bardzo podniecony i przejęty

nali się pod ciężarem wielkiej ilości małych, żelaznych granatów ręcznych napełnionych grubitem, o którym mówili, że jest dziesięć razy gwałtowniejszy i pięć razy czulszy od dynamitu. Granaty te załadowali na ciężarówkę, przymocowali do niej drutem i sznurami trzycalowe działo, po czym ruszyliśmy z łoskotem i krzykiem, oczywiście pełnym gazem. Ciężki samochód przeskakiwał z jednej strony szosy na drugą, armata przechylała się z koła na koło, a granaty napełnione grubitem przetaczały się pod naszymi nogami, uderzając głośno o ścianki wozu.

Wielki czerwonogwardzista, Władimir Nikołajewicz, zarzucił mnie pytaniami o Amerykę.

— Dlaczego Ameryka wzięła udział w wojnie? Czy amerykańscy robotnicy są już gotowi obalić klasę kapitalistyczną? (...)

Co pewien czas trafialiśmy na patrol, który usiłował nas zatrzymać. Żołnierze wbiegali na szosę i podnosząc karabiny wołali „stój", nie zwracaliśmy jednak na nich uwagi.

— Niech was diabli! — wołali czerwonogwardziści. — Nie będziemy zatrzymywali się dla każdego! My jesteśmy Czerwona Gwardia! — I pędziliśmy dalej, a Władimir Nikołajewicz ryczał o umiędzynarodowieniu Kanału Panamskiego i podobnych sprawach...

Po przejechaniu około pięciu mil spotkaliśmy grupę marynarzy wolno podążających do Carskiego. Zwolniliśmy biegu.

— Gdzie jest front, bracia kochani?

Marynarz, który szedł na przedzie, stanął i zaczął się skrobać po głowie.

— Dzisiaj z rana był na szosie, tam niżej — powiedział — o jakieś pół wiorsty stąd, a teraz? Diabli go wiedzą! Myśmy, łazili, łazili i łazili, a nie znaleźliśmy go!

Wleźli na nasz samochód i pojechaliśmy naprzód. O milę dalej Władimir Nikołajewicz nadstawił ucha i zawołał na kierowcę, aby ten stanął.

— Strzelają! — rzekł po chwili. — Słyszycie?

Na chwilę zapadła grobowa cisza, a potem przed nami po lewej stronie rozległy się trzy wystrzały w krótkich odstępach czasu. Po obu stronach drogi był gęsty las. (...).

JOHN REED

■

Z uśmiechem do klienta

O problemach handlu i usług z wiceprezydentem Łodzi JERZYM ŁAPIŃSKIM — rozmawia PAWEŁ TOMASZEWSKI.

Panie prezydencie, czy zdarza się panu robić zakupy?

— Tak. Dosyć często bywam w sklepach i to nie tylko robiąc prywatne zakupy, gdyż pracą handlu interesuję się również profesjonalnie. Znam więc dobrze obecną sytuację.

— Bywa pan czasem źle obsługiwany?

— Oczywiście, i to dosyć często. Mimo że z handlem związany jestem dosyć długo, to w Urzędzie Miasta pracuję dopiero półtora roku, nie wszyscy ludzie więc mnie jeszcze znają i w większości sklepów jestem traktowany jak normalny klient.

— To dobrze.

— Tak właśnie powinno być. Oby jak najdłużej!

— A co pan robi, kiedy jako klient spotyka się pan ze złą obsługą?

— Na początku staram się wyjaśnić sprawę ze sprzedawcą. Jeżeli to nie pomaga, zwracam się do kierownika sklepu lub korzystam z książki życzeń i zażaleń. Nieraz idę dalej i staram się takie przypadki wykorzystywać w mojej pracy — rozmawiam wtedy z dyrekcją danego przedsiębiorstwa handlowego, żeby zapobiec podobnym sytuacjom w przyszłości.

— Panie prezydencie, ale obok spraw lokalowych właśnie funkcjonowanie handlu i usług jest najbardziej krytycznie oceniane przez społeczeństwo, jeśli sądzić tylko z ilości skarg zgłaszanych bezpośrednio do Urzędu Miasta Łodzi. A ponieważ, jak sądzę, większość ludzi przyzwyczaiła się już niejako do złej obsługi i przestała na to reagować, liczbę odnotowanych skarg należałoby zapewne pomnożyć przez — trudno nawet powiedzieć — ile.

— Ma pan całkowicie rację, bo przecież ludzie skarżą się już w ostateczności.

W ostatnim czasie, a zwłaszcza po roku 1980 nastąpiło duże rozluźnienie dyscypliny i nie ulega wątpliwości, że szczególnie jest to widoczne w handlu. Przy brakach w zaopatrzeniu sprzedawcy, w naturalny sposób mając dostęp do wielu poszukiwanych towarów, znaleźli się w uprzywilejowanej roli, poczuli panami sytuacji, władcami. I właśnie to w większości przypadków, bo przecież nie we wszystkich, doprowadziło do, powiedziałbym nawet, pewnego spustoszenia moralnego. Taka jest prawda.

Dlatego też, jak rozpatrujemy zagadnienia związane z handlem, czy szerzej — z usługami, to na pierwszy plan obok zaopatrzenia, które jest bardzo ważne, ale którego poprawa zależy jednak głównie od wielkości produkcji, wysuwamy teraz sprawę postawy pracowników handlu.

Z drugiej strony pracownicy handlu mówią, że to klienci są rozdrażnieni, że są przez klientów atakowani, obrażani. Z pewnością bywa i tak, nie może być to jednak żadnym usprawiedliwieniem. Każdy, kto świadomie wybrał pracę w handlu powinien wiedzieć, że jest to szczególny rodzaj pracy. Klient ma prawo zdenerwować się, ale sprzedawca musi zachować takt. I nie należy tego traktować jako poniżenie. Tymczasem wielu pracowników handlu zamiast łagodzić, prowokuje wręcz sytuacje, w których są atakowani przez klientów. A tak być nie może.

— Z tego, co pan powiedział wynika, iż mimo wszystko główną przyczyną złej pracy handlu i usług w ostatnim czasie jest jednak niepełne zaopatrzenie.

— Naturalnie. Ale nie tylko to. Przez wiele lat zawód sprzedawcy był traktowany niewłaściwie. Do szkół handlowych często trafiała młodzież, która nie dostała się gdzie indziej, a więc ludzie przypadkowi. A jeśli wziąć pod uwagę poziom niektórych zasadniczych szkół handlowych wyraźnie trzeba powiedzieć, że przez lata mieliśmy w handlu do czynienia z negatywną selekcją.

Drugi problem to płace, które w handlu zawsze były niskie. Jedno i drugie prowadziło do takich zjawisk jak nieuprzejmość, cwaniactwo, kradzieże, manka, pozorowane włamania. Był to oczywiście tylko margines, ale przecież na tej podstawie formowała się potoczna opinia o całym handlu.

Jak już powiedziałem, w wyniku niskiej podaży wielu towarów sprzedawca znalazł się nagle w uprzywilejowanej roli i często, choć na pewno nie dotyczy to wszystkich, zaczął ją wykorzystywać. Wszyscy dobrze wiemy, że na przykład sprzedawca odzieży ma kontakt z personelem powiedzmy sklepu spożywczego i wzajemnie świadczą sobie usługi, w pewnym momencie owe „ułatwienia" wpłynęły również i na ustawienie poziomu płac w handlu. Uważam to za poważny błąd, gdyż właśnie w handlu, przez pryzmat którego na co dzień weryfikuje się system ekonomiczny państwa, powinno dążyć się do pozytywnej selekcji kadr. Ale to musi być przecież sprzężone z systemem płac, a — niestety — nie było.

Oczywiście daleki jestem od tego, aby ludziom po prostu dawać pieniądze; oni je muszą zarobić, a zarobek w handlu — tak jak dzieje się to na całym świecie — powinien być bezpośrednio uzależniony od wkładu pracy, obrotów, zysku, rentowności...

Kiedy byłem jeszcze szefem łódzkiego „Otexu", w trzech domach handlowych: „Pionierze", „Juventusie" i „Teofilu" wprowadziłem system tak zwanego niepełnego wewnętrznego rozrachunku. Nie wdając się w szczegóły, polegało to na tym, że część wypracowanych ponad plan zysków od razu przeznaczano na płace. Był to jakby pośredni rodzaj prowizji. I to powodowało, że przy w miarę pełnej podaży, w placówkach tych nie było skarg na obsługę. Sprzedawcy podający towar uśmiechali się do klientów, gdyż zależało im, żeby jak najwięcej sprzedać, a tym samym jak najwięcej zarobić.

— Krótko mówiąc, jest pan zwolennikiem zasady: im większe obroty sklepu, tym większe zarobki jego personelu?

— Naturalnie. Z tym, że aby nie powodować powstawania tak zwanych „kominów płacowych" zarobki należy odpowiednio opodatkować. To prosty i sprawdzony system. Sprzedawca na co dzień powinien wiedzieć, ile zarobi, jeśli sprzeda towary za taką i taką sumę.

— No, dobrze ale skoro wprowadzony przez pana system był tak dobry, dlaczego nie stosowano go szerzej?

— Nie było przepisów, podstaw prawnych. Każde wprowadzenie eksperymentu w danej placówce handlowej wymagało zgody centrali państwowego handlu wewnętrznego. Uważałem i nadal uważam, że było to niepotrzebne. Wprawdzie reforma problem ten zniosła i dyrektor sam ma prawo decydowania o takich sprawach, i ja nalegam na dyrektorów, aby taki system płac wprowadzali, gdzie się tylko da, to jednak nie wszyscy chcą się zgodzić. Łódzki „Domar" wprowadził to z powodzeniem i skarg jest tam znacznie mniej. Natomiast większość dyrektorów twierdzi — i nie bez pewnej racji — że wprowadzenie takiego systemu spowoduje automatycznie zwiększenie odpisów na Fundusz Aktywizacji Zawodowej. Nie ulega bowiem kwestii, że nastąpi wówczas zwiększenie funduszu płac.

Sytuacja jest skomplikowana. Jako handlowiec uważam, że przy ściśle określonym systemie płac prowizyjnych nie powinno być w handlu w ogóle odpisów na FAZ, bo jedno przeczy drugiemu. Ale rozumiem też, że obecnie odpisy na FAZ być muszą, dlatego że chodzi o stymulowanie płac. Bo przecież, realnie rzecz biorąc, jeżeli dostaw do sklepów nie można na razie zwiększyć, to jaki jest sens aktywizować sprzedaż? Trzeba po prostu umiejętnie rozprowadzić towar, aby jak najlepiej wykorzystać kadrę i sieć placówek handlowych — z korzyścią dla kupujących. Tu też mamy więc sprzeczność i stąd taka postawa ustawodawcy.

Mimo wszystko jednak dyskutowałbym z takim poglądem. Na całym świecie siłą motoryczną jest handel, a nie — produkcja. Produkcja powinna wypełniać, zaspokajać zapotrzebowanie handlu czy też wewnętrznego, czy zagranicznego. To prawda znana od dawna. I dlatego uważam, że nawet w obecnej sytuacji, jeżeli handel będzie miał system płac uzależniony od dynamizowania obrotów, a na początku tylko część placówek będzie mieć wysokie obroty, pozostałe zaś będą do tego powoli dochodzić, to jest to dobry kierunek. O to przecież chodzi. Przy okazji powinniśmy mieć też rozwiązany problem złej obsługi, o którym dzisiaj mówimy.

— Obawiam się jednak, że nim do tego dojdziemy, wszyscy — czy to dla przysłowiowego świętego spokoju, czy to pod naporem rozmiarów zjawiska — zaakceptujemy niejako niewłaściwy stosunek sprzedawcy do klienta i później, kiedy być może poprawi się zaopatrzenie, te niedobre nawyki pozostaną. Trudno je będzie wówczas wykorzenić.

— Zgadzam się z panem, taka obawa ma uzasadnienie.

— Co zatem robi się, aby temu przeciwdziałać?

— Co dwa tygodnie organizujemy sztaby zaopatrzeniowe, w których uczestniczą dyrektorzy wszystkich przedsiębiorstw handlowych. Sprawy te są tam omawiane i podejmowane konkretne decyzje. Przyznają, że z różnym skutkiem, ale nie robić nic? Przykładowo WSS „Społem" — organizacja 20-tysięczna — przeszkoliła wszystkich swoich sprzedawców i kelnerów. Były to 5-godzinne szkolenia z udziałem specjalistów, którzy starali się pokazać wszystkie uwarunkowania pracy w handlu i apelowali o zmianę stosunku sprzedawcy do klienta, a także z udziałem łódzkich dziennikarzy, dla których było to na pewno cenne doświadczenie.

— Myślę, że różnego rodzaju szkolenia są niezbędne, ale w obecnej sytuacji nie jest to chyba to rozwiązanie, na które czekamy, gdyż nie rozwiązuje generalnie problemu.

— Oczywiście mamy tego świadomość. Ale jeżeli takie szkolenie choć w pewnym procencie przyczyni się do poprawienia stanu rzeczy, to też jest to coś. Należy więc je prowadzić.

— Tylko czy szkolenia i apele pomogą? Na pewno trafią do przekonania tym, którzy z natury są uprzejmi, a jedynie czasem zdenerwują się za ladą. Ale przecież w handlu różni są ludzie — także na co dzień nieuprzejmi i opryskliwi. I takim ludziom szkolenia nic nie dadzą. Myślę, że po prostu właściwy stosunek sprzedawcy do klienta trzeba wymusić. Jednym ze sposobów jest na pewno ścisłe powiązanie płac z obrotami placówek handlowych o czym była już mowa. Być może należałoby też zwiększyć jeszcze samodzielność sklepów i domów handlowych.

— Zgoda. A poza tym natychmiast trzeba zwiększyć dyscyplinę. W uzasadnionych przypadkach, jeżeli stwierdzi się, że sprzedawca był niegrzeczny, powinien rozstać się on nie tylko z danym przedsiębiorstwem handlowym, ale i z zawodem. Trudno! Można mu dać oczywiście szansę — ale tylko raz, nie więcej. Sprzedawca nie ma prawa wywoływać sporów, ma natomiast obowiązek ich łagodzenia. Taka jest między innymi jego rola. Klient nie może czuć się w sklepie jak intruz, bo i on staje się wtedy niegrzeczny.

Dzisiaj w handlu nie brak rąk do pracy, może z wyjątkiem branży artykułów spożywczych. I dlatego ciągle namawiam dyrektorów, aby dysponując kadrą, korzystali ze swych uprawnień i dokonywali selekcji tej kadry.

— I korzystają?

— Powinni. Ale nie zapominajmy, że sytuacja jest obecnie trudna i nie wszystko od razu da się załatwić. Skoro jednak nie można na razie wprowadzić bardziej efektywnych systemów motywacyjnych, należy skupiać się na poprawie dyscypliny pracy.

— W osiedlu, gdzie mieszkam, pojawiło się ostatnio dużo prywatnych kiosków z warzywami i owocami. Zaopatrzenie jest w nich na ogół dobre, właściciele — a pracują oni ciężko bo sami muszą przywozić sobie towar, sami prowadzić rozliczenia, itd. — zazwyczaj bardzo uprzejmi...

— ...ale bardzo dużo zarabiają. I tu ma pan odpowiedź na pytanie.

— Tak, ale wydaje mi się, że nie tylko o to chodzi. Otóż istnienie dużej ilości punktów sprzedaży rodzi między nimi zdrową konkurencję. Klient ma możliwość wybrania sobie takiego, gdzie jest najlepiej obsługiwany, a sprzedawcom zależy na przyciągnięciu ludzi, gdyż dobrze o tym wiedzą. Tymczasem jeśli na nowym osiedlu są tylko dwa, trzy sklepy spożywcze, to możliwość wyboru jest niewielka. I personel tych sklepów też doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Nie musi się więc wysilać, bo wie, że ludzie i tak muszą tu kupować. Poza tym, jeżeli sklepów jest więcej, nawet bardzo małych, znikają prawie kolejki. A tam, gdzie są kolejki, ludzie denerwują się po jednej i drugiej stronie lady. Czy zatem problem nie leży również w niezbyt licznej sieci placówek handlowych?

— Na pewno tak. W branży warzyw i owoców, o której pan wspomniał, jest olbrzymia potrzeba konkurencji. I my działamy w tym kierunku. Na przykład mamy wielkie pretensje do Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej za niemrawość, za niewykonywanie decyzji handlu w każdą wolną sobotę. Oni z kolei wystąpili do nas o dodatkowe sklepy. Nie dostaną tych sklepów. Dostaną je „Targowiska Miejskie" — nowe przedsiębiorstwo, właśnie dlatego, żeby była konkurencja.

Oczywiście trudno mówić o konkurencji w tych branżach, gdzie występuje znaczny niedostatek towarów, ale warzywa i owoce — proszę bardzo. Bo muszę jeszcze dodać, że te sklepy „Targowisk" to będą byłe sklepy włókiennicze, które obecnie świecą pustkami. W tej sytuacji łódzki „Otex" dał Urzędowi Miasta szesnaście swoich sklepów do dyspozycji na dwa lata, a my przekazujemy je na ten czas, dopóki sytuacja w branży włókienniczej nie ulegnie zasadniczej poprawie, właśnie „Targowiskom". Będzie się w nich sprzedawać warzywa, owoce, pieczywo, nabiał... Staramy się bowiem nie doprowadzać w Łodzi do uszczuplenia sieci handlowej. Marzy mi się przy tym, żeby „Targowiska Miejskie" podpisały umowę z nową piekarnią przy ulicy Wróblewskiego, którą uruchamiamy w styczniu, i na podstawie tej umowy prowadziły ciągłą sprzedaż pieczywa. Ta piekarnia, o wydajności sześćdziesięciu ton na dobę, specjalizować się będzie w wypieku pieczywa o przedłużonej trwałości. Trzeba pokazać, że można inaczej handlować, że można pójść na jakąś specjalizację...

Poza tym niech skończy się wreszcie anonimowość pieczenia chleba, niech kupujący wie, kto jest odpowiedzialny za ten bochenek chleba, który nabył. Jest to drobna rzecz, ale jakże przecież ważna.

— To prawda. Nie odpowiedział pan jednak na pytanie: czy władze miasta myślą o zwiększeniu ilości placówek handlowych? Chodzi mi głównie o nowe osiedla i małe sklepiki z artykułami spożywczymi pierwszej potrzeby, takimi jak chleb, masło, mleko, sery...

— Od dawna stawia się budowlanym zarzut, że na osiedlach mieszkaniowych brak tak zwanej infrastruktury. Ale proszę pamiętać, że podstawowym problemem są mieszkania. Najpierw chcemy gdzieś mieszkać, a dopiero potem domagamy się — i słusznie — żeby były też sklepy, punkty usługowe, żłobki, przedszkola...

Jeżeli chodzi o handel, to staramy się ten problem rozwiązywać. Mogę dać przykład: róg Kopcińskiego i Armii Czerwonej — cały rząd kiosków, zatwierdzonych przez architekturę, gdzie będą sprzedawane te artykuły pierwszej potrzeby. To właśnie organizują „Targowiska". Powoli wszystkie placyki w Łodzi muszą być uporządkowane, wyposażone w sanitariaty i tam zorganizowany handel na zasadach bazarowych. To jest rozwiązanie, a w osiedlach placyków takich jest bardzo dużo. Tam będą wchodzić przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i również prywatne. Taki jest kurs naszych działań.

— Ja dam w takim razie inny przykład. W osiedlu mieszkaniowym stoi pawilon, w którym znajdował się sklep spożywczy. Kilka miesięcy temu sklep ten przeniesiono do bloku, dosłownie sto metrów dalej, ale pawilon jest do dzisiaj pusty. W całym osiedlu są w sumie cztery sklepy spożywcze, a przecież gdyby było ich jeszcze dziesięć, to i tak pewno nie byłoby to za dużo, biorąc pod uwagę, iż mieszka tam kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

— Oczywiście. Można by je nawet wyspecjalizować.

— Dlaczego w takim razie pawilon stoi pusty?

— Jest to przykład niegospodarności dyrekcji WSS „Społem". Ja zainteresuję się sprawą...

— Ale to jeszcze nie koniec. W tymże osiedlu, w bramie jednego z bloków w ciągu paru dni powstał prywatny sklepik, gdzie można kupić pieczywo, warzywa...

— Trafia pan tutaj w jedną z podstawowych rzeczy: motywacji, chęci do działania.

— A czy nie kryje się za tym również ociężałość, niemrawość, biurokracja w administracji państwowej, przedsiębiorstwach?

— Panie redaktorze, przedsiębiorstwa handlowe są samodzielne. Moim zdaniem jest to więc sprawa niedoskonałości systemu ekonomicznego, który pozwala, żeby taki pawilon pozostawić przez pewien okres niezagospodarowany. Albo więc w tym przedsiębiorstwie reforma gospodarcza jeszcze nie zadziałała, albo też jest to wynik czyjejś indolencji.

My tu cały czas mówimy o sprzedawcach — tych robotnikach handlu, ale przecież są też kierownictwa przedsiębiorstw, do których też mamy cały szereg pretensji. Nie zawsze mają chęć wychodzić naprzeciw zasadom reformy, pozostały pewne przyzwyczajenia: jak mi nie kazano, to sam nie zrobię. A przecież są to już samodzielne przedsiębiorstwa, których nikt nie zwolnił z obowiązku zaspokajania potrzeb społecznych.

Reforma gospodarcza jest dla ludzi z inicjatywą. Jeżeli ktoś przyzwyczaił się więc, że może robić tylko to, co mu się nakazuje, powinien szybko zmienić pracę. Odnosi się to szczególnie właśnie do handlu. Już dzisiaj w oparciu o przepisy reformy można w handlu swobodnie pracować. Są, co prawda, pewne zastrzeżenia do tego, że handel jest zbyt wysoko opodatkowany i nie starczy przedsiębiorstwom na rozszerzoną reprodukcję. Są to zastrzeżenia tylko w części uzasadnione, bo jak w obecnej sytuacji można w handlu inwestować, jeżeli nie wszystkie sklepy są wykorzystane. Dlatego dzisiaj nie ma potrzeby rozwijania sieci placówek, jest natomiast obowiązek pełnego wykorzystania tego, czym się dysponuje. I to jest między innymi zadanie dla mnie i wydziału Handlu Urzędu Miasta.

Na przykład ostatnio obrazili się na mnie dyrektorzy z WSS „Społem". Była dyskusja na temat sprzedaży artykułów mięsnych w wolne soboty, zwłaszcza w okresie jesienno-zimowym, kiedy ludzie na ogół nie wyjeżdżają. Chodzi przecież o to, żeby ułatwić klientowi nabycie tego towaru, którego i tak jest niedostatek. Dyrektorzy oddziałów WSS powiedzieli na to, że to nie jest dobre rozwiązanie, bo pracownicy sklepów mięsnych też chcą mieć wolne soboty. Ale przecież podstawową zasadą jest, że handel powinien pracować wtedy, kiedy klient może przyjść do sklepu i kupić. A może właśnie w wolną sobotę, gdyż ma po prostu więcej czasu. Jeżeli zatem istnieje taka potrzeba, nie można od razu mówić: nie. I starałem się WSS o tym na sztabie przekonać.

— Dobrze to o panu świadczy, jako o osobie, która koordynuje w Łodzi pracę handlu, przyznam jednak, że to, co pan powiedział brzmi równocześnie niepokojąco. Bo jeżeli zakładamy, że reforma ma wymuszać środkami ekonomicznymi lepszą pracę, pełniejsze zaspokojenie potrzeb społecznych, to nie powinno być chyba miejsca na to, aby wiceprezydent przekonywał przedsiębiorstwa do tego, co powinno leżeć po prostu w ich interesie. One powinny być do tego zmuszone działaniem praw ekonomii.

— Ma pan rację, ale dwa warunki muszą być spełnione: swobodny dostęp do towaru, a więc zniesienie reglamentacji oraz motywacyjne systemy płac. Jeżeli zostaną one spełnione, handel będzie pracować nie tylko w soboty, ale i w niedziele, gdy zajdzie taka potrzeba, gdy dostrzeże w tym swoje korzyści. Będzie też na pewno dbać o klienta.

— Oby stało się to jak najprędzej. Dziękuję za rozmowę.

Foto: Mirosław Zajdler

P.S.

Powyższa rozmowa przeprowadzona została przed podjęciem decyzji MHWiU o wprowadzeniu reglamentacji masła i pozostałych tłuszczów. Zarówno dziennikarz, jak i jego rozmówca dowiedzieli się o niej z DTv.

Nie ulega wątpliwości, że sposób i termin przekazania społeczeństwu owej decyzji nie wpłynął pozytywnie ani na zachowanie klientów sztormujących sklepy spożywcze, ani też — łódzkich handlowców, którzy nie byli na to absolutnie przygotowani. Postawie jednych i drugich trudno się dziwić — znów „zagrały" emocje. Co gorsza, zupełnie niepotrzebnie. A wydawać by się mogło, że wszystkim nam zależy na uspokojeniu sytuacji w handlu...

„Dziennikarze przyjadą, zrobią pozytywny tekst"

Skandal w ośrodku zdrowia

EDWARD BRYL

Dokończenie ze strony 1

ków i obiboków. Wiadomo, że taki był na weselu, zapił się, ale zwolnienie ma. Niedawno wybraliśmy się na kontrolę do kobiety, która średnio sześć miesięcy w roku „choruje". Pomimo adnotacji, że powinna leżeć, stwierdziliśmy, iż biega po sklepach, wystaje w kolejkach etc. Na drugi dzień z triumfem dostarczyła zaświadczenie własnoręcznie wypisane przez doktora Krawczyka, opatrzone pieczątką, że zezwala chodzić w czasie zwolnienia. Uważam, iż te sterty druków L-4 powinna sprawdzić kompetentna komisja.

Urszula Kubiak, mieszkanka Leśmierza:

— Przez naszego lekarza ja i moja córka o mało co nie wyzionęłyśmy ducha. Na początku tego roku, 3 stycznia, poczułam się bardzo źle. W poczekalni siedziałam od południa, doktor przyjął mnie dopiero po szesnastej, ale już prywatnie. Nic mi nie pomógł. Wyrzucił za drzwi, bo nie miałam pieniędzy. Do domu nie zdołałam dojść, zemdlałam po drodze, zabrało mnie pogotowie. Następnego dnia znalazłam się na stole operacyjnym. Miesiąc czasu przebywałam w szpitalu. Potem z rejonu żadnego zwolnienia nie otrzymałam. Doktor Krawczyk bez pieniędzy nie chciał dać mi ani dnia, mimo że mi się należało. Powiedział, że mogę iść do pracy to zarobię. Kiedy mnie było stać, płaciłam po 250 złotych za dzień, jak podwyższył, to, nawet 500, ale w czasie choroby byłam bez grosza. Byle pijak, gdy zapłaci — dostanie. Mogę podać adresy, nazwiska. Leśmierz jest mały, znamy się tu dobrze wszyscy! Ja, chora musiałam jeździć do lekarza w Ozorkowie, jeszcze półtora miesiąca byłam na zwolnieniu, potem przez dwa przydzielono mnie do lżejszej pracy. W grudniu 1982 roku dużo nie brakowało, a moja 13-letnia córka, Wioletta z powodu zapalenia wyrostka straciłaby życie. Mimo ostrych bólów brzucha, doktor w ogóle nie chciał dziecka obejrzeć za darmo. W ostatniej chwili przyjechało pogotowie. Na sygnale zawieźli córkę prosto na stół operacyjny.

Janina Zawierucha, zam. w Leśmierzu:

— Doktor Krawczyk to przekleństwo dla nas. Ostatni grosz wydrze, nie patrzy, że są małe dzieci, że się nie przelewa... Jak ktoś nie ma gotówki, potrafi wymuszać zapłatę w innej postaci — worek ziemniaków, kurę, jaja. Z pustymi rękoma nigdy nie wyjdzie z mieszkania. Normalną drogą, z legitymacją ubezpieczalni bardzo trudno dostać się do niego. Ogranicza liczbę pacjentów uprawnionych do bezpłatnych świadczeń. Wszyscy „ponadprogramowi", jeśli chcą, mogą zostać przyjęci, ale już prywatnie. W odniesieniu do tych ostatnich żadnych ograniczeń nie ma, są bardzo mile widziani, grzecznie obsłużeni, wysłuchani z uwagą, zbadani. Wszystko to ma miejsce w godzinach pracy dra Krawczyka w przychodni. Ja za każdą poradę płacę 500 zł. Tyle samo za wizytę w domu. Zawsze pan doktor daje mi do zrozumienia, że moja rodzina traktowana jest ulgowo, nie bierze za dojazd, za benzynę — choć mieszkamy kilkadziesiąt metrów od ośrodka i co tu mówić o dojazdach — jednym słowem przyjście do nas, to dla niego żaden interes. Niestety, dla mnie też. Zarobki męża są niewielkie. Ja pracuję w cukrowni tylko sezonowo. W domu dwoje małych dzieci, a bywa, że ostatnie kilkaset złotych muszę doktorowi oddać, nie obchodzi go, że jutro będę bez pieniędzy, nie daruje ani złotówki, każe iść pożyczyć od sąsiadów! A tyle się mówi o bezpłatnej opiece zdrowotnej. Czy w ogóle istnieje! Jeśli tak, to nie u nas w Leśmierzu!

Zofia Saganiuk, zam. w Sierpowie:

— Doktor Krawczyk nawet nie wypisał mi recepty, dla rencisty. Płaciłam sto procent za lekarstwa. Za wizytę żąda od 500 do 800 złotych. Jestem stara, schorowana, często muszę korzystać z pomocy lekarskiej, a skąd na to brać? Moja renta wraz z rekompensatą wynosi 4200 zł. Teraz jeżdżę do lekarza w Grabowie. Z bezpłatnej opieki w naszym ośrodku nie mogę korzystać, doktor Krawczyk „na ubezpieczalnię" nie chce mnie przyjąć.

— Za akt zgonu mojej teściowej zapłaciłam naszemu doktorowi pięćset złotych — powiedziała *Jadwiga Barańska. — Nawet się nie pofatygował zobaczyć nieboszczkę. Przecież w ten sposób można pochować człowieka jeszcze żyjącego...*

Pacjenci, którzy wychodzą z ośrodka są rozmowni, ale wystraszeni. Nie każdy chce ujawnić nazwisko.

— Płacimy także w gabinecie żony doktora Krawczyka nawet za użycie maszyny szybkoobrotowej, jak ktoś nie ma pieniędzy, to wierci w zębach starą, aż w głowie łupie. Tylko forsa dla naszych doktorków ma znaczenie.

— Gada do nas doktor Krawczyk w poczekalni, że musi mieć pieniądze na dolary, bo jego żona, nie może używać tych polskich, śmierdzących kosmetyków, tylko odpowiednie z Pewexu.

— Pamiętam — mówi kobieta z dzieckiem — *jak potraktował gospodynię naszego proboszcza. Przyprowadzili ją, ledwie szła. Ale z gabinetu wyrzucił, widać zapomniała pieniędzy. Kury z księżego stadka zażądał. Przyniosła, dopiero ją przyjął. Bez żadnego pomiarkowania ani litości ten doktor...*

— Ale za to zdolny, bestia — wtrąciła inna — *nie ginekolog, a skrobankę zrobi, jak tylko pieniążki zobaczy.*

Mgr Wiesława Wawrzyniak — kier. laboratorium analitycznego w Ośrodku Zdrowia w Leśmierzu:

— Okoliczni ludzie zyskali jedynie 30-procentowe recepty. Opłacają każdą wizytę, również większość tych w godzinach pracy ośrodka. Do dziś nie mogą zrozumieć, czemu badania laboratoryjne są darmowe, a lekarzowi płacą. Usiłują mi wsuwać do kieszeni pieniądze, czasem wyjaśniają, że tylko sto złotych im po wyjściu od lekarza zostało. Tłumaczę, że nie muszą nic dawać ani jemu, ani mnie. Bronią się zdziwieni. „Jak mamy nie płacić, skoro pan doktór woła". Mnie też kierownik na początku próbował uczyć swoich metod. — „Może pani bez skrupułów inkasować za usługi czy u chorego w domu, czy w ośrodku, ale jedynie w cztery oczy". Kiedyś w przystępie zaskakującej szczerości zapytał, czy nie wiem, ile w Łodzi biorą za zwolnienia, bo on chyba żąda za mało?

Zofia Zdzierska — pielęgniarka z rejestracji:

— Pacjenci „pod dobrą datą" wychodzą ze zwolnieniami. Zdarza się nieraz, że wykrzykują do mnie obelżywe słowa wymachując książeczką „widzisz ty taka owaka, zwolnionko jest". Np. Paweł G., pracownik Spółdzielni Inwalidów w Ozorkowie przychodził często pijany, zawsze dostawał zwolnienie. To są fakty do sprawdzenia.

Zofia Woźniak — pielęgniarka środowiskowa:

— Osiemnastego października zgłosiłam wizytę doktorowi Krawczykowi u Bronisławy Sroczyńskiej ze wsi Muchówka. Powiedział mi — „dobrze znam pacjentkę, zdrowa, ale ciągle narzeka". Nie pojechał. Chora zmarła 27 października 1983 r. Podobna sytuacja była kilka dni wcześniej, odmówił wizyty u rolnika Rogali ze wsi Boczki, chociaż syn przyjechał po niego samochodem. Doktor nie miał czasu, wybierał się akurat... na polowanie. W sobotę, 22 października 1983 r. chory zmarł. Nie są to przypadki odosobnione. Kiedyś powiedział, „kogo nie stać na leczenie, niech umiera" — pani Szczęsna błagała go akurat o pomoc dla męża, który stracił przytomność. Odmówił. Wezwane pogotowie przyjechało, niestety, za późno — zawałowca nie można już było uratować. Doktor nie lubi starych, schorowanych, biednych. Nie chce przyjmować wizyt ode mnie — „Co mi pani nagrywa za pacjentów, samą nędzę, żebraków". Czasami idzie, aby potraktować ich prywatnie. Zdarza się, gdy mówię ludziom, że potrzebny jest doktor, bronią się rozpaczliwie — „Nie mamy już pieniędzy, zawsze trzeba płacić i to niemało".

Henryka Majchrzak — przełożona pielęgniarek:

— Żona dr Krawczyka, stomatolog, dzielnie pomaga mężowi zbijać fortunę. Za prywatne założenie protezy bierze 9 tys. zł. Pacjentom opowiada, że na protezę z ubezpieczalni trzeba czekać aż dwa lata, bo kolejka jest duża. Rzecz jasna, że wszyscy decydują się wtedy na założenie prywatne. Ona też lubi „porządek i dyscyplinę" — „proszę wstać, jak do pani mówię" — wrzeszczy do swojej asystentki Aliny Borzymińskiej. Sam szef też w stosunku do nas jest nieprzyjemny. Wyzywa, ubliża przy pacjentach na korytarzu. Żeby cały czas trzymać nas w szachu wspólnie z żoną podsłuchują wszystkie rozmowy telefoniczne. Nielegalnie, w mieszkaniu podłączył sobie aparat na konto ośrodka. Zakładali mu elektrycy z cukrowni.

W rozmowie ze mną doktór Jerzy Krawczyk kategorycznie zaprzeczył:

— Od nikogo, nigdy nie przyjąłem ani złotówki. Ja tym ludziom nieba bym przychylił. Tylko dobro pacjenta leży mi na sercu. Podchodzę do nich z największą wyrozumiałością. Np. młody chłopak z cukrowni, pije, powinien mieć numer statystyczny choroby 980. Nie mam serca go wpisywać, straciłby trzynastkę, premię, Niewdzięcznicy! Kto śmie mnie oczerniać; przed sądem postawię...

Ludzie jednak twierdzą co innego. Jedna z rozgoryczonych pacjentek — ofiarowała się przynieść zwolnienie za pieniądze, bym je wziął jako dowód rzeczowy.

Taka sytuacja w Leśmierzu trwa od trzech lat; mimo sygnałów ZOZ zgierski ani łódzki Wydział Zdrowia nie zainteresował się sprawą bliżej, dlaczego? W chwili uniesienia lekarz z Leśmierza powiedział mi:

— Redaktorze, ja tu nikogo się nie boję! Mam wpływowych przyjaciół w dyrekcji ZOZ, palcem nie dadzą mnie tknąć, a i sam zastępca lekarza wojewódzkiego dr Rześniowiecki jest moim kumplem jeszcze ze studiów!

Kiedy po kilkunastu dniach złożyłem ponowną wizytę w Leśmierzu, pracownice ośrodka powiedziały mi, że doktor Krawczyk chyba się upewnił, że artykułu nie będzie, bo ponownie zaczął im dokuczać i zapowiedział, że nawet jeśli coś przeciwko niemu się ukaże, kontratak jest już przygotowany! Łódzki Wydział Zdrowia ma dobre układy z prasą lokalną, z tygodnikiem „Służba Zdrowia" — dziennikarze przyjadą, zrobią pozytywny tekst, znajdą się jeszcze pacjenci w Leśmierzu, co dobrze o nim powiedzą, sam do nich „prasę" poprowadzi.

Osobiście nie wierzę w „mocne plecy" doktora Krawczyka, ale sam fakt, że czuje się bezpieczny, bezkarny, świadczy, iż klimat jaki wytworzono dla tego typu działalności jest wyjątkowo sprzyjający. Wielu medyków wiejskich traktuje swój zawód jako źródło łatwego i szybkiego zarobku. Nie zawsze tak drastycznie jak lekarz z Leśmierza, ale na ogół skutecznie. Za wizyty poza godzinami pracy ośrodków wiejskich, rolnicy płacić będą zawsze. Przydałby się więc jakiś urzędowy cennik i bardziej wyczulone na skargi pacjentów ucho władz służby zdrowia. W żadnym wypadku nie można dopuścić, aby różni „Krawczykowie" ciągnęli niepomierne zyski z nielegalnych praktyk i jawnie łamali praworządność.

EDWARD BRYL

Kompleks Otella

W. KASA

W zacisznej kamienicy, zamieszkanej przez cztery rodziny, lokatorzy sposobili się do konsumpcji krzepiących wiadomości dziennika wieczornej telewizji. Józef R., emeryt lat 69, ze średnim wykształceniem, włączył aparat i usłyszał straszny krzyk. Nie były to jednak odgłosy ulicznej manifestacji ani dziki wrzask stadionowej hołoty, bo telewizor nie zdążył się nagrzać.

— To idzie z dołu — szepcze struchlała żona, sześćdziesięciopięcioletnia pakowaczka artykułów spożywczych na emeryturze. — A zawsze szło z góry nie?

— Nie politykuj, tylko sprawdź! — osadził ją mąż.

— Jako chłop masz pierwszeństwo, nie?

— Będę cię ubezpieczać, kobieto!

Mąż pchnął bohatersko żonę na zwiady, postępując z tyłu na palcach. Słyszą jęki, widzą stojącą w korytarzu sąsiadkę, Stefanię K., emerytkę lat 65, która trze oczy i płacze. Dalej leży wiadro w kałuży wody, kupa bielizny, a z tyłu wije się z bólu i szlocha Janina D., siedemdziesięcioletnia wdowa.

— Nie widzę, oj, nie widzę! — zawodzi z rozpaczą.

Ludzie płaczą, bo szczypie w oczy, śmierdzi octem lub kwasem. Józef R. pomaga więc Stefanii K. wynieść Janinę D. na podwórze i posadzić na ławce. Nieszczęsna kobieta łapie trochę świeżego powietrza i jęczy przez łzy:

— Nie kłóciłam się, był czas, że syna małego zostawiała mi pod opieką, a teraz oblała...

— Stało się — szepcze przerażona Stefania. — Odgrażała się, nikt z nią nie rozmawiał, i zrobiła swoje...

— Ja też ją zaskarżę! — wrzeszczy Józef R., potrząsając ręką, bo przy przenoszeniu sąsiadki poparzył sobie jakimś piekielnym płynem łokieć i dłoń.

Wiedzą, że to sprawka Haliny M., która ma fizia na punkcie właściciela domu, Antoniego G., z którym żyje na kocią łapę. Dyskutują, pomstują, wreszcie widzą, że Janina bluzkę ma popaloną, a na twarzy białe plamy. Stefania obmywa jej twarz wodą, robi kompresy, a Józef R. dzwoni po pogotowie.

Przybywa syn Janiny, Piotr P., 27-letni technik mechanik, i dzwoni na milicję donosząc, że na jego matkę dokonała zamachu Halina M., skłócona ze wszystkimi kobietami, bo jej uwodzą konkubina Antka.

— Przecież ona młodsza ode mnie o dwadzieścia lat — mówi poparzona kobieta. — Nic mnie z tym jej G. nie łączy.

— Ale w styczniu pani groziła! — przypomina Stefania.

— Ano, wezwała mnie do siebie, potrząsnęła szczotką do zamiatania i ostrzegła, żebym nie chodziła do jej przyjaciela...

Nadjechało pogotowie. Zygmunt Pawlik, lekarz ze szpitala klinicznego WAM, stwierdził u Janiny D. zmatowienie rogówek obu gałek ocznych oraz pęcherze na skórze twarzy i klatki piersiowej. Z ubrania wydzielała się woń przypominająca zapach kwasu octowego lub mrówkowego. Ze względu na zagrożenie oczu lekarz odwiózł kobietę do Szpitala im. Barlickiego.

Halina M. oddała milicjantom buteleczkę zakręconą białą zakrętką z tworzywa sztucznego, z otworem o średnicy 3 mm.

Ekspert stwierdził, iż znajdowała się w niej reszta kwasu mrówkowego o stężeniu siedmioprocentowym. Taki kwas, o znacznej toksyczności, wywołuje swędzenie, palenie oraz zapalenie skóry, a że jest przez nią nadmiernie wchłaniany, powstają pęcherze.

U Janiny D. nastąpiło naruszenie czynności wzroku i czynności ochrony skóry na okres czasu powyżej siedmiu dni. Bardzo znaczne osłabienie ostrości wzroku oraz zagrażającą obustronnie zaćmę należy — według opinii lekarzy — traktować jako ciężkie kalectwo.

Wobec powyższego Halinę M. osadzono w areszcie. Wydaje się, że ona także padła ofiarą zaćmy. Umysłowej.

Bo chorobliwa zazdrość, która w niektórych przypadkach przyjmuje postać choroby psychicznej, w medycynie sądowej znana jest jako „kompleks Otella".

Czy Halinę M., matkę 23-letniego syna, którego ojcem jest Antoni G., można podciągnąć pod tę kategorię?

Halina mieszka w kamienicy od 1957 roku, jako brakarz zarabia 9 tys. zł, ile zarabia konkubin, nie wie, a syn jest w wojsku. Jak doszło do tragedii, możemy się dowiedzieć z dialogu, jaki wywiązał się między Haliną M. i przesłuchującymi ją funkcjonariuszami.

A więc czy Antoni G. był babiarzem?

— W przeszłości miał kontakty z kobietami, ale nieoficjalnie, poza domem. Gdy podjął pracę w SDH, stał się niemożliwy. Zaniedbał dom i rodzinę, czyli syna. Z obserwacji moich i z opowiadań sąsiadów wynika, że konkubin zanosi prezenty różnym babom do różnych domów. Wybiera samotne. Mojej siostrze zanosił i jednej kucharce z młyna, i takim, których nie znam...

Janina D. mieszka w tym samym domu. Czy Halina widziała ją razem z Antonim?

— Osobiście nie widziałam go w jej towarzystwie. Ale wiem, że od roku spotykali się, chodzili na spacery, pokazywali się w miejscach publicznych. Ona się z tym nie kryła, powiedziała otwarcie, że uwodzi mi chłopa. Ostrzegłam ją, żeby nie przychodziła do mojego mieszkania i nie spędzała całych nocy w pokoju Antoniego...

Ciekawe. Ten konkubinat nie trzyma się kupy, nie mieszka razem?

— Antek stał się napastliwy, toteż od dwóch lat siedzimy w jednym mieszkaniu, ale w różnych pokojach. Były interwencje MO, ale bez skutku. Moje uwagi i groźby pod adresem pani D. też nie dały żadnego skutku. Śmiała się i mówiła sąsiadom, że mnie wyrzuci z mieszkania. Wszyscy są przeciwko mnie...

Należy zadać pytanie, dlaczego?

— Bo mają korzyść z mojego przyjaciela, a nie ze mnie. On daje prezenty pani D., a ona rozdaje sąsiadom. Janina chce mieszkanie dla syna, więc musi pozbyć się mnie. Sąsiedzi byliby z tego szczęśliwi. Buntują Antoniego, ten mi dokucza i grozi, że wyrzuci...

Czy sąsiedzi naprawdę przykładają do tego rękę. Według Haliny M. z całą pewnością.

— Sąsiedzi od stycznia zaczęli na poważnie, że wywalą mnie z PZPR, z pracy, z mieszkania. Zaczęłam się bać...

Ze strachu Halina M. ukradła w fabryce kwas mrówkowy, który służył tam do zapierania plam na tkaninach. Po prostu wzięła butelkę ze stanowiska „zapieracza", nalała do buteleczki i w obawie przed sąsiadami zaczęła nosić w torebce.

— W zakrętce zrobiłam dziurę, jak zaatakują, to będę się bronić!

No tak, ale przecież nikt jej nie zaatakował.

— Jak to, nie? Wyglądam przez okno, a ta stara D. sprząta z podwórka bieliznę rozwieszoną na sznurku. Zdenerwowałam się i straciłam panowanie nad sobą. Zemsta! Zemsta za poniesione krzywdy! Zaczaiłam się z buteleczką i gdy Janina nadeszła, wypadłam zza drzwi i bez zastanowienia nad skutkami chlusnęłam prosto w twarz. Trzy razy ją oblałam! A potem do pokoju i sza . Tylko, że, cholera, sama też się oblałam...

No dobrze, ale co ją tak zdenerwowało?

— Ano, bo jak ta D. ściągała ze sznurka łachy to pośród bielizny zobaczyłam czerwony ręcznik Antoniego G. i jasna krew mnie zalała...

Mówią, że czerwona płachta działa na byka. A tu takie małe czerwone wyzwoliło kompleks Otella w spódnicy.

— *Widzew zapłacił 21 milionów zł za Dariusza Dziekanowskiego i jakoś nie widać, aby miał z niego wielki pożytek.*

— Nie można tak powiedzieć. Dariusz Dziekanowski znalazł się w zupełnie innych warunkach niż te, które miał w warszawskiej Gwardii. Tam był jedynym, najlepszym. Dawano mu wszystko, czego potrzebował. Przyszedł do Łodzi, gdzie jest inne środowisko piłkarskie. Tutaj jest więcej utalentowanych piłkarzy, którzy grają w piłkę nie gorzej od Dziekanowskiego. Nie zapominajmy przecież, że to jest młody chłopak, któremu przyszło nagle wieść życie dorosłego mężczyzny, który musiał zetknąć się z wieloma bulwersującymi sprawami.

Proszę pamiętać, że to wszystko co pisano o tym młodym chłopcu i 21 milionach musiało w jakiś sposób na nim się odbić. Przecież na początku myślano, że to Dariusz Dziekanowski otrzymał 21 milionów złotych. Czy sądzi pani, że w zespole też go tak łatwo przyjęto? W drużynie, co prawda, nikt w to nie wierzył, ale jak się wokół kogoś robi tyle hałasu, to mimo wszystko inaczej się już na niego patrzy.

Wiosną Widzew będzie nie do poznania

Rozmowa z prezesem Robotniczego Towarzystwa Sportowego Widzew — LUDWIKIEM SOBOLEWSKIM

Musiał się więc adaptować do nowych warunków. Przyszedł do nas nie przygotowany do sezonu. Pierwsze dwa mecze miał dobre, później grał gorzej. Ale Widzew będzie miał z niego pożytek. Jeszcze będzie o Dariuszu Dziekanowskim głośno w Polsce.

— *Przy okazji, jak pan sądzi, skąd się wziął ten hałas wokół transferu Dariusza Dziekanowskiego?*

— Transfery piłkarskie nie są niczym nowym. Przedtem też się przecież płaciło różne sumy, ale tylko część z tego ujawniano. Robiono różne kombinacje. Zawsze byłem za tym, aby przejścia piłkarzy z klubu do klubu były jawne i aby głośno mówiono, ile to kosztuje. Tak zrobiliśmy. Podniósł się krzyk. Mamy przecież konkurencję. Widać nie wszystkim to na rękę. Nadal jednak uważam, że takie sprawy trzeba załatwiać jawnie i otwarcie. I tak będziemy robili.

— *Czy z innych piłkarskich nabytków też jesteście zadowoleni?*

— Tak. Bardzo dobrym nabytkiem jest Wijas. Będzie z niego pożytek. Na dobrej drodze są Świątek i Myśliński.

— *Ale tego wszystkiego nie było widać ani w Białymstoku, ani tym bardziej w Pradze.*

— Dla mnie mecz w Pradze nie był zaskoczeniem. Kiedy obejrzałem Spartę w Białymstoku i pomyślałem, że w Pradze Czesi mogą zagrać jeszcze lepiej, to wiedziałem, że Widzew mogą uratować dwie udane kontry. I gdyby to się udało Dziekanowskiemu, sytuacja byłaby zupełnie inna. Poza tym akurat słabszy dzień miał Józef Młynarczyk. Przy normalnej formie dwie z tych trzech bramek Młynarczyk powinien był obronić. Ale stało się inaczej i nie ma powodu do rozpaczy.

— *Skąd pan bierze ten optymizm?*

— To nie jest optymizm. Mnie nie wolno ulegać emocjom. Na drużynę i zawodników muszę patrzeć chłodno, rozważnie i fachowo. Gdybym ulegał emocjom, mógłbym popełnić jakiś błąd, a w piłce nożnej każdy błąd jest rzeczą niedopuszczalną.

— *I co wynika z tego fachowego patrzenia?*

— Czy pamięta pani poprzednie opinie o Wójcickim? A przecież Wójcicki rozwinął się dopiero w Widzewie. Wiesław Wraga też u nas przekroczył próg między juniorem i seniorem, i dalej się rozwija. Takie możliwości mają inni. Ale to się nie staje od razu. Przecież Wijas nigdy jeszcze nie grał w pucharowym meczu. Leszczyk przyszedł z III ligi. Tym chłopcom brakuje doświadczenia, ograna, sprytu. Muszą go zdobyć na boisku, w grze.

— *Wiązał pan duże nadzieje z Kajrysem.*

— I nadal je wiążę. Kajrys ma teraz kłopoty ze zdrowiem, miał kontuzję. Myślę, że pożytek z niego będziemy mieli dopiero wiosną.

— *Widać z tego, że trener Żmuda nie miał łatwego zadania przed meczem ze Spartą.*

— Ano, nie miał. Włodzimierz Smolarek grał po kontuzji. Wijas i Dziekanowski dopiero wchodzą do zespołu. Kajrys i Świątek — kontuzje. Na dodatek, przed meczem ze Spartą, 4 zawodników daliśmy na mecz z Portugalią. Nie twierdzę, że gdyby nie grali w tym meczu, to inaczej gralibyśmy w Pradze, ale zawsze, tych czterech tamten mecz mieli — jak to się mówi — w kościach. Tak więc nasi zagrali, jak mogli, na ile ich było stać.

— *Kibice przywykli jednak, że Widzew to drużyna eksportowa. I rozczarowali się.*

— Kibice powinni pamiętać, że Widzew w ciągu dwóch lat dwa razy się przebudowuje. Poprzednio został jednak stary doświadczony trzon zespołu. Teraz jest inaczej. Ale mogę kibiców uspokoić, wiosną Widzew będzie zupełnie inny. Nie do poznania.

— *Póki co w I lidze wyprzedził was beniaminek, wałbrzyski Górnik. Co pan o tym sądzi?*

— Osiągnęli piękny wynik. Ale ja poczekam do drugiej rundy. Wolałbym się teraz na ten temat nie wypowiadać.

— *Ale może pan ocenić pozycję Widzewa w I lidze.*

— Tak. Myśmy zakładali, że powinniśmy zdobyć minimum 18 punktów, co daje nam szansę na zajęcie dobrej pozycji w końcu sezonu. Osiągnęliśmy — przed meczem z Legią — 19 punktów. Dwa, trzy punkty straciliśmy niepotrzebnie. Można było tego uniknąć. Ale też mieliśmy niekorzystny dla nas układ. Siedem meczów graliśmy w Łodzi, 8 na wyjeździe. Również mecze pucharowe rozgrywaliśmy poza Łodzią.

W drugiej rundzie będzie inaczej. Dziewięć meczów gramy w Łodzi. Daje to szansę na zdobycie 14—15 punktów. Ale Widzew dobrze gra też na wyjeździe.

— *Dobrze, ale przecież zdaje pan sobie sprawę, że te punkty trzeba zdobyć. Aby je zdobyć, trzeba strzelać gole, a z tym również w Widzewie nie jest najlepiej.*

— To prawda. Jest to bolączka wszystkich naszych drużyn. Gdyby piłkarze Lecha mieli lepszą skuteczność, to wyeliminowaliby drużynę z Bilbao.

— *To nie jest jednak usprawiedliwienie dla Widzewa.*

— Wcale nie mam zamiaru nikogo usprawiedliwiać. Tylko że prawda jest taka, iż dobrzy napastnicy nie rodzą się na kamieniu. Nie przypadkiem najwyższe transfery obejmują właśnie napastników. O nich jest też najtrudniej.

— *Widzew ma takich?*

— Mamy. Myślę o Dziekanowskim, Leszczyku i Smolarku.

— *Nie zaprzeczy pan jednak, że naszym piłkarzom brakuje wyszkolenia technicznego. Wychodzi to, aż nazbyt jaskrawo, w spotkaniach z zagranicznymi drużynami, czy to w meczach międzypaństwowych, czy w pucharowych. Skąd to się bierze? Czy tylko stąd, że piłkarzom nie chce się pracować na treningach?*

— Przyczyna jest inna. U nas po prostu zbyt łatwo piłkarz awansuje do drużyny pierwszoligowej. Przychodzi do niej nie przygotowany i często brakuje mu ambicji, aby się dalej doskonalić.

— *Twierdzi pan, że w drużynach I ligi są zawodnicy, którzy do tych drużyn jeszcze nie dorośli.*

— Moim zdaniem, w każdej drużynie klubowej jest po 6—7 zawodników reprezentujących poziom I ligi.

— *A ilu jest takich zawodników w Widzewie?*

— Mamy 16 zawodników na średnim poziomie polskiej ekstraklasy.

— *Czy nie jest to ocena zbyt optymistyczna?*

— Nie. Powiem więcej. Mamy 9 zawodników na takim poziomie, który niezbędny jest, aby drużyna mogła grać w europejskich pucharach.

— *Ale nie zaprzeczy pan, że za przegraną w Pradze winę ponosi obrona Widzewa?*

— Zgadzam się z tym. Istotnie, wszystkie trzy bramki w Pradze w meczu ze Spartą padły z ewidentnej winy naszej obrony.

— *I nie zaprzeczy pan chyba również, że druga linia w Widzewie też nie sprawuje się najlepiej.*

— Też się z tym zgadzam. Dlatego też w zarządzie Widzewa uważamy, że naszej drużynie potrzeba dwóch zawodników: dużej klasy rozgrywającego i stopera.

— *Jaki więc stąd wniosek?*

— Prosty. Musimy postarać się o tych dwóch zawodników. Ale to nie będzie łatwe. Przede wszystkim jest duża konkurencja, a poza tym, jak zwykle w takich sprawach, daje o sobie znać ludzka zawiść i zazdrość. Trzeba będzie te przeszkody pokonać.

— *Własnych wychowanków nie macie?*

— Mamy. Jest kilku młodych chłopców dobrze się zapowiadających, ale musi minąć jeszcze sporo czasu, nim będą mogli grać w pierwszoligowym zespole. Trzeba więc na nich poczekać.

— *A na to czasu nie macie.*

— Nie mamy. Problem ten trzeba rozwiązać wcześniej.

— *Jaki cel stawiacie sobie w tym sezonie?*

— Wolałbym tego nie precyzować. W każdym razie chcielibyśmy zająć takie miejsce, które dawałoby nam możliwość zagrania w europejskich pucharach.

— *A cel perspektywiczny?*

— Nie ukrywałem tego i nie mam zamiaru ukrywać. Chcemy zagrać w finale Pucharu Europy. I pod ten cel przygotowujemy zespół.

— *Byłoby to piękne. Nie wątpię, że wam się to w końcu uda. Ale pomówmy jeszcze o teraźniejszości. Zawsze się mówiło, że wasza drużyna ma charakter. Mówiło się: „widzewski charakter". Czy teraz można powiedzieć o drużynie, że ma ten „widzewski charakter"?*

— Sądzi pani, że może być inaczej?

— *Jakoś nie bardzo to widać.*

— Jak się dobrze przypatrzyć, uważnie i spokojnie, to tak. Chłopcy zdawali sobie sprawę, że w Pradze będzie ciężko, ale chcieli walczyć i walczyli, jak umieli.

— *Chodzą plotki, że Józef Młynarczyk wybiera się za granicę. Czy to prawda?*

— Ludzie lubią plotki, więc wymyślają różne rzeczy. Ale to nie jest prawda. Zresztą, gdyby Józef Młynarczyk wybierał się za granicę, to my przecież nie zostaniemy bez bramkarza. Bolesta jest bardzo dobrym piłkarzem. Ma tylko pecha, że jest w drużynie, w której gra reprezentacyjny bramkarz.

— *Jeśli wierzę, że wiosną Widzew pokaże jeszcze, co potrafi i znów będzie się mówiło o „widzewskim charakterze", to jakoś nie mogę uwierzyć w przemianę polskiej reprezentacji piłkarskiej. W czym, pana zdaniem, tkwi przyczyna słabości?*

— Jest to dość skomplikowane. Wydaje mi się jednak, że PZPN oderwało się od klubów. Na przykład, nie zaprasza się na posiedzenia Prezydium Zarządu PZPN prezesów klubów ligowych, członkowie Prezydium nie jeżdżą po klubach, nie znają naszych problemów. A bez kontaktu z 16 klubami ligowymi PZPN solidnej reprezentacji nie stworzy. Nie widzę innej drogi, jak ścisła współpraca z klubami.

— *Dziękuję za rozmowę i życzę zrealizowania ambitnych zamierzeń i odbudowania, a właściwie zbudowania na nowo dobrej drużyny.*

— Dziękuję. Jeśli nic nam nie przeszkodzi, jeśli ktoś gwałtownie nie wezmą do wojska, to na wiosnę — już to mówiłem — Widzew powinien być nie do poznania. To będzie inna drużyna, taka z widzewskim charakterem.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Foto: Mirosław Zajdler

Kronika kulturalna

W ŁODZI odbywa się ważna impreza muzyczna: Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny im. K. Szymanowskiego. Organizatorem Konkursu jest Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, noszące imię tego wielkiego kompozytora, patronuje mu zaś Ministerstwo Kultury i Sztuki, Urząd Miasta Łodzi oraz Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych województwa miejskiego łódzkiego.

W konkursie bierze udział 20 uczestników, wśród nich pięciu łodzian: **Beata Cywińska, Teresa Czekaj, Adam Manijak, Monika Rosca i Elżbieta Różycka.**

Zakończenie konkursu i koncert laureatów przewidziany jest na 20 listopada.

OSTATNI piątek i sobota minęły w Filharmonii Łódzkiej pod znakiem debiutów. Po raz pierwszy przed łódzką publicznością wystąpił Zbigniew Andrzej Zając, młody dyrygent, absolwent krakowskiej Akademii Muzycznej. Po raz pierwszy usłyszeliśmy też skrzypka Romana Lasockiego, prowadzącego działalność koncertową, od dawna znanego w kraju, a także w Budapeszcie, Berlinie, Sofii, Londynie i Paryżu, dziekana Wydziału Instrumentalnego Akademii Muzycznej w Katowicach.

ORKIESTRA symfoniczna Filharmonii Narodowej udała się 28 października na 53 zagraniczne tournée. W listopadzie polscy muzycy będą koncertować w USA, gdzie dadzą 19 koncertów, m. in. w Nowym Jorku, Bostonie, Miami Beach. Koncerty poprowadzą: **Kazimierz Kord i Tadeusz Strugała,** zaś solistami będą światowej sławy pianiści: **Claudio Arrau, Misha Dichter** (amerykański pianista, laureat międzynarodowego konkursu im. P. Czajkowskiego w Moskwie w 1958 roku) i **Steven De Groot.** W programach koncertów znajdą się utwory kompozytorów polskich i zagranicznych, wykonane będą m. in. dzieła Chopina, Bolesława Szabelskiego, a także Beethovena, Brahmsa i Szostakowicza.

NAJMŁODSZA generacja twórców z zielonogórskiego środowiska plastycznego zainicjowała w mieście nowy cykl ekspozycyjny. Nazywa się „Laboratorium młodych". W galeriach Wyższej Szkoły Pedagogicznej oraz Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki wystawiają swe prace młodzi artyści ze Szczecina, Łodzi, Lublina, Krakowa i Warszawy oraz Zielonej Góry, którzy dotąd nie wyszli poza zacisze domowych pracowni.

W WARSZAWIE, w pałacu Tyszkiewiczów-Potockich przy Krakowskim Przedmieściu czynna jest wystawa **„Sobiesciana w zbiorach Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie".** Ekspozycja ukazuje piśmiennictwo związane z osobą króla Jana III Sobieskiego, rękopisy, stare księgi z XVII i XVIII wieku, rysunki i grafikę.

W MUZEUM Narodowym w Damaszku otwarto wystawę „Interpress photo 1983", zorganizowaną przez Międzynarodową Organizację Dziennikarzy i Związek Dziennikarzy Syrii. Międzynarodowe jury przyznało **Tadeuszowi Zagożdzińskiemu** tytuł „Mistrza międzynarodowej fotografii prasowej" oraz wyróżnienie za zdjęcie „Śmierć w czasie akcji" (wojna w Libanie). W dziale portretu Węgier, **Z. Polya,** otrzymał srebrny medal za „Portret wicepremiera Rakowskiego".

INSTYTUT Niemiecko-Polski w Darmstadt przyznał nagrodę dla Najlepszego Tłumacza z Literatury Niemieckiej. Nagrodę tę (wyasygnowaną przez Fundację Boscha) otrzymała nasza tłumaczka, **Teresa Jętkiewicz-Rządkowska.**

TEATR UNIVARIUS Estrady Łódzkiej odniósł kolejny, ważny sukces w roku bieżącym.

Po nagrodach na Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Jednego Aktora w Toruniu, Ogólnopolskich Spotkaniach Estradowych w Rzeszowie, Bydgoskich Spotkaniach Teatralnych — wystąpił w dn. 19 -21 października na Lubelskich Prezentacjach 83 (przegląd najciekawszych form artystycznych roku).

Spektakl **„ARTYCHA" Ryszarda Bigosińskiego** w wykonaniu **Leszka Benke** został uznany za jedno z największych wydarzeń imprezy.

Rozstrzygnięcie ogólnopolskiego konkursu literackiego o nagrodę „Czółenka Tkackiego" – 1983

Jury Konkursu w składzie: **Igor Sikiryeki** (przewodniczący), **Henryk Pustkowski, Jerzy Jarmołowski, Andrzej Karolczak, Zbigniew Dominiak i Andrzej Adler** na posiedzeniu w Zakładowym Domu Kultury ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex" po rozpatrzeniu 260 zestawów prac dokonało następującego podziału nagród i wyróżnień:

I. W DZIALE POEZJI

I nagroda — „Czółenko Tkackie" i 7000 zł — **Marek Bromera** (Godło „777") za cykl wierszy

II nagroda — 5000 zł — **Jerzy Stasiak** (Godło „23") za cykl wierszy pt. „Listy"

III nagroda — 3000 zł — **Stefan Pastuszewski** (Godło „Ewelina") za cykl wierszy pt. „Mój dom"

Wyróżnienie — 1000 zł — **Józefa Bartnicka** (Godło „Fabryczna dziewczyna") za wiersz pt. „Nietolerancja"

Wyróżnienie — 1000 zł — **Janusz Koryl** (Godło „Pieszczota"), za wiersz pt. „Polowanie"

Wyróżnienie — 1000 zł — **Marek Grala** (Godło „Faust" za wiersz pt. „Ofiara ewolucji"

Wyróżnienie — 1000 zł — **Stanisław Filipowicz** (Godło „Awers") za wiersz pt. „Zbrodnia Ikara"

Nagroda Specjalna Stowarzyszenia Twórców Kultury — 10000 zł — **Leszek Jaraczewski** (Godło „Droga") za poemat „Idę"

II. W DZIALE PROZY

I nagroda — nie przyznano

Dwie II nagrody ex aequo — po 7000 zł — **Beata Trocha** (Godło „Dea") za utwór pt. „Uwierzyć w marzenia" — **Janina Krawczyk-Włoch** (Godło „Kaja") za utwór pt. „Na początku były koty"

III nagroda — 5000 zł — **Marek Grabowicz** (Godło „Samotnik") za utwór pt. „Hera jak Kirke, która"

Wyróżnienie — 1000 zł — **Tadeusz Charmuszko** (Godło „Ocelot") za utwór pt. „Przebudzenie"

III. W DZIALE REPORTAŻU (NAGRODY „ODGŁOSÓW")

I i II nagrody nie przyznano

III nagroda — 6000 zł — **Jacek Binkowski** (Godło „Aron") za utwór pt. „Kalejdoskop..."

Wyróżnienie — 4000 zł — **Paweł Lisiewicz** (Godło „Berkut") za utwór pt. „Czternaście dni i nocy PIASTA"

IV. W DZIALE BAJKI DLA DZIECI

I nagroda — „Czółenko Tkackie" i 12000 zł — **Grażyna Bąkiewicz** (Godło „Koliber") za utwór pt. „Ptasie bajdy"

II nagroda — 10000 zł — **Magdalena Smolarkowa** (Godło „Magdalena") za zestaw bajek

III nagroda — 8000 zł — **Henryk Panusz** (Godło „Słonik") za utwór pt. „Niedzielna wyprawa"

Wyróżnienie — 4000 zł — **Maksymilian Kozłowski** (Godło „Nomel") za utwór pt. „Mądry król"

Marek Bromera (godło „777")

Mojemu stryjowi

w czterdziestym szóstym byłeś jeszcze całkiem zielony
sprawdzałeś w encyklopedii co znaczy słowo referendum
pisałeś na murach — 3 razy tak
a później w ZMP
znałeś na pamięć całego Stalina umiałeś
porządnie wiązać czerwony krawat
byłeś wrogiem imperializmu nieprzyjacielem
ziemniaczanej stonki swoją dziewczynę
poznałeś przy budowie Nowej Huty pewnego razu
ktoś wyśledził wasz pocałunek musieliście
złożyć publiczną samokrytykę
masz jeszcze to pożółkłe zdjęcie ona
w źle uszytej sukience i ty junak
ze Służby Polsce nawet dość przystojny
nie miałeś jeszcze tego brzucha
kolorowego telewizora nowego fiata
i swoich pięćdziesięciu lat

Jerzy Stasiak (godło „23")

Z cyklu „Listy"

Bo czym jest mój drogi
nasze skromne życie
jeśli nie odkrywaniem na nowo
jego największych uroków
jeśli nie odkrywaniem ciągłym siebie
i naszych braci krwi
co wędrują z nami ponad murem milczenia
i obojętności
spalamy się szybko
w ciasnych pokojach sublokatorskich
w zadymionych kawiarniach
przepijanych rozmów
jest w tym wiele zgrywy
a i wiele goryczy
że coraz nas mniej i mniej
a wiersze więdną nawet w maju
mało co nas cieszy
i nasze żony kołyszą nas wieczorami
jak neurotycznych kochanków
czasem ktoś wpadnie jak po zapałki
pokręci się trochę wśród suszonych pieluch
i idzie z tym coraz cięższym plecakiem
coraz dalej i dalej
szukając szczęścia z okien
pędzących pociągów
bo czym jest mój drogi
nasze skromne życie co nam wycieka przez palce
jeśli nie szukaniem najbardziej nieprawdopodobnej miłości
a tutaj jeszcze śmierć trzeba pytać o drogę
przyjedź
napijemy się dobrej nalewki

„Czółenko Tkackie" – 1983

Mówią, że Łódź jest miastem włókniarek, mówią, że w Łodzi przed godziną dwudziestą drugą najwięcej kobiet w środkach komunikacji miejskiej, bo z pracy wychodzą i do pracy idą...

Zalegają tramwaje z wypchanymi siatkami i lekko podkurczoną jedną nogą. To ze zmęczenia. Te, którym udało się znaleźć siedzące miejsce mają przymknięte oczy i głowę opartą o szybę. To ze zmęczenia i niewyspania. Zalegają sklepowe kolejki, stojąc zapatrzone i jakby rozkojarzone. To ze zmęczenia, niewyspania i ciągłego myślenia. Myślenia o domu, dzieciach, obiedzie, praniu, sprzątaniu, zakupach, kolejkach ubraniach, pieniądzach.

Nieufne i senne, niechętne do uśmiechu, niechętne do głupich rozmów o niczym. Niechętne do zwierzeń i podawania nazwisk do wiadomości publicznej. Jakby zamknięte w sobie i w kręgu własnej rodziny.

Kiedyś wpisywali w dowód — pracownik fizyczny. Albo prządka, tkaczka, dziewiarka. Młode, uważające się za zmęczone życiem. Żony i matki, rzadziej po prostu kobiety bez jakiejkolwiek przynależności.

Najbardziej nie lubią Dnia Kobiet i nocnej zmiany w fabryce, bo w Dzień Kobiet — to jakby się nagle wszyscy obudzili, że one w ogóle istnieją. A nocna zmiana, wiadomo najcięższa.

O ZMĘCZENIU:

Owszem, bywają zmęczone Ostatnio coraz częściej. W pracy najbardziej bolą nogi, kiedy się trzeba całe osiem godzin krzątać wokół maszyny. Później jeszcze odstać swoje w zatłoczonym tramwaju, nie mówiąc o kolejkach, bo te są największą zmorą. Pracujące na tkalni, przy ponad stu decybelach, narzekają na zmęczenie hałasem.

Nieraz, jak się wyjdzie z takiej huczącej tkalni, to jeszcze przez parę godzin w uszach dudni. I głowa nieraz boli.

Nieraz senność dokucza. Czasami, w drodze do pracy, albo z pracy jak jest miejsce siedzące, łapią się na tym, że przysypiają. Raz jedna pasażer budził na krańcówce.

Trudno się dziwić. Właściwie do jedenastej w nocy trzeba w domu coś robić, a rano już o czwartej do pracy na pierwszą zmianę czas wychodzić. Po południu niby lepiej, ale trzeba się martwić — co w domu, jak sobie dzieci z mężem radzą.

Życiem też są zmęczone, tak ogólnie. Teraz takie te czasy napięte i męczące. Nerwowe jakieś i w ogóle nie najlepsze...

O RADOŚCI:

O radości to można dużo mówić, wbrew pozorom. Niby dzisiejsze dni są takie monotonne i smutne, ale często cieszą drobiazgi. To już tak jest, że człowiek zaczyna się cieszyć z drobiazgów. Właściwie, to i dobrze.

Największa radość to z dzieci. Bo dzieci, to zawsze sens życia główny i przychodzi taki życiowy etap, że żyje się tylko dla nich. I tak:

Cieszą je piątki, kiedy córka albo syn w dzienniczku przyniosą. Cieszy jak pani nauczycielka chwali na wywiadówce Cieszy też jak syn ma apetyt i jest zdrowy. Cieszy, jak sąsiadka mówi — ale z pani córki to grzeczna dziewczynka.

To wszystko bardzo je cieszy.

Cieszą też udane zakupy. Bo kiedy człowiek stoi długo w kolejce, a później okazuje się, że dla niego zabrakło — to jest głupio i na złość zbiera. A jak kupią coś atrakcyjnego, na przykład tanie rajtuzy albo ładną bluzkę, albo chociażby słodycze bez kartek — od razu na sercu lżej się robi. I przychodzą do domu takie zadowolone, takie dumne z siebie. Ale nie zawsze mąż, na ten przykład, potrafi to docenić. A przecież człowiek musiał się nabiegać i wystać, że szkoda w ogóle mówić. Trzeba więc napisać, jakoś zasygnalizować naszym mężom, że my potrzebujemy uznania w tej sprawie. Nam będzie przyjemnie i radośniej jakoś — mówią.

Z ostatnich radości z ostatniego tygodnia:

— W środę mąż przyniósł do domu dwa masła bez kartek. Pomyślałam sobie, że nam starczy w zupełności do pierwszego i można będzie chleb grubiej smarować. Jaka była radość...

— Szłam Piotrkowską i zobaczyłam kolejkę przed materiałowym. Stanęłam szybko w tej kolejce, gdzieś koło jedenastej i do wpół do pierwszej, jeszcze przed pójściem do pracy, udało mi się kupić dwa kupony materiału w kwiatki — dla córki na sukienkę i dla mnie na bluzkę. Od razu w pracy przyjemniej było...

— Przyjechał kuzyn i powiedział, że mu się córka urodziła. Bardzo się ucieszyłam i przypomniałam zaraz sobie. Ile było radości, jak się nasze małe urodziło. I wtedy razem z kuzynem cieszyłam się jak z własnego...

O ZŁOŚCI:

Złość — to odwrotnie do radości. Jak się nie kupi nic stojąc długo w kolejce, jak będzie dwója w dzienniczku u dzieciaka, albo jak sąsiad przyjdzie na skargę na syna, że jego chłopaka na podwórku pobił. To wszystko będzie złość.

Złość bierze, jak tramwaj długo nie przyjeżdża, a człowiek się śpieszy albo zimna marznie. Wtedy to w duszy po cichu sobie nawet pobluźnią na tę komunikację miejską, na to lekceważenie spracowanego człowieka. I zmęczonego, przecież.

Jedną to zezłościła ekspedientka w sklepie. Bo jak się spieszyła do pracy na drugą zmianę i chciała sobie kupić dwie świeże bułki do pracy, do wędliny i poprosiła tę babę, że tak się musi wyrazić, żeby jej bez kolejki sprzedała, to tamta powiedziała, że wszyscy czekają. Dopiero ktoś z kolejki się zlitował i powiedział — niech pani te dwie bułki raz dwa sprzeda, bo kobiecie się spieszy. I ona wtedy z taką wściekłością te bułki podała. Pomyślałam sobie — czekaj wstrętna jędzo, znowu się musi wyrazić, i tobie też się będzie kiedyś spieszyć. I jej życzyłam takiej sytuacji, jaką ja miałam z tymi bułkami. Jakby wiedziała, że tak będzie, to by nieświeży chleb z domu wzięła.

Złoszczą się też, jak w telewizji mówią, że zaczyna być lepiej i, że wychodzimy z kryzysu. Jak my wychodzimy z tego kryzysu, jak wszystko dzisiaj coraz droższe i jeszcze tyle rzeczy w sklepach brakuje.

Albo, jak w telewizji występują ci ministrowie i mówią, że jest ten cały nawis. Gdzie jest, one pytają, ten nawis? Może u nich, w rodzinach, gdzie do pierwszego ledwie wystarcza i jak się chce coś odłożyć na większą rzecz, to się aż za głowę łapią i z mężem myślą, jakby trochę zaoszczędzić. I to ma być ten nawis? A z tym się wiąże inna złość — na tych bogatych, co ich stać na wszystko. Bo u takich, to na pewno nawis jest. Tacy prywaciarze, badylarze i inni. Takich to na wszystko stać, ich żony pewnie w kolejkach nie stoją, bo im wszystko do domu przyniosą za większe pieniądze. W tramwajach też się nie gniotą, bo to państwo z samochodami. A zimą w jakich futrach chodzą. Jaka to sprawiedliwość? Jakby to wszystko uregulować, to ludzie by mniej się złościli i spokój byłby w kraju...

O CZASIE:

W sprawie czasu wszystkie są zgodne, że bardzo szybko leci. Na przykład taki jeden dzień. Jak człowiek przyjdzie z pracy na ten przykład o czwartej — to nawet nie zdąży się obejrzeć, jak to się mówi jak jedenasta wybije. A o jedenastej albo najpóźniej przed dwunastą spać się trzeba położyć, żeby rano nie zaspać do fabryki. No, nie zawsze. Z reguły wcześniej spać nieco chodzą, gdzieś tak koło dziesiątej, kiedy jest tydzień, rannej zmiany.

No bo jest tak: o czwartej, piątej szybko obiad, jak jest przygotowany rano, później pozmywać, trochę sprzątnąć w mieszkaniu, z dzieciakami lekcje odrobić, jakieś pranie czy inne domowe roboty. A kolacja, nieraz szycie, przygotowanie spania?

W ogóle dni tak szybko mijają, nawet lata. Najlepiej to wszystko po dzieciach widać, jak szybko rosną. Jeszcze pamiętają jak były malutkimi bachorami, a teraz już do szkoły — druga, czwarta, ósma klasa Po sobie też poznają ten czas uciekający. Jak są zmarszczki i włosy zaczynają siwieć. Dobrze, że się często w lustrze nie przeglądają. Bo jak są jakieś imieniny i trochę się malują i szykują przy lustrze, to czasami strach bierze na siebie popatrzeć...

O ROZRYWKACH:

W dni robocze, to najwyżej trochę telewizji. W przelocie dziennik albo kawałek filmu. I poza tym nic, co dotyczy rozrywek. Na rozrywki to czas jest w dni wolne od pracy. Kiedy już obiad ugotowany, w mieszkaniu czyściutko — to wtedy można sobie pozwolić na trochę rozrywki.

I tak:

Na spacer do parku z całą rodziną, na przyrodę popatrzeć na ptactwo, świeżym powietrzem trochę pooddychać.

W gości gdzieś pójdą po południu, na imieniny, albo tak po prostu odwiedzić rodzinę i znajomych.

Na basen — latem, albo do lasu gdzieś blisko za miasto.

Na drutach porobią, bo to trochę rozrywki i bardzo pożyteczne.

Z kinem i teatrem gorzej. Jedna trzy lata temu w kinie była, jak w fabryce bilety rozprowadzili, druga już nie pamięta, kiedy ostatni raz w teatrze była.. Jeszcze inna do kina nie lubi chodzić i wcale ją nie ciągnie. A zresztą po co, jak w telewizji też film można obejrzeć. Nawet taki, co kiedyś w kinach grali.

Tak samo z czytaniem. Przede wszystkim czasu brakuje — bo książki się nie przeczyta tak od razu przez dwie godziny. Choćby najciekawsza była, na ten przykład „Pogoda dla bogaczy", ta co to w telewizji film odcinkowy pokazywali. Ale owszem, chętnie by trochę poczytały, toby człowiek więcej o życiu wiedział. Ale książki kupują, a jakże. Przeważnie dla dzieci lektury. Jak zobaczą kolejkę przed księgarnią — to nieraz staną. W ten sposób można było kupić „Chłopów", „Krzyżaków". Niech stoją w bibiblioteczce — zawsze się przydadzą. Bo to przecież książki ważne i cenne...

O MIŁOŚCI:

Miłość jest wtedy, jak w rodzinie jest harmonia i spokój. Jak mąż nie popija i dzieci są grzeczne. Bo co to za miłość, jak żoną ciężko pracuje, a mąż z pracy przychodzi pijany, albo z wypłaty parę groszy podbierze. I jeszcze się awanturuje. To żadna miłość wtedy. Jak się patrzy, jak mężczyźni śmieci wynoszą, dywany trzepią, i razem piorą z żonami — to jest zrozumienie i harmonia domowa.

Bo z takiej miłości, kiedy się dwoje trzyma za ręce i w oczy sobie patrzą, to one wyrosły. I na taką miłość to nie ma w dzisiejszych czasach czasu. Jak są dzieci, to dzieciom trzeba całą miłość oddać.

Pewnie, że pamiętają swoje młode lata, przed ślubem i zaraz po ślubie. Też się do parku chodziło wieczorem przy księżycu na ławeczce posiedzieć, też się patrzyło w oczy. Ale na to czas już minął, teraz o co innego w tej całej miłości chodzi.

Nieraz słyszą, jak sąsiad żonę bije i krzyczy — ja ciebie z miłości, k... leję, żebyś lepsza była...

Tego to one w ogóle nie rozumieją.

O UCZCIWOŚCI:

Uczciwość to jest wtedy, jak człowiek uczciwie pracuje i się roboty nie boi. Ani w domu, ani w pracy. Wtedy człowiek jest wartościowy i pożytek z niego.

Uczciwi są ludzie, co żadnych bogactw w domu nie mają, nie tam jakieś szkatułki pełne złota, drogie samochody, albo wielkie wille. Bo to wszystko nie z uczciwości i z uczciwej pracy mają. Oni muszą jakieś machlojki robić, żeby się tak dorobić.

A uczciwość kobiety to też inna sprawa. Kobieta jest uczciwa, kiedy o męża i dzieci dba, kiedy o nich myśli. O własnej rodzinie. A przecież wiadomo, jakie dzisiaj są niektóre kobiety. Nie, żeby zaraz o wszystkich złe słowa mówić, ale się takie zdarzają. Takie co to się tylko malują i codziennie nowe stroje noszą. Albo w kawiarniach przy kawce przesiadują na plotkach. Niektóre to się za obcymi chłopami oglądają i wódkę piją. Albo to nie słychać dzisiaj o takich, nie widzi się nieraz w tramwaju, jak się taka zatacza. Czyta się też w gazetach, jak matka dzieci zostawia i z kochankiem gdzieś ucieka. O, takimi kobietami — to one pogardzają i dobrego słowa o nich nigdy nie powiedzą.

O MARZENIACH:

O marzeniach też można mówić i mówić. Każdy człowiek ma swoje marzenia. Nie tam jakieś wielkie i wydumane, jak to się w dzieciństwie miało: żeby aktorką zostać albo gdzieś za granicę daleko wyjechać, albo mieć drogi samochód i willę. To są głupie marzenia, bo do nich daleko. Marzenia prawdziwe to takie, kiedy się myśli o czymś, co by się chciało szybko mieć. I tak:

— Marzę o mieszkaniu w blokach, na które kilka lat już czekam. Żeby już w tym ciasnym i wilgotnym mieszkaniu więcej nie mieszkać...

— Marzę, żeby syn się wykształcił i był kimś więcej w życiu niż robotnikiem w fabryce. Żeby życie miał lżejsze...

— Marzę, żeby już urlop był i o wczasach dwutygodniowych. Takich, co to wszystko tam podadzą i można tylko wypoczywać.

— Marzę o segmencie trzysześciowym na wysoki połysk do mniejszego pokoju. O takim z chowanym stołem, jaki w „Domusie" na wystawie stoi. Jaka by była radość z tego mebla w domu...

— Marzę, żeby był wreszcie spokój w kraju, żeby to życie nie było takie nerwowe i ten kryzys się skończył — bo teraz naprawdę ciężko.

— Marzę o wczasach nad morzem w Bułgarii. Bo tam, podobno, można się ładnie opalić i pogoda jest zawsze. O takich wczasach, na jakie ci z biura jeżdżą i dyrektorzy nasi...

* * *

Żyją własnym życiem. Wokół spraw najbardziej osobistych, wokół spraw codziennych, wokół dzieci i męża.

Żyją od zmiany do zmiany, od poniedziałku do poniedziałku, od urlopu do urlopu, od jednej radości do drugiej.

Żyją jakby w swoim mikroświecie, poza wielkimi problemami kraju.

Żyją we własnym KALEJDOSKOPIE stworzonym przez nie same, przez sprawy proste i przez rzeczywistość.

Pogodzone z losem.

Włókniarki z miasta Łodzi.

Jacek Binkowski (godło „Aron")

Kalejdoskop...

P.S. Reportaż powstał na podstawie relacji robotnic z łódzkich fabryk włókienniczych zebranych w kwietniu i maju 1983 r. Bohaterki postanowiły zachować całkowitą anonimowość, nie podając nazwisk reporterowi.

JERZY KWIECIŃSKI

Robotnicza, czyli – jaka?
(pytania i wątpliwości)

W próbach określenia, czym jest kultura, a zwłaszcza — jaki jest zakres tego pojęcia, panuje tak wielka różnorodność poglądów, że może to sprawiać wrażenie zupełnej dowolności. Już choćby tylko w tej sprawie — czy kultura jest jedna i niepodzielna jako pewne dobro ogólnoludzkie, czy też taką niepodzielną wartość stanowi dopiero kultura narodowa, nie ma tu całkowitej zgody. A jeśli kulturę narodową uznamy za wartość nadrzędną i monolityczną, to i tak pozostaje otwarta kwestia kultur środowiskowych — młodzieżowej, wiejskiej, robotniczej. Czy wolno je sobie przeciwstawiać, jednym przyznawać prymat przed drugimi, czy też traktować jako równoprawne subkultury, których odrębności godne są kultywowania choćby na zasadzie ukłonu czy gestu wobec określonych przyzwyczajeń i upodobań?

Te odmienności podejścia nie mają, wbrew pozorom, charakteru czysto akademickiego, nie są sporami wyłącznie semantycznymi lub estetycznymi, lecz — jak wszystko, co dotyczy sfery świadomości — stanowią odzwierciedlenie utajonych nieraz sprzeczności interesów grupowych czy klasowych, nic dziwnego więc, że wokół zasad polityki kulturalnej państwa ogromnie łatwo jest rozniecić najsilniejsze emocje, czego świadkami byliśmy w ostatnich latach. Bo przecież o zupełnie coś innego chodzi tym, co głoszą (i nieraz w to wierzą), że kultura narodowa jest „jedna" i tylko trzeba zadbać o równy dostęp do niej różnych grup i środowisk społecznych, a o co innego chodzi tym, którzy tę jedność sprowadzają do niewielu czynników, m.in. języka, a w jej obrębie dopatrują się istnienia różnych, sprzecznych nieraz nurtów.

Jedni i drudzy, i to bez względu na to czy głoszą pluralizm światopoglądowy, walczą jednak o preferencje i poparcie państwowego lub społecznego mecenasa dla odmiennych treści światopoglądowych, potrafią toczyć zaciekły spór o każdą niemal pozycję wydawniczą, o każdy tytuł w kanonie obowiązkowych lektur szkolnych, co zresztą nie oznacza, że już wcale nie ma (bo są, na szczęście!) pozycji, co do których panuje dość ogólna zgoda (nikt się przecież nie odżegnuje od „Pana Tadeusza").

Ale spory tego rodzaju stale są i zawsze będą, prowadzone bywają jednak nieraz podstępnie, bez nazywania rzeczy po imieniu, bo zwłaszcza opozycja pragnęła i nadal pragnie zataić, że chodzi jej o wybór określonych wartości, akcentując z mocą, iż stawką w grze jest „tożsamość kultury narodowej". Trzeba sprawiedliwie uznać, że w kołach o orientacji prosocjalistycznej na ogół mówi się jawnie od zarania Polski Ludowej o konieczności „wyboru postępowych treści". Inna sprawa, że były lata, kiedy funkcję kultury traktowano wręcz instrumentalnie w służbie polityki, ze szkodą dla artystycznych a także etycznych wartości literatury i sztuki. Ale to jednak partia, sama z siebie, bez żadnego zewnętrznego dyktatu czy nacisku zerwała z praktykami krępującymi rozwój kultury i twórczości artystycznej, gdy tymczasem przeciwnicy socjalizmu zniżyli się, bardzo wyraźnie w ostatnich latach, do traktowania twórczości artystycznej jako politycznej agitki, kosztem wartości estetycznych, czego przykładów dostarczają obficie ostatnimi czasy m.in. liczne inscenizacje teatralne.

A więc jednej i drugiej stronie chodzi o wybór, z tym iż jedna z nich kamufluje konflikt szermując hasłem ratowania „tożsamości narodowej kultury". Nikogo jednak z głosicieli tego szczytnego zawołania nie można nakłonić do sprecyzowania pojęcia. Na zdrowy rozum wydaje się, że nie oznacza ono niczego oprócz zespołu cech sprawiających, iż wytwory kultury danego narodu są w jakimś stopniu rozpoznawalne wśród innych. A przy tym ma to być zespół cech wypływający z rzekomo wspólnego dla całego narodu systemu wartości, dziś i wczoraj, a więc i jutro (dziedzica i chłopa, fabrykanta i robotnika, katolików i innowierców wraz z niewierzącymi, groszorobów i utracjuszy...).

W tym ujęciu sprawy mieści się przeświadczenie, że jeśliby naród tych cech pozbawić, to nie tylko utraciłby on swoją odrębność od innych, ale i przestał istnieć. Stąd przesadny i bezkrytyczny kult narodowej przeszłości, stąd sentyment nawet do dawnych wad, które jawią się jako (konserwatywne oczywiście) fundamenty polskości. Ilekroć bowiem przywiązanie do tradycji każe przyjmować ją z całym rzekomo dobrodziejstwem historycznej spuścizny, tyle razy mamy do czynienia z określonym (choć skrywanym) wyborem dawnych wartości. A dzieje każdego narodu płynęły zawsze dwoma sprzecznymi nurtami, głoszenie więc iż był tylko jeden, który kwalifikuje się jako „prawdziwie narodowy", stanowiący o „tożsamości" jest mistyfikacją, zmierzającą do odarcia ideowych przeciwników z miana patriotów i obywateli.

Skoro zresztą mowa o wyborze tradycji, to wypada zauważyć — choć może to brzmieć jak paradoks, że tradycją jest tylko to, co nadal żyje, nie zaś to, co umarło. Przestają, bowiem stanowić tradycję te relikty przeszłości, do których zatracamy uczuciowy stosunek i jakiekolwiek poczucie więzi, poza suchą świadomością, że funkcjonowały one niegdyś w życiu naszych przodków (tu znów: których przodków — szlacheckich, chłopskich, proletariackich, inteligenckich?...). Tradycja jest więc, można sądzić, tylko tym składnikiem przeszłości, który do dziś (choć może nie w identycznej postaci) zachowuje wartość dla naszego sposobu myślenia i odczuwania. A bywa przecież i tak, że co dla jednych jest jeszcze żywe, dla innych stało się już martwe. Kto wtedy rozsądzi, gdzie słuszność? Trzeba więc wieść nieustanny spór o treść i kształt tradycji, stawiać pytania.

Mówiąc o tradycji i to jeszcze trzeba mieć na uwadze, że często stanowi ona swego rodzaju kostium, jakby historyczne przebranie dla uzasadnienia obecnych naszych ukrytych dążeń, a Marks upatrywał w tych przebraniach sprzeczne interesy klasowe, podobnie też Krzywicki, m.in. w książce „Idea a życie".

Wybór tradycji nieobojętny jest dla kultury robotniczej, o której zaczynamy ostatnio coraz częściej pisać i mówić, ciągle jednak, jak sądzę, krążąc po omacku. Nie brak tu pytań, na które nie mamy jeszcze odpowiedzi, zapewne nie wszystkie pytania zostały już postawione, a przecież podejmowanie działań w tym kierunku wymaga osiągnięcia dość znacznego stopnia jednoznaczności w odczuciu wszystkich zainteresowanych. Wydaje mi się, że samo pojęcie kultury robotniczej można rozumieć przynajmniej trojako.

Można ją pojmować jako bierne uczestnictwo w narodowej kulturze profesjonalnej, określane jako „konsumpcja" kulturalna, a więc zapotrzebowanie na dzieła literatury i sztuki, a także na popularną wiedzę z różnych dziedzin (o czym się często zapomina, jako o istotnym czynniku kultury). Można też kulturę robotniczą pojmować jako czynny udział robotników w kultywowaniu dotychczasowych form kultury, m.in. przez udział w artystycznym ruchu amatorskim.

I wreszcie trzecim pojęciem z zakresu kultury robotniczej będzie własna, autentyczna twórczość literacko-artystyczna robotników. Wydaje mi się jednak istotne pytanie o wyróżnik tych dzieł. Bo czy można zaliczyć do kultury robotniczej powieść napisaną przez robotnika, który tak dalece wchłonął w siebie kulturę literacką, że książka jego staje się świadectwem nie tylko profesjonalnego warsztatu literackiego, ale także w swoim spojrzeniu na życie nie wnosi niczego nowego w porównaniu z obrazem życia i jego oceną przez twórczość pisarzy profesjonalistów literatury.

Jakie sprawy? Chyba przede wszystkim odnoszące się do społecznej i moralnej strony problematyki pracy fizycznej, która, owszem, silnie fascynuje inteligentów, wyzwalając często u zawodowych pisarzy współczujące, humanitarne postawy, a nieraz nawet prowadzi do rewolucyjnych wniosków, ale czy może być im całkowicie bliski stan psychofizyczny robotnika, czy potrafią rozpoznać przejawy degradacji człowieka przez otępiający nadmierny wysiłek?

A więc, czy kulturę robotniczą mogą tworzyć jedynie robotnicy, pozostający nadal w swoim robotniczym zawodzie? Bo przecież taki np. Maksym Gorki, wywodzący się z proletariatu, pisarz zawodowy, mimo tego „wysferzenia" się ze swojej klasy nie przestał być rzecznikiem jej interesów. Ale czy obracał się nadal w świecie jej pojęć? I co znamienne, stał się bardziej czytywany, a zwłaszcza oglądany na scenie, przez inteligencję, i to nieraz burżujską, niż przez robotniczego widza. Innymi słowy, czy należy przepisywać komukolwiek taką receptę: tworzyć sztukę nie przestając wykonywać robotniczego zawodu — po to, żeby być odbieranym przez swoje środowisko klasowe i niemal wyłącznie przez nie? A więc: być artystą robotniczym, nie stając się ogólnonarodowym. Chyba, że na zasadzie swoistej „egzotyki" — jak Grzesiuk w literaturze, jak Ociepka — w malarstwie itp.... Przypominam, iż ciągle stawiam tylko pytania, na które nie potrafię odpowiedzieć.

Na relację kultury narodowej i robotniczej można jeszcze spojrzeć z innego punktu widzenia, przyjąć np. założenie (opierając się na historycznej analogii), że kultura robotnicza może zacząć odgrywać rolę ogólnonarodową, podobnie jak to stało się z kulturą mieszczańską po upadku feudalizmu, czyli po Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Pisarz zwycięskiego mieszczaństwa, Balzac, byłby jednym z wymowniejszych przykładów.

Dlaczego jednak zwycięstwo rewolucji socjalistycznej, czyli utworzenie państwa robotniczego na miejsce burżuazyjnego nie przyniosło nigdzie, ani w Związku Radzieckim, ani w Polsce czy jakimkolwiek państwie demokracji ludowej, pojawienia się na szeroką skalę kultury i sztuki robotniczej i bezpośredniego „przerośnięcia" jej w narodową. A nawet od samego początku nie mieliśmy w naszym obozie pisarzy czysto proletariackich o randze ogólnonarodowej, a ci którzy się pojawili, musieli wzorować swoją sztukę — w myśl zaleceń polityki kulturalnej państwa! — na wzorach mieszczańskich, jak np. powieść socrealizmu na wzorze powieści „realizmu krytycznego". Dlaczego nowe treści trzeba było wlewać w stare formy?...

Otóż burżuazja francuska (na co zwracał uwagę Anatol Łunaczarski) miała już przed Wielką Rewolucją, a więc jeszcze w feudalizmie swoją inteligencję i nawet machina państwowa chylącej się do upadku monarchii Ludwika XVI administrowana była przez stan urzędniczy mieszczańskiego pochodzenia i o promieszczańskich, rewolucyjnych sympatiach. Kiedy więc zwyciężyła wielka rewolucja, burżuazja francuska miała od razu do dyspozycji swoją administrację (swoich sędziów i urzędników podatkowych, swoich merów i nauczycieli), a ponadto także swoją literaturę i sztukę.

Natomiast dopóki trwał gdziekolwiek kapitalizm, dopóty proletariat nie zdołał nigdzie w i stanowisk w państwie. Nieliczni zaś inteligenci plebejskiego pochodzenia ulegali szybkiej asymilacji do obowiązujących wzorców. Toteż za jedno ze swoich pierwszych zadań zwycięskie rewolucje socjalistyczne uznały wykształcenie własnej inteligencji, ale kształcić ją musieli inteligenci reprezentujący klasy pokonane.

Załóżmy nawet, że wkrótce po rewolucji socjalistycznej pojawiłaby się liczniejsza grupa twórców pochodzenia proletariackiego, skłonna tworzyć nową kulturę dla nowego społeczeństwa. Jaka jednak miałaby być ta kultura i sztuka tworzona dla ludzi z niepełnym podstawowym wykształceniem, z których znaczną część trzeba było dopiero kierować na kursy dla analfabetów?

* * *

Z pewnością godna najwyższej uwagi jest idea popierania kultury robotniczej, nie ulega też wątpliwości, że urządzana w tym celu w Łodzi dwudniowa sesja naukowa jest bardzo potrzebna. Myślę, że wolno oczekiwać, iż wygłoszone na niej referaty i wypowiedzi dyskusyjne przedstawicieli różnych środowisk przyczynią się do rozwiania niejednej z licznych wątpliwości, jakie mogą się jeszcze w związku z tą tematyką nasuwać, że przybliżą problematykę kultury robotniczej przede wszystkim środowisku robotniczemu. ■

Żegnaj Zosiu!

Foto: Marek H. Karewicz

Zosia nie żyje... Lakoniczna informacja w prasie: „w Nowym Jorku zmarła Zofia Framer" zabrzmiała nieprawdopodobnie dla tych, którzy ją znali, pracowali z nią, przyjaźnili się. To niemożliwe!

Zosia zmarła nagle, w Nowym Jorku, o godzinie ósmej wieczorem, 26 października, w czasie kiedy miasto-moloch zaczyna nocne życie, a tysiące świateł, różnokolorowych reklam i migających neonów światowej metropolii rozjaśnia gęste ciemności. Ciemności, które dla niej zapadły na wieki.

Wiadomość o jej zgonie dotarła do mnie następnego dnia w południe, w sopockim Grand-Hotelu podczas dorocznego spotkania z publicystami muzycznymi. I wszyscy zadawaliśmy sobie to pytanie: dlaczego właśnie ona? Bezmyślne i bezwzględne zrządzenie losu? Trzy lata wcześniej okrutne fatum zadecydowało o innej polskiej piosenkarce Annie Jantar, która zginęła w wypadku samolotowym lecąc z Nowego Jorku do Warszawy. A teraz?

Zosia nie żyje...

Ból i żal. Brak słów. Odeszła utalentowana artystka, która nie zdążyła jeszcze, tak do końca, zrealizować swych wielkich możliwości estradowych ambitnych planów, zdyskontować talentu, artystka, która miała jeszcze tyle do przekazania publiczności. Zofia rozpoczęła swoją podróż do kariery jako solistka-wokalistka znanego zespołu „Marimba" p/dyr Jana Ławrusiewicza. Tam właśnie poznaje młodego utalentowanego muzyka i kompozytora piosenek estradowych Zbyszka Frankiewicza, który w krótkim czasie zostaje jej mężem. Oboje, na razie jeszcze nieśmiało, próbują sił w wokalnym duecie. Na początku lat sześćdziesiątych wyjeżdżają do ZSRR i tam okazuje się, że ich wokalne popisy trafiają do gustu radzieckiej publiczności. Duet Framer (Zbigniew Frankiewicz i Zofia Szumer = FRAMER) prezentował na estradzie starannie zakomponowane widowisko o zróżnicowanych stylistycznie propozycjach repertuarowych i perfekcyjnie czystym technicznie głosie Zosi, niskim rzadko spotykanym alcie o wielkiej skali i brawurowych możliwościach. Do tego dochodziły pełne humoru scenki aranżowane przez „nabitego" pomysłami i energią Zbyszka posiadającego jako muzyk i partner wokalny tę intuicyjną swobodę melorytmiczną, która powoduje na scenie rozluźnienie, wprowadza nastrój spontanicznej, beztroskiej zabawy. Ta umiejętność nawiązania niewymuszonego, przyjacielskiego kontaktu z publicznością jest rzadkim ewenementem i przypada w darze jedynie nielicznym, wybitnym indywidualnościom estradowym. Framerowie umiejętność tę posiedli w sposób prawie doskonały.

Jak dziś pamiętam dzień, kiedy to 15 maja pędziłem samochodem do Krakowa (właśnie wtedy koncertowali tam Framerowie), aby osobiście złożyć Zosi życzenia z okazji jej imienin. Jechałem tam nie tylko z obowiązku, byłem wówczas dyrektorem „Estrady Łódzkiej", ale jako przede wszystkim przyjaciel Framerów. I nigdy nie zapomnę tego co ujrzałem po przyjeździe. Kilka tysięcy ludzi, w wypełnionej po brzegi hali „Wisły" stało i śpiewało „Sto lat". Śpiewali tak głośno że wydawało się, że popękają szkła w reflektorach. Zosia normalnie rozbeczała się wycierając łzy rękawem przepięknej estradowej sukni, a Zbyszek, który należy raczej do twardych mężczyzn, łamiącym się ze wzruszenia głosem próbował żartować do mikrofonu: „proszę państwa, tak wspaniale i czysto brzmiącego chóru nigdy jeszcze nie mieliśmy".

Być może nie byli pupilami części prasy muzycznej, w sumie więcej płyt nagrali w USA (tak!) niż w Polsce, ale z całą pewnością byli — i dla artysty to jest najcenniejsze — ulubieńcami publiczności... Im nie były potrzebne kolorowe plakaty, foldery i reklama prasowa. Na hasło „Framerowie" sprzedawało się bilety z kasy, bez glejtów i pomocy finansowej rad zakładowych.

Zosia odeszła...

Była w głębi serca romantyczką, wrażliwą na krzywdę ludzką i cierpienie, czułą na niesprawiedliwość, która zresztą dotknęła i ją. **Na przełomie 1980 i 81 roku zabrakło.. pracy dla Framerów W przedsiębiorstwie, które przez wiele lat żyło z nich zarabiało na nich krocie, któremu przynosili rozgłos.** I wtedy Zbyszek poświęcił się pracy kompozytorskiej oraz przygotowaniu nowego repertuaru dla duetu, zaś Zosia wyjechała „na saksy" do USA. W poprzednich latach występowali wielokrotnie w USA, Kanadzie, Finlandii, ZSRR Szwecji, Bułgarii, Czechosłowacji, Francji itd., odnosili sukcesy w Paryżu występując w legendarnej i prawie nieosiągalnej dla Polaków „Olimpii" (przed nimi występowali tam jedynie Ewa Demarczyk i Niebiesko-Czarni"). Natomiast w osiemdziesiątym pierwszym zimą wyjazd był koniecznością, spowodowaną przez ludzi, którzy gdyby głupota miała skrzydła, lataliby nad Łodzią. Kilka miesięcy temu rozległy się w kraju zjadliwe, kłamliwe szepty o Zosi. O, my kochamy zawiść, uwielbiamy ploty i insynuacje, a Zośka była krucha, kobieca, mało odporna. Działo się to wszystko w czasie, kiedy przygotowywała nowy program rewiowy razem z Jerzym Połomskim, a w wolnych chwilach uczyła polskich piosenek dzieci w polskiej szkole. Wysyłaliśmy jej teksty, nuty, nagrania magnetofonowe, zaś Zbyszek wysłał jej cały repertuar, który mieli śpiewać w Polsce po jej powrocie. Pisała do niego, rodziny i przyjaciół, że tęskni, jest przepracowana i wróci do kraju wiosną 1984 roku, tuż po zakończeniu eksploatacji rewii...

Do kraju wróciła wcześniej. Na zawsze. Rozległy zawał serca położył kres jej życiu. Nowy Jork, dwudziesty szósty października...

Siódmego listopada nad cmentarzem w Rudzie Pabianickiej świeciło słońce, niebo bezchmurne była piękna złota jesienna pogoda. Tak jak w romantycznej piosence Framerów: „Zaorane rżyska, dym na kartofliskach siadł, lasy pełne wrzosów jak wspomnienie wiosny. Złota polska jesień na bezchmurnym niebie, ona mi przyniosła ciebie".

Nie mogę myśleć o Zosi, jako o tej która odeszła na zawsze.

Nie mogę...

ANDRZEJ JÓŹWIAK ■

Dokończenie ze strony 1

— Właśnie dlatego, że nie nagrywam, a poza tym, nie lansuje się u nas ludzi w moim wieku. I gdyby nawet były nowe piosenki, to poszłyby na radiową półkę. Zastanawiam się — o co chodzi ludziom w radio? Czy chcą odgrodzić od siebie dwa pokolenia lub może myślą, że moje pokolenie nie ma już nic do powiedzenia. Wygląda to trochę dwuznacznie. Stawiam pytanie: — czy nagrywanie piosenek niemłodzieżowych ma obecnie sens?

— W ogóle jest pani mniej niż dawniej?

— Jeżeli chodzi o wagę mego ciała, to bardzo bym się cieszyła. Jeżeli chodzi o życie artystyczne, to uważam, że jest w tym jakaś prawidłowość. Mam ciągle swoją publiczność i to chciałabym sobie zachować na deszczowe dni. Z tego jestem dumna i szczęśliwa, to potwierdza sens uprawiania tego zawodu.

— A mimo wszystko może to trochę niepokoić?

— Jeżeli publiczność, to jest to dla mnie bardzo miłe.

— Ile lat śpiewa pani na estradzie?

— Licząc z 8-letnimi występami w „Mazowszu" to 32 lata.

— Chyba pani żartuje?

— To powód do chwały.

— Ile jubileuszów pani obchodziła?

— Żadnego.

— Ale pewnie będzie choć jeden?

— Może, wtedy, kiedy przejdę na emeryturę.

— Czyżby, przecież podobno jest już pani na emeryturze?

— Niestety nie, mówię niestety, bo jestem trochę utrudzona zawodem. Chciałabym zakosztować możliwości niepracowania, zobaczyć jak to jest, bo niektórzy ludzie chwalą sobie, że są na emeryturze. Tymczasem ciągle pracuję na wysługę lat, muszę mieć wypracowane 20 lat na etacie, a tyle jeszcze nie przepracowałam. Jestem etatowym pracownikiem Estrady Śląskiej w Katowicach.

— Jak to właściwie jest z tą emeryturą u piosenkarzy?

— Piosenkarz może uzyskać emeryturę z tytułu powszechnych ubezpieczeń, czyli po przepracowaniu etatowym 20 lat albo może korzystać z ubezpieczeń artystycznych i wtedy musi mieć wypracowanych 10 lub 15 udokumentowanych zaświadczeniami lat oraz ukończony 45 rok życia.

— Ale takie pierwsze damy estrady jak Santor, mają pewnie specjalne stawki. W pani przypadku jest ona nieprzyzwoicie wysoka, bo wynosi ponoć aż 120 tysięcy złotych?

— Do pewnego momentu bawiłam się tą plotką, nawet wesoło, aż zaczęła mnie ona przerażać. W USA, podczas moich występów ukazała się ulotka z napisem: „Po co pani tu przyjechała zarabiać, mając taką emeryturę w Polsce"? A ja myślałam, że przyjechałam na spotkanie z publicznością polonijną? Gdybym miała kiedyś szanse osiągnąć taka emeryturę, to daj mi Boże. Amen. Życie jest okrutne. Moja emerytura będzie wynikiem mojego etatu.

— Kto wymyślił tę plotkę?

— Nie zdradzę nazwiska, to pewien satyryk, o dużej sile przebicia, bo plotka poszła w naród.

— A gdyby miała pani taką emeryturę, to czy śpiewałaby nadal?

— Tak, ale już za darmo.

— Czyli dalej panuje nam pani jako królowa polskiej piosenki i ani myśli abdykować?

— Szczerze mówiąc, nigdy nie czułam się królowa, ale to miły komplement. Przykro mi ale nie mam żadnych umiejętności, skłonności, aby panować i rządzić. To ostatnia rzecz, którą mogłabym w życiu robić. Moje cechy charakteru uniemożliwiają mi królowanie, uciekam więc od tego daleko. Lubię być rządzona i kierowana, pod warunkiem, że dobrze.

— Od niedawna zaczęła pani mówić o zmęczeniu, o przerwaniu występów?

— Czasami dlatego, że jest to trudny zawód.

— Czy do uszu Waszej Wysokości dochodzą także niezbyt miłe słowa na temat jej działalności publicznej?

— Oczywiście, mam ucho głównie na to nastawione, bardziej niż na komplementy. Ale prawdę powiedziawszy, staram się wyciągnąć złoty środek i z zarzutów, i z komplementów.

— Jaki?

— Żeby wiedzieć jacy jesteśmy, musimy słuchać swoich wrogów, a nie zwolenników. Komplementy usypiają, krytyka mobilizuje.

— Mówią o pani: „taka słodka landryna"?

— Jeżeli lubią landrynki, to dobrze, a jeżeli nie — trudno, ich strata.

— „Mimoza"?

— Naprawdę? Tego jeszcze nie słyszałam, raczej hetera, ale oczywiście wolę mimozę.

— „Sztywniaczka"?

— O, dużo jest w tym racji, dlatego że współczesny estradowiec powinien nie tylko dobrze śpiewać, ale i dobrze tańczyć. A ja miałam z tańcem zawsze kłopoty. Przyjmuję ten zarzut.

Foto: Z. Nasierowska

Nie mam kompleksu wieku...

— „Tradycjonalistka".

— Sądząc z zalewu nowości, to pewnie instynktownie miałam rację. Oczywiście żartuję. Wiem, że chodzi panu o brak nowoczesnych środków wyrazu. Jestem człowiekiem innego pokolenia, mieszkam w swoim pokoleniu. Nie widzę w tym żadnej tragedii. Moi młodsi koledzy robią to za siebie i za mnie.

— „Twarda sztuka".

— Mam opinię osoby wymagającej, ale zawsze przyjmuję to ze zdziwieniem, bo żeby dobrze pracować, trzeba wiele wymagać od siebie i od innych.

— W programie wydanym na pani cześć przez Estradę Śląską, czytamy, że ktoś wyzwał panią publicznie, na targu, od starej baby, z której sypie się próchno?

— Przypomniał pan autentyczne zdarzenie z targu, na którym sprzedawczyni powitała mnie serdecznie i wylewnie mówiąc do swojego sąsiada: „**patrz Jasiu, kto do nas przyszedł, pani Santor, jaka młodziutka!**". Na co pan Jasio, nieco podpity, odpowiedział bardzo głośno: „**Jaka tam młodziutka, stara baba, próchno się z niej sypie**". Jak pan widzi i komplementy i przygany, należy przyjmować z poczuciem humoru.

— Ale w przepięknym programie TV, w którym wyglądała pani jak nierealna postać z hollywoodzkiej baśni, kamerzyści nałożyli na kamery raster?

— Nie wiem co to jest raster, nie znam się na technice telewizyjnej.

— To taki filtr odrealniający obraz na ekranie od rzeczywistego, w spadku po Irenie Dziedzic. Operację plastyczną odbyła pani w Paryżu czy w Nowym Jorku?

— Czyżby to pytanie oznaczało, że rację miała pani sprzedawczyni na straganie, bo ja skłaniam się do opinii pana Jasia. W Paryżu byłam bardzo, bardzo dawno temu i nie u chirurga, a w Nowym Jorku nie miałabym na to ani czasu, ani, niestety, pieniędzy.

— Zastanawiam się teraz, jakie słowa najskuteczniej służą reklamie zawodowej dla takiej gwiazdy jak pani?

— Nie wiem. Naprawdę.

— Wciąż otrzymuje pani listy od wielbicieli.

— Owszem, mniej niż kiedyś, ale tak.

— Na pani koncercie widziałem przeważnie starsze osoby, młodzieży niewiele?

— Nie narzekam, cieszę się, że przychodzą starsze osoby.

— Czy miała pani rywalki?

— W zawodzie? Naturalnie. Przecież wszystkie panie z mojego pokolenia były moimi rywalkami. I są. Nie mogę wymieniać nazwisk, aby się nie obraziły, że należą do mojego pokolenia.

— Co sądzi pani o najmłodszych wśród śpiewających koleżanek, tych ze statusem idolek młodzieży?

— Nie należę do osób, które negują to, co dzieje się na polskiej rock-estradzie. Niezupełnie się na tym znam, ale oceniam to co widzę: np. interesującą osobowością jest dla mnie Kora. Przyjmuję to, co robi, jako wielką kreację zawodową, podziwiam jej umiejętność w kreowaniu swojej osobowości na estradzie, w budowaniu mitu o sobie. Bardzo lubię jej ostatnią piosenkę „Kocham cię, kochanie moje". Z przymrużeniem oka przyjmuję piosenkę „Nie będę Julią na balkonie", mogę odpowiedzieć wykonawczyni: będziesz, będziesz kochanie, jak przyjdzie twoja pora. Za bardzo dobrą piosenkę uważam utwór „Szklana pogoda" „Lombardu", natomiast Małgorzatę Ostrowską wolę w piosence „Pomyka jesień". Za absolutnie zabawną i wspaniałą piosenkę uważam „Józek, nie daruję ci tej nocy". Okazuje się, że nasza młodzież ma poczucie humoru. Tylko jak Wy to robicie dziewczyny, że wytrzymujecie takie przeciążenie strun głosowych? Zdradźcie mi tę tajemnicę.

— Nieciekawa jest pani co one sądzą o Santor?

— Myślę, że z grubsza wiem co o mnie sądzą. Pewnie postawiły mi te ostatnie zarzuty, o których pan wspomniał.

— Ciekawy jestem — czy uda im się tak długo trwać w piosence jak pani, ale pani pewnie nie zdradzi im jak to się robi?

— Może to polega na tym, że wszystko idzie teraz szybciej, prędzej wchodzi się w zawód, szybciej z niego wychodzi. Chyba nie mam recepty na nowe czasy.

— Komu zawdzięcza pani to, co osiągnęła?

— Zawód zaczynałam uprawiać w czasach, kiedy zakładało się, że w każdej profesji musi się trwać. Może dlatego przygotowywałam się do tego zawodu, od strony psychicznej i technicznej, inaczej niż moje koleżanki. Zaczynając śpiewać, musiałam sobie zdawać sprawę z tego, że przy sprzyjających okolicznościach będę śpiewała bardzo długo, a więc świadomie uczyłam się jak „używać" strun głosowych, żeby one nie służyły mi tylko rok. Przestrzegałam higieny tego zawodu, systemu higieny zabezpieczającego mnie przed negatywnymi konsekwencjami.

— A Stanisław Santor, który podobno dał pani nie tylko nazwisko?

— Istotnie, zawdzięczam mu chyba najwięcej w swoim zawodzie. Skrzypek z zawodu, dyscyplina bardzo trudna i precyzyjna. Nawet przez samo osłuchanie, przez wymagania muzyka w stosunku do mojej profesji. Musiałam, chcąc czy nie chcąc, nauczyć się pewnych rzeczy, pewnej kultury, estetyki muzycznej, szacunku dla dźwięku. Nauczyłam się od niego tego wszystkiego, czego nie można się nauczyć w szkole, co zdobywa się z doświadczeniem. Korzystałam z jego muzycznego doświadczenia. Uważam, że każdy śpiewak powinien się nasłuchać w życiu do syta dobrego instrumentalisty. Ponadto powinno się śpiewać w chórze, to metody babci, ale sądząc z powrotu do zielarstwa, babcie czasami miały racje.

— W Polsce osiągnęła pani chyba wszystko, co mogła zdobyć?

— Szkoda, to tak niewiele.

— Co więc pozostaje?

— Nie można zdobyć wszystkiego, co by się chciało, a więc należy się zadowolić tym, co się zdobyło.

— No i jeszcze występy w USA i Kanadzie. Czym się różnią od krajowych?

— Różnią się tym, że do nich jest dalej niż do Łodzi.

— W Ameryce śpiewa pani w lokalach czy na tzw. trasach objazdowych?

— Na trasach objazdowych.

— Gusty Polonii nie są zbyt wybredne, więc pani...

— Nie zauważyłam, żeby się czymkolwiek różniły od gustów Polaków mieszkających w Polsce.

— Sądzi się powszechnie, że życie artystów składa się z bankietów i biesiadowania. Jak to jest naprawdę?

— Nie wiem jak jest naprawdę, nie mam czasu na bankietowanie i biesiadowanie. O godzinie 23.35 nieuchronnie i niezmiennie, w każdej sytuacji — zasypiam.

— Co zwykle robi pani po koncercie?

— Biorę kąpiel i idę spać.

— A kiedy pani nie śpiewa?

— Zajmuję się domem.

— Zawsze strzegła pani swojej prywatności i może dlatego była w cieniu gwiazd-skandalistek, bulwersujących wszystkich, np. Violetty Villas?

— Bo moje życie prywatne jest moją prywatną własnością, rzadko kiedy czytam i interesuję się cudzymi skandalami. A sfery mojej prywatności strzegę...

— Nie przyznając się nawet do dorosłej córki?

— Znam różne plotki na ten temat. Przykro, że muszę je zburzyć, ale ja nie mam dzieci.

— Wróćmy więc do pani kariery. Czy można tak długo śpiewać, całe życie?

— Mam nadzieję, że pożyję jeszcze tak długo, iż nie będę musiała śpiewać całe życie.

— W pani karierze wszystko było wymierne i bliskie, tak pisze o niej Andrzej Ibis Wróblewski. A ja jednak postawiłbym panią na cokole i porównał do marmurowego posągu, symbolu polskości, Warszawy i słowiańszczyzny?

— Jeżeli nawet cokół będzie z marmuru, to proszę, żebym ja na nim była tylko z krwi i kości.

— Nie ma już w pani niczego z dawnej Irki Wiśniewskiej z Chełmży na Pomorzu?

— No i chwała Bogu, bo w przeciwnym wypadku, byłabym infantylną staruszką.

— Jest za to dama, pierwsza dama polskiej piosenki. To pani świadoma, wykalkulowana kreacja na kogoś takiego, czy przypadek, o ile damą można zostać z przypadku i to tak wielką jak pani?

— Ktoś mnie kiedyś tak nazwał, czy słusznie? Nie wiem.

— Nie próbowała pani nigdy wyrwać się z tego emploi? Poszaleć, odmienić się, zadziwić samą siebie?

— Wielokrotnie sama siebie zadziwiałam. Ale nigdy za pieniądze publiczności.

— Ile kosztuje bilet na pani koncert?

— Nie wiem, myślę, że dostatecznie dużo, żeby to uszanować.

— Czas „Santorki" już minął, choć Ci najwierniejsi wielbiciele pozostali, co więc ofiaruje pani nowego tym, dla których ten czas nie minął?

— Moją ostatnią płytę, która nosi tytuł „CDN".

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

WITOLD LEWANDOWSKI

75 lat Łódzkiego Klubu Sportowego

75 lat temu powrócił do Łodzi po 3-letnim pobycie za granicą młody człowiek nazwiskiem Henryk Lubawski. Zarażony na Zachodzie Europy bakcylem sportu postanowił zorganizować na terenie miasta pierwszy klub sportowy. Wraz ze swoimi przyjaciółmi Arnoldem Heimanem i Jerzym Hirszbergiem, Lubawski zebrał sporą grupkę młodzieży i utworzył klub o nazwie „Łodzianka". Nie miał on statutu, ale posiadał zezwolenie od władz na grę w piłkę nożną. Postanowiono, że po przyjęciu statutu „Łodzianka" zmieni nazwę na Łódzki Klub Sportowy.

W celu legalizacji statutu udał się Lubawski do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie w kancelarii gubernatorstwa złożył odpowiednie dokumenty. Ponieważ odpowiedź długo nie nadchodziła, Lubawski wyruszył ponownie do Piotrkowa. Tak wspominał tę podróż na łamach wydawnictwa „50 lat sportu — jubileusz ŁKS":

„Zgłosiłem się ponownie do gubernatorstwa; by poradzić się jak załatwić wreszcie legalizację klubu. Stanąłem przed obliczem wszechwładnego gubernatora i zaledwie zdołałem wypowiedzieć kilka słów, gdy ten nic nie mówiąc, nacisnął guzik dzwonka. W drzwiach ukazał się woźny i padło tylko jedno słowo: „Wyprosić!" (...). Gdy trochę ochłonąłem, po takim po raz pierwszy w życiu doznanym wyproszeniu — zastanowiłem się: co robić? — Wrócić do Łodzi z niczym równało się zahamowaniu pracy w klubie, w każdym bądź razie w dużej mierze. Po tym, co zaszło, musiałem szybko wyszukać pośrednika, i to bardzo wpływowego, bo bez tego zatwierdzenia statutu nie da się absolutnie przeforsować... Pogrążony w niewesołych myślach kręciłem się koło budynku gubernatorstwa i przypadkowo dobrnąłem do ogródka okalającego tył gmachu. W otwartych oknach parteru widziałem zatrudnionych urzędników przy biurkach. Jednym skokiem przeskoczyłem metrowej wysokości parkan i zbliżyłem się do okna, wypatrując jakiejś polskiej twarzy (...). Jegomość z pokaźną brodą wydał mi się godnym zaufania. Przystanąłem. Ten popatrzył i spytał w rosyjskim języku, czego sobie życzę? — Czy pan jest Polakiem? — zapytałem. Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi umówiliśmy się, że spotkamy się w Hotelu Łódzkim. Pan Adamczewski, jak później mi się przedstawił, przyjął statut do poprawek i zobowiązał się za pewną opłatą przeprowadzić legalizację. Po skreśleniu „niebezpiecznych" paragrafów i zmianu barw z biało-czerwonych na biało-czarne statut został zatwierdzony".

W ten sposób powstał pierwszy polski klub sportowy na ziemiach Królestwa Polskiego, jeden z najstarszych w kraju — ŁKS. Pierwszym prezesem Klubu został Ryszard Winter. Piastował on te funkcję przez niecały rok. Drugim prezesem wybrany został Wacław Taubwurcel, który pracował w „Spółce Akcyjnej I. K. Poznański".

Początki ŁKS związane są oczywiście z piłką nożną, która po dziś dzień jest dyscypliną najważniejszą w klubie.

Pierwsze mecze ŁKS rozgrywał z drużynami niemieckimi, działającymi na terenie Łodzi: SS „Union", „Sport und Turnverein", „Victoria". Największym kłopotem był brak własnego boiska. Początkowo grano na placu fabrycznym przy ul. 1-go Maja. Później dzięki uprzejmości „Victorii" rozgrywano mecze na jej boisku przy ul. Wólczańskiej (obecnie znajduje się tutaj Straż Pożarna). Gdy jednak skaperowano do ŁKS (jeszcze wówczas „Łodzianki") najlepszego gracza „Victorii" Zenona Sienkiewicza, skończyła się przyjaźń i prawo korzystania z boiska niemieckiego klubu. Znaleziono szybko inne, przy ul. Narutowicza (dawniej Dzielnej) na wprost budującego się Teatru Narodowego. Wszystkie te boiska nie zaspokajały jednak potrzeb klubu. Dopiero dzięki staraniom prezesa Taubwurcela udało się nakłonić dyrektora „Spółki Akcyjnej I. K. Poznański", Williama Horrocka, wielkiego miłośnika sportu do przekazania placu Spółki przy ul. Srebrzyńskiej. Tam też 16 maja 1912 r. otwarte zostało boisko ŁKS-u, które składało się z boiska do gry w piłkę nożną, bieżni, kortów oraz trybuny drewnianej.

W latach 1922—25 prezesem ŁKS-u był Julian Woźniak. Za jego kadencji wydzierżawiono od Zarządu Miasta teren za Dworcem Kaliskim przy Alei Unii. Tutaj też rozpoczęto budowę stadionu ŁKS-u. W 1923 r. piłkarze mogli już grać na własnym stadionie. Dnia 29 czerwca 1924 r. rozegrano tutaj pierwsze spotkanie międzypaństwowe Polska — Turcja.

W 1935 r. powstaje kryta trybuna na 1.800 widzów. W rok później obiekt ogrodzono betonowym murem, który we fragmentach zachował się do dnia dzisiejszego.

Tak przedstawiała się droga klubu od „cuzych" boisk do własnego stadionu. Wróćmy jednak do sportowych wydarzeń.

Mecze rozgrywane z lokalnymi rywalami już nie wystarczały do zaspokajania sportowych ambicji. W 1909 r. rozegrano mecz z Warszawskim Kołem Sportowym „Korona". Wynik: 2:1 dla ŁKS-u. Łodzianie wystąpili w składzie: R. Kaszner w bramce, J. Jarkiewicz, M. Łabędzki, A. Nowacki, J. Panek, A. Heiman, J. Hanke, M. Poznański, H. Lubawski, M Knabe i Z. Sienkiewicz. Bramkarz Kaszner obronił dwa rzuty karne. Miał więc J. Tomaszewski godnego „przodka" na swojej pozycji. Warto zwrócić uwagę na nazwiska grających działaczy i założycieli ŁKS-u. Takie to były czasy: Lubawski, Poznański i Sienkiewicz byli również doskonałymi lekkoatletami.

W 1910 r. rozegrano pierwsze mistrzostwa Łodzi o puchar Smitha, Anglika mieszkającego w Łodzi, pomysłodawcy tych rozgrywek. Uczestniczyły cztery drużyny: ŁKS, SS „Union", „Kraft" i „Victoria". Wygrał „Kraft" przed ŁKS-em. W 1912 r. ŁKS zdobył zdecydowane mistrzostwo Łodzi wyprzedzając: „Victorię", „St. Achilles", TV „Kraft", „New Castle", „Touring Club", „Widzew" i SS „Union". Sukces ten powtórzył ŁKS rok później, zdobywając w 14 meczach komplet punktów — 28 i osiągając stosunek bramek: 75—13.

Wybuch I wojny światowej przerwał wszelką działalność klubu. Po zakończeniu wojny w 1921 r. rozegrano pierwsze mistrzostwa Polski. Wygrała „Cracovia", a ŁKS zajął piąte miejsce.

W 1927 r. powstaje I liga licząca 14 drużyn, a wśród nich i ŁKS, który opuści szeregi ekstraklasy jedynie trzykrotnie w 1938, 1952 i 1968 r. W premierze ligowych rozgrywek ŁKS zajął siódme miejsce. ŁKS posiadał w swoich szeregach dwóch znakomitych strzelców: Króla i Herbstreicha. Ogółem w lidze Herbstreich strzelił 98 bramek, a Król 104. Do dzisiejszego dnia są oni najlepszymi strzelcami w historii ŁKS-u.

Na pierwsze sukcesy trzeba było jednak jeszcze długo czekać. Dopiero w 30 lat później, 22 sierpnia 1957 r. piłkarze ŁKS odnieśli znaczący w kraju sukces. Zdobyli Puchar Polski, wygrywając w finale z Górnikiem Zabrze 2:1 po bramkach Barana i Kowalca. W rok później ŁKS zdobył jedyny jak dotąd tytuł mistrza Polski. Po rundzie wiosennej (grano wówczas systemem wiosna-jesień) ŁKS zajmował trzecie miejsce. Po XIV kolejce łodzianie objęli prowadzenie. Na dwie kolejki przed końcem rozgrywek ŁKS przegrał u siebie z Ruchem 2:3 i stracił pierwszą pozycję w tabeli. Jednak prowadzące w tabeli zespoły Polonia (Bytom) i Ruch (Chorzów) nie wytrzymały tempa i przegrały solidarnie następne swoje mecze. ŁKS wygrał natomiast 3:0 z Legią. W ostatnim spotkaniu do zdobycia mistrzostwa wystarczał jeden punkt. Pięć tysięcy łodzian wyruszyło do Zabrza na mecz z Górnikiem, by świętować pierwszy w historii klubu tytuł mistrza Polski. ŁKS nie zawiódł nadziei swoich sympatyków i zremisował 1:1. Tytuł mistrzowski powędrował do Łodzi. W 22 spotkaniach ŁKS zdobył 32 punkty (13 zwycięstw — 6 remisów — 3 porażki), bramki: 61—24. Władysław Soporek został królem strzelców, strzelając 19 bramek. Nikt przedtem ani nikt później z piłkarzy ŁKS nie powtórzył tego wyczynu. W dodatku Robert Grzywocz razem z Edwardem Szymkowiakiem został laureatem klasyfikacji katowickiego „Sportu" o „Złote Buty". Przypomnijmy jeszcze skład mistrzowskiego zespołu, dla którego z balkonu Grand Hotelu śpiewał sam Jan Kiepura: bramkarze: H. Szczurzyński i J. Bem oraz zawodnicy z pola: H. Stusio, M. Urban, S. Baran, W. Jańczyk, J. Walczak, S. Wlazły, L. Jezierski, H. Szczepański, H. Szymborski, K. Kowalec, R. Grzywocz, B. Mizgier, Wł. Soporek, J. Wieteski. Trenerem drużyny był Władysław Król, wybitny piłkarz i hokeista, reprezentant kraju tak w jednej, jak i w drugiej dyscyplinie sportu. Startował na Olimpiadzie Zimowej w 1936 r. w barwach hokejowej reprezentacji Polski. W ŁKS rozegrał 452 spotkania, strzelił 104 bramki, a zakończył karierę mając blisko 40 lat.

W Pucharze Europy — ŁKS wylosował mistrza Luksemburga „Jeunesse" Esch i niestety odpadł, przegrywając 0:5 i wygrywając tylko 2:1 w Łodzi. „Rycerzom wiosny" powodziło się w lidze coraz gorzej, aż w 1968 spadli do II ligi. Powrócili do ekstraklasy w 1971 r. i grają w niej do dzisiaj, ale bez większych sukcesów. W ciągu 75 lat istnienia klubu 43 piłkarzy ŁKS dostąpiło zaszczytu reprezentowania barw Polski. Najwięcej, bo 65 razy wystąpił w reprezentacji Jan Tomaszewski, jeden z najlepszych bramkarzy, jacy w latach 1971—1981 występowali na świecie. „Człowiek, który zatrzymał Anglię" podczas pamiętnego meczu na Wembley 10 lat temu, uczestnik Mistrzostw Świata w 1974 i 1978, olimpijczyk z Montrealu 1976, 48 razy koszulkę z orłem na piersiach zakładał Marek Dziuba, obecny kapitan ŁKS-u, uczestnik ostatniego Mundialu.

47 razy grał w latach 1957—65 Henryk Szczepański, ale większość tych występów zaliczył w barwach opolskiej Odry.

Stanisław Terlecki zaliczył 29 występów w latach 1976—80 i strzelił podczas nich 7 bramek. Przedwczesny wyjazd do USA przerwał jego doskonale zapowiadającą się karierę.

23 razy reprezentował barwy kraju, drugi z bohaterów meczu na Wembley, Mirosław Bulzacki.

W latach 1928—38 22 mecze w reprezentacji Polski rozegrał Antoni Gałecki, uczestnik Olimpiady w Berlinie w 1936 r. i mistrzostw świata w 1938 r., we Francji, gdzie uczestniczył w słynnym pojedynku z Brazylią, przegranym po dogrywce 5:6. W czasie wojny grał w I-ligowym klubie jugosłowiańskim HASK. Brał udział w bitwie pod Monte Cassino, a po wojnie zagrał jeszcze pięć meczów w barwach ŁKS-u i zakończył karierę, mając 41 lat.

Tyle samo występów co Gałecki zaliczył w reprezentacji (nie wszystkie jako zawodnik ŁKS-u) Bogdan Masztaler, uczestnik Mistrzostw Świata w 1978 r. w Argentynie.

O jeden mecz mniej rozegrał w latach 1961—67 Piotr Suski.

Słynny „bombardier" Jerzy Sadek zagrał tylko 17 razy w barwach narodowych, ale za to strzelił sześć bramek. *„Rzadki byłby to przypadek, gdyby gola nie wbił Sadek"* — takiej treści transparenty można było spotkać podczas spotkań z jego udziałem.

W latach 1924—34 — 13 razy zagrał w koszulce z białym orłem Władysław Karasiak, bożyszcze kibiców przedwojennej piłkarskiej Łodzi.

Ponadto w reprezentacji Polski występowali jeszcze następujący piłkarze ŁKS-u: K. Hanke — 11 razy w latach 1924—28, S. Baran — 9 razy w latach 1939—50, B. Szadkowski — w 1969 r. (ŁKS był wtedy w II lidze), H. Szymborski w latach 1951—58, T. Hogendorf w latach 1947—49, obecny trener ŁKS L. Jezierski w latach 1954—58 i J. Włodarczyk w latach 1947—48 — wszyscy zaliczyli sześć występów, A. Drozdowski rozegrał pięć meczów w 1973 r., W. Cyll w latach 1923—25, P. Kowalski w 1967 r., W. Król w latach 1933—37 (strzelił 2 bramki) — wszyscy 4 występy.

Po trzy mecze rozegrali: R. Patkolo w latach 1949—52, S. Szefer w latach 1966—67 i M. Łącz (obecnie znany aktor) w latach 1949—50.

Dwa spotkania mają na swoim koncie: J. Sobol w 1977 r., Wł. Soporek w latach 1957—58, J. Walczak w latach 1954—56.

Jeden raz dostąpili zaszczytu reprezentowania barw Polski: S. Andrzejewski w 1936 r., B. Cichecki w 1926, J. Durko w 1926, J. Fliegel w 1935, H. Frymarkiewicz w 1934, ojciec i syn — R. Jańczyk w 1932 i W. Jańczyk w 1957, J. Kasalik w 1974, R. Kłaczek w 1953, J. Kokot w 1954, A. Miller w 1936, Z. Otto w 1924, A. Piasecki w 1935, R. Polak w 1975, A. Śledź w 1924 i A. Milczarski.

Wielu piłkarzy ŁKS po zakończeniu kariery rozsławiało nazwę swojego klubu i Polski poza granicami kraju. W Jugosławii grał A. Gałecki, w polonijnych drużynach USA — Gutowski, Szefer, Szadkowski, Lubański, w polonijnych drużynach Australii grali: Mszyca i Kowalec. W Holandii występowali J. Sadek w I-ligowych klubach: Sparta (Rotterdam) i Haarlem i S. Szefer w I-ligowym MVV (Mastricht). Piotr Suski jako jedyny dotychczas z Polaków grał w Irlandii Północnej w drużynie mistrza kraju FC Waterford. Jan Tomaszewski grał w I-ligowym klubie belgijskim Beerschot oraz w I-ligowym Herculesie (Alicante) (także jedyny z Polaków grający w Hiszpanii) Bogdan Masztaler grał w RFN, w Werderze (Brema), a obecnie występuje w I-ligowym klubie austriackim Wiener SC. Stanisław Terlecki gra w III drużynie USA w 1983 r. — Golden Bay. Jerzy Kasalik występuje w III-ligowym szwedzkim zespole — Nykvarn, G. Ostalczyk i A. Drozdowski grają w II-ligowym fińskim zespole — Reipas Rovaniemi Rovekato, a Z. Sławuta w III-ligowym Laur itsalan Tyoeraeen Palloilisat Lov TP Lappeenranta (także z Finlandii).

Rozpisałem się o piłkarzach, a przecież przedstawiciele innych dyscyplin mieli znacznie większe osiągnięcia. Ale futbol to jest futbol. Rządzi się swoimi prawami. To właśnie sekcja piłki nożnej była pierwszą w klubie i to właśnie ona ma 75 lat. Pozostałe sekcje są nieco lub znacznie młodsze.

Sekcja lekkoatletyczna powstała w 1922 r., choć początki jej sięgają 1908 r. Organizatorem sekcji i jej trenerem, jak też i zawodnikiem był Czesław Rembowski. W 1928 r. zawodniczka ŁKS-u Genowefa Kobielska startowała na Olimpiadzie w Amsterdamie, gdzie zajęła 8 miejsce w rzucie dyskiem. Najwybitniejszą jednak lekkoatletką w okresie przedwojennym była Maria Kwaśniewska, która na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 r. zdobyła brązowy medal w rzucie oszczepem. W barwach ŁKS-u startowała również Jadwiga Wajs, która jednak największe sukcesy odniosła w barwach Sokoła (Pabianice). Zdobyła wówczas brązowy medal w rzucie dyskiem na Olimpiadzie w Los Angeles w 1932 r. i srebrny na Olimpiadzie w Berlinie w 1936 r. Inną wybitną postacią była Teresa Wieczorek-Ciepły, uczestniczka Igrzysk Olimpijskich w Rzymie w 1960 r., gdzie zdobyła brązowy medal w sztafecie 4x100 m. Wśród panów, którzy pozostawali w cieniu pań, najbardziej znanym lekkoatletą był Kazimierz Maranda, olimpijczyk z Monachium w 1972 r., gdzie zajął 10 miejsce w biegu na 3.000 m. z przeszkodami. Na Olimpiadzie w Moskwie startowała sprinterka Elżbieta Stachurska.

Na przełomie lat 1924—25 powstała nie istniejąca obecnie sekcja kolarska. Najbardziej znani kolarze w dziejach ŁKS-u to A. Reul olimpijczyk z 1928 r., H. Czyż, L. Pietraszewski, J. Bek, W. Murowaniecki (mistrz Polski z 1949 r.) i M. Ulik.

W 1929 r. powstała sekcja bokserska, z której wywodziło się wielu doskonałych bokserów. Już w 1924 r. jeszcze przed powstaniem sekcji dwaj bokserzy ŁKS-u: Jan Gerbich i Tomasz Konarzewski reprezentowali barwy Polski na Igrzyskach Olimpijskich w 1924 r. Do innych najbardziej znanych pięściarzy należeli: A. Seweryniak (mistrz Polski wagi półśredniej w 1932 r.), H. Klimczak i J. Pisarski, olimpijczyk w Berlinie w 1936 r. (wtedy nie był jednak członkiem ŁKS-u). Jeszcze w 1947 r. ŁKS zdobył drużynowe mistrzostwo Polski w boksie. Potem było coraz gorzej, aż w 1967 r. sekcję rozwiązano.

W 1936 r. na Olimpiadzie w Berlinie występował szermierz ŁKS-u Roman Kantor, zamordowany później przez hitlerowców w obozie w Majdanku w 1943 r. Sekcja szermiercza istniała krótko i nie odniosła żadnych liczących się wyników.

O wiele większe sukcesy mają na swoim koncie sekcje koszykówki, siatkówki i piłki ręcznej. Kiedy powstały dokładnie nie wiadomo. W każdym bądź razie już w 1923 r. drużyny ŁKS-u grały mecze ze szkolnymi drużynami, a także z zespołami AZS (Warszawa) i YMCA (Warszawa). W składach drużyn odnajdujemy wielu piłkarzy i lekkoatletów (M. Kwaśniewska).

W latach 1931 i 1932 siatkarze ŁKS-u zdobywają mistrzostwo Polski, a w składzie drużyny widnieje nazwisko znanego dziś karykaturzysty Edwarda Ałaszewskiego.

Piłkarze ręczni ŁKS-u zdobyli mistrzostwo Polski w 1939 r. Więcej sukcesów jednak piłkarze ręczni już nie zanotowali, a obecnie sekcja ta nie istnieje.

Koszykarze jedyny tytuł mistrza Polski zdobyli w 1953 r. mając w swoich szeregach późniejszego twórcę potęgi koszykarek ŁKS-u — Józefa Żylińskiego czyli popularnego „Ziunę" oraz znanego piłkarza Jańczyka. Później było znacznie gorzej i jedynie w 1978 r. koszykarze zdobyli trzecie miejsce w I lidze. Najlepszym koszykarzem ŁKS-u był Wojciech Fiedorczuk, wielokrotny reprezentant Polski, któremu ciężka kontuzja przerwała wspaniale zapowiadającą się karierę.

O wiele więcej sukcesów od koszykarzy odniosły ich koleżanki — koszykarki. Jest to dzisiaj najbardziej utytułowana sekcja w historii klubu. Ma na swoim koncie 6 tytułów mistrzyń kraju. Po raz pierwszy łodzianki zdobyły go w 1967 r., a następnie w latach 1972, 1973, 1974, 1982 i 1983, w roku jubileuszu klubu. Do najbardziej znanych koszykarek należy zaliczyć reprezentantki Polski: K. Żylińską (żonę trenera ŁKS-u), J. Przepałtowską, A. Jagiełło, R. Szczurzyńską, W. Pabiańczyk, I. Sokuł, M. Łuczyńską, B. Nartowską, A. Majde-Kaczmarow, T. Strumiłło-Gburczyk (dzisiaj grającą we Włókniarzu Pabianice), świetną snajperkę B. Marciniak-Storożyńską, M. Smoleńską-Kwiatkowską, L. Bek, Z. Gortat, D. Błaszczyk, B. Wołujewicz-Sędzicką, jedną z najlepszych koszykarek Europy L. Janowską, E. Całą, M Badochę, J. Sidoruk, M. Janowicz. Kibice z chęcią by zamienili te sześć tytułów koszykarek na choć jeden piłkarzy, którzy niestety wloką się w ogonie I ligi.

Podobnie jak koszykarki również siatkarki ŁKS-u godnie uczciły jubileusz 75-lecia swojego klubu, zdobywając po raz pierwszy tytuł mistrzyń kraju.

Sekcja siatkówki kobiecej powstała dopiero w 1958 r. W 10 lat później siatkarki awansowały do I ligi i grały w niej do 1976 r. Później spadek i znowu awans. Do czołowych siatkarek mistrzyń Polski należą: A. Erbel-Rozpiórska, U. Wilk, B. Waloch, J. Bartczak, I. Krogulska, E. Rychter, A. Szalbot i A. Dudkiewicz.

W 1945 r. z inicjatywy ówczesnego prezesa Szudzińskiego powstaje sekcja zapaśnicza. W 1946 r. Kulesza zdobył pierwszy tytuł mistrza Polski dla ŁKS-u w wadze lekkiej, w stylu klasycznym. W 1947 r. mistrzem kraju został Czesław Gliński w wadze ciężkiej w stylu klasycznym. Później o wiele większe sukcesy zaczęli odnosić przedstawiciele stylu wolnego. W latach 1961 i 1962 Tadeusz Łapieś zdobył tytuły mistrza Polski w wadze ciężkiej w stylu wolnym. Jednak najbardziej znanym zapaśnikiem ŁKS-u jest bez wątpienia olimpijczyk z Moskwy Tomasz Busse

Na zakończenie kilka słów o hokeistach, najdroższej i borykającej się z ciągłymi kłopotami sekcji.

Sekcja hokejowa powstała w zimie na przełomie lat 1929—30. W 1938 r. ŁKS został przyjęty w skład ligi PZHL. Kapitanem drużyny w tym czasie był znany piłkarz Wł. Król, olimpijczyk z Garmisch-Partenkirchen w 1936 r. Łodzianie nigdy nie zajęli wyższego miejsca w lidze, niż trzecie. Obecnie bronią się zawzięcie przed spadkiem z I ligi. Najlepsi hokeiści w dziejach ŁKS-u, to wielokrotni reprezentanci kraju: bramkarz W. Kosyl, olimpijczyk z 1972 i 1976 r. (obecnie grający w Austrii), K. Biruła-Białynicki, olimpijczyk z Sapporo w 1972 r. A. Kopczyński, także olimpijczyk z 1972 r., J. Potz, olimpijczyk z 1972, 1976 i 1980 r. (obecnie grający w RFN), J. Stefaniak, K. Chodakowski, R. Nowiński A. Rybski, L.Kokoszka (olimpijczyk z 1976 i 1980 r.), Z. Włodarczyk, S. Szewczyk, L. Czyżewski, L. Lejczyk, H Makutynowicz, T. Rożeń, A. Pokorski, S. Stala, J. Dzięgielewski i aktualny kadrowicz J. Stopczyk.

Tyle w telegraficznym skrócie o latach dawnych i dzisiejszych Łódzkiego Klubu Sportowego. Najwięcej miejsca poświęciłem piłkarzom, przedstawicielom najpopularniejszej dyscypliny sportu. Mimo najlepszych chęci piłkarze ŁKS-u nie mogą nawiązać do wspaniałych tradycji z lat 1957 i 1958. W roku bieżącym godnie uczcili jubileusz 75-lecia klubu juniorzy ŁKS-u, zdobywając mistrzostwo Polski. Może za kilka lat ci młodzi chłopcy powtórzą ten wyczyn już w gronie seniorów. Byłby to najlepszy prezent dla tysięcy wiernych kibiców ŁKS-u, do których w przeszłości zaliczali się między innymi Władysław Broniewski, Marian Brandys i Otto Fiński.

„R" JAK Rock

Tak, tak, to Paul McCartney ze swoją rodziną przed wylotem do Kalifornii. Maleńka Stella, obok Mary i Heather córka Lindy z pierwszego małżeństwa. Jak wiadomo ex-Beatles ożenił się z Lindą Eastman 12 marca 1969 r. Dla ciekawości podajemy, że tydzień po małżeństwie Paula z Lindą odbyła się inna uroczystość zaślubin w zespole Beatlesów: Johna Lennona z Yoko Ono.

Bob Marley -król reggae

Muzyka reggae zawędrowała już pod nasze strzechy. Coraz więcej polskich grup i solistów pasjonuje się tym stylem. Warto więc przybliżyć sylwetkę artysty który tej muzyce nadał właściwą jej rangę, wprowadził do repertuaru światowego i na listy top-hitów.

Bob Marley (prawdziwe nazwisko: Robert Nesta Marley) ur. 5.2.1945 r. w St. Ann (Jamajka). Uczęszcza do szkoły w Kingston, a w 1958 r. rozpoczyna muzykowanie. Pierwsze nagranie płytowe: „Judge not" (1961). Trzy lata później powstaje grupa „Wailer" (Bob Marley, Peter Tosch, Bunny Livingstone). Dziś ta trójka to najwybitniejsi reprezentanci reggae a sam Bob zwany jest królem tego kierunku współczesnej pop-music. Przez pewien czas Bob przebywa w USA, ale ponieważ chciano wysłać go w szeregach amerykańskiej armii do Wietnamu, wraca z powrotem na Jamajkę. W lipcu 1975 Bob Marley ze swoją grupą występuje po raz pierwszy w Londynie. Reggae podbija świat, a Marley staje się supergwiazdą popu. W listopadzie 1980 roku w pełni sił twórczych Bob Marley, po dłuższym pobycie w szpitalu, umiera na raka.

Dyskografia:
Catch a Fire (marzec 1973), Burnin (maj 1973), Natty Dread (listopad 1973), Live (listopad 1975), Rastaman Vibration (1976) Rastaman Revolution (1976), Early Music (lipiec 1977), The Bird of a Legend (lipiec 1977), Exodus (maj 1977), Kaya (kwiecień 1978), Babylon by Bus (grudzień 1978), Survival (październik 1979), Uprising (czerwiec 1980).

Foto: Cezary Krupa

BAJM to zespół prawie rodzinny, co sprzyja dobrej atmosferze i interesującym pomysłom. Kompozytorem piosenek jest Jarosław Kozidrak, teksty pisze jego siostra Beata, a utwory śpiewają w duecie Beata z mężem Andrzejem Pietrasem. Skład „Bajmu" — Beata Kozidrak, Andrzej Pietras (śpiew), Jarosław Kozidrak — gitara, śpiew, Henryk Mazurek — gitara, Bogdan Tchórzewski — perkusja, Marek Makuch — gitara basowa.

Sensacja — Kajagoogoo!

Kajagoogoo to najsłynniejsza aktualnie grupa światowej muzyki rockowej. Od wielu tygodni ich utwór „Too shy" utrzymuje się w ścisłej czołówce zachodnich list przebojów. Skład zespołu tworzą wokalista Limahl (prawdziwe nazwisko Christopher Hamill), basista Nick Beggs, gitarzysta Steve Askew, perkusista Jez Strode i Stuart Neale (instrumenty klawiszowe). Ostatnio — o czym już donosiła muzyczna prasa, Limahl — niekwestionowany leader zespołu — odszedł z Kajagoogoo, przy czym jego pożegnanie było dość burzliwe i nieoczekiwane. Stało się to przecież w momencie, kiedy grupa osiągała apogeum popularności, kiedy zaawansowane były prace nad kolejnym albumem i przygotowaniem europejskiego tournee. Jednego dnia zalegające w magazynach dziesiątki tysięcy kolorowych reklamowych plakatów, tysiące fotosów, emblematów, firmowych znaczków itp. stały się nieaktualne! „R — jak Rock" już 30 listopada br. zamieści obszerną informację (plus aktualny serwis zdjęciowy) o rzeczywistych przyczynach odejścia Limahla z Kajagoogoo...

ROCK U SĄSIADÓW

W rubryce pod tym tytułem prezentować będziemy w przyszłości najciekawsze zjawiska w muzyce i piosence estradowej krajów demokracji ludowej. Dzieją się tam doprawdy bardzo interesujące rzeczy, ale niestety w świadomości naszych fanów zakodowane są jedynie najbardziej popularne nazwiska z tych krajów, jak Karel Gott, Helena Vondracková, Frank Schoebel. Piosniary, czy też węgierska Omega. W krajach demokracji ludowej pojawiło się ostatnimi czasy wiele grup nowofalowych, zespołów prezentujących zróżnicowaną stylowo muzykę, solistów wysokiej klasy.. Dziś — jako zwiastun naszych przyszłościowych propozycji — zamieszczamy zdjęcie popularnego węgierskiego zespołu **V-MOTO ROCK...**

DURAN DURAN spodnie w paski i przebój przebojów

Simon Le Bon, wówczas student szkoły aktorskiej, zgłosił się do Rumrunner Club w Birmingham, bowiem grupa Duran Duran poszukiwała piosenkarza. Zrobił to właściwie przez przekorę bo przyjaciółka drwiła z niego: — nie potrafisz poruszać się po scenie nie jesteś dostatecznie muzykalny, jasnoniebieskie paski na twoich obcisłych spodniach nie zrobią z ciebie piosenkarza!

Członkowie grupy „Duran Duran" — John Taylor, Andy Taylor, Roger Taylor i Nick Rhodes byli innego zdania. Jak dziś tłumaczą ze śmiechem przypadł im do gustu ten jasnowłosy olbrzym o sympatycznym wyrazie twarzy, spodobały im się również obcisłe spodnie w jasnoniebieskie paski.

Dziś widać, że mieli rację: Simon jest najbardziej znaczącą osobowością w grupie. Pozostał skromny i nieśmiały — nigdy nie wysuwa się do przodu przed światła reflektorów. Za to jest rozmowny i chętnie udziela wywiadów..

Duran Duran, po licznych przebojach marzą o singlu numer jeden. Prawdę powiedziawszy, udało się to im już: „Is there something I should know" jest przebojem przebojów. Oni chcą jeszcze więcej...

PINK FLOYD

ROGER WATERS — muzyk, wokalista, kompozytor, leader. Ojciec duchowy PINK FLOYD. Zdjęcie zrobione w trakcie próby generalnej do dortmundzkiego spektaklu „The Wall".

Pink Floyd. Legenda światowej muzyki rockowej. Pięciu czarodziejów i rebeliantów rocka. Roger Waters, ur. 6.9.1944, w Cambridge. Nick Mason, 27.1.1945, Birmingham. Rick Wright, 28.7.1945, Londyn. Roger „Syd" Barrett, 6.1.1946, Cambridge. David Gilmour, 6.3.1946, Cambridge. Ich największe triumfy to przełom tych „szalonych lat sześćdziesiątych" i początek lat siedemdziesiątych, lat nowego brzmienia, awangardowych propozycji, a jednocześnie... powrotu do cukierkowego „sound" i triumfu wykonawców i utworów banalnych, stereotypowych, lecz przebojowych (vide: ABBA, Bee Gees, Boney M itd. itp.). Pink Floydzi powodzi znikają z rockowej sceny... Aby wyobrazić sobie ich wcześniejszą popularność nie wystarczy żonglować tylko milionami sprzedanych płyt. Floydzi w okresie swych największych sukcesów, tuż po nagraniu w październiku 1969 roku albumu dwupłytowego „Ummagumma" ściągnęli na swój koncert do londyńskiego Hyde Parku 100 tysięcy widzów .... Ale potem przychodzi nieoczekiwane załamanie. Floydzi wracają jednak triumfalnie. Ich album „The Wall" robi światową karierę, zaś utwór z tejże płyty „Another Brick in the Wall" staje się superhitem. Na początku lat osiemdziesiątych „The Wall" rock-opera okazuje się wielkim triumfem i jednocześnie... najdroższym show w historii rocka. W to przedsięwzięcie zainwestowano ponad cztery miliony dolarów. Premiera rock-opery odbywa się w Los Angeles, następnie spektakl wystawiany jest w New Yorku, Londynie, w Dortmundzie i innych miastach Europy i świata... Andrzej Jóźwiak słyszał i oglądał Floydów, i oto fragment jego relacji z koncertu.

The Wall. Muzyka w natarciu. Pink Floyd stoją już na scenie i zaczynają „In the Flesh". Roger Waters, Nick Mason, David Gilmour, Rick Wright. Dopiero po chwili okazuje się, że są to jacyś inni muzycy z pinkfloydowskimi maskami na twarzach.

Na scenie olbrzymi mur. Długi, wysoki, sięga prawie pod kopułę hali. Dortmunder Westfalenhalle to największa w Europie hala widowiskowa (23 tysiące miejsc). Ryk na sali zagłusza muzykę. To pojawiają się prawdziwi Floydzi. Potężna fala dynamicznej muzyki, wszechobejmujący wątek protestu, nuta goryczy, ludzkiej krzywdy. The Wall. Nieduży wyłom w murze jest już stopniowo zamykany. Metafora wyrazista, ale nie ilustracyjna, jest organicznie wtopiona w spektakl.

Floydzi sadzą „Another Brick in the Wall". Wydaje się, że za chwilę zostanie rozwalony dach hali. Publiczność szaleje, śpiewa razem z Floydami. Podniecenie dochodzi do szczytu, kiedy pojawia się olbrzymia Kukła-Nauczyciel kołysząca się nad sceną co najmniej na wysokość jednego piętra. Z magnetofonowej taśmy śpiewa chór uczniów. Sala wrzeszczy do kukły „nie wychowuj nas, zostaw uczniów w spokoju...". Mur jest już gotów. Życie umyka między palcami. Jesteś zagubionym dzieckiem, pozbawionym wszelkiej pomocy. Nie masz żadnej szansy. Otacza cię ściana i sny pełne pająków i szaleńczych zmór...

...W drugiej części widowiska Floydzi przebierają się w czarne ubrania. Roger Waters ubrany jest w mundur faszystowski: płaszcz z czarnej skóry, buty oficerki. To jest protest przeciw okrucieństwu, wojnie, mundurowaniu młodzieży, obłudzie. Krwawym jest źródło tej bolesnej inspiracji Floydów. Roger ucieka ze sceny jak diabeł. Muzyka znów w natarciu.

Atak wojska na ścianę. Ze szpar w murze wali gęsty dym. Floydzi grają „Turn down the Wall". Świdrujący w uszach pisk dziewcząt, bolesne uderzenie zwielokrotnionego przez wzmacniacze dźwięku gitar, kłęby dymu zdają się rozsadzać halę. Ściany muru coraz bardziej uwypuklają się, grożą zawaleniem.

Dym, błyski, muzyka, wrzask, pisk, wszystko wibruje jak przy końcu świata, ryk publiczności, koszmarny sen, zmory, opium, hasz, LSD... i nagle ściana wali się na scenę, jak przy trzęsieniu ziemi. Kończy się kontrolowanie myśli, załamanie, życie rodem z koszmarnego snu... CZŁOWIEK JEST WOLNY.

Floydzi grają „Outside the Wall".

(2)

„Cóż za potwora wychowaliśmy!"

Historia dzieciństwa jest okrutna, jeszcze dziś — stwierdza pani Trube-Becker na podstawie 20-letniego doświadczenia W swej najnowszej książce zatytułowanej „Agresja wobec dziecka", opisuje ona całe dramaty: rzemienie, pejcze, kije, a nawet warząchwie — oto czym rodzice biją swoje potomstwo: nieletnie dzieci bywają obiektem ekscesów seksualnych, są gryzione i oblewane wrzątkiem, sadzane na rozgrzanej płycie kuchennej lub zanurzane w lodowatej wodzie... listę okrucieństw można by dowolnie przedłużać — pisze lekarka.

Każdego roku w RFN, wskutek takiego traktowania, umiera co najmniej 1.000 dzieci. Prawdziwa liczba jest z pewnością o wiele wyższa.

Przez całe stulecia — pisze prawniczka z Frankfurtu nad Menem, Gisela Zenz — znęcanie się nad dziećmi było usprawiedliwiane względami wychowawczymi. Rodzice, a także nauczyciele bili dzieci, aby „wypędzić z nich zło" i utrzymać dyscyplinę. Działali przy tym zgodnie z zaleceniami Starego Testamentu, który proponował surowe metody wychowawcze: „bij swoje dziecko, aby ci się dobrze wiodło". Salomon radził: „Kto szczędzi rózgi, nie kocha swego syna, kto go kocha, wcześnie ujmuje go w karby" — sentencja ta z biegiem lat została szeroko spopularyzowana w skróconej formie: „Kto kocha swoje dziecko, ten nie szczędzi rózgi". Wielu pobożnych ojców powtarzało za Marcinem Lutrem, że lepszy jest syn martwy, niż źle wychowany. Nawet słynni humaniści i pedagodzy, jak Petrarka, Comenius czy Pestalozzi — aprobowali bicie dzieci rózgą i kijem. Tego rodzaju metody wychowawcze stosowano nawet wobec dzieci królewskich. Ludwik XVIII od drugiego roku życia był chłostany każdego ranka W dniu swej koronacji, po codziennej porcji batów, 8-letni monarcha miał podobno westchnąć: „Chętnie wyrzekłbym się tych wszystkich hołdów i zaszczytów, gdyby za to mnie nie bito...".

Cierpienia dzieci wiązały się także z wykorzystywaniem ich jako źródła zarobku. Rodzice okaleczali własne dzieci, aby mogły skutecznie żebrać, zmuszali je do prostytucji lub, w XIX wieku wysyłali do pracy w fabrykach, gdzie — często przykute łańcuchem do maszyny — musiały pracować po 13 godzin dziennie. Wiele dzieci odebrało sobie życie, wiele nabawiało się kalectwa na całe życie.

W miarę poprawy warunków życia rodziców — ulegał zmianie także stosunek do dzieci. Maltretowanie dzieci, czy wręcz dzieciobójstwo należą dziś do najbardziej potępianych zbrodni Jednakże ta „społeczna dezaprobata" jest — jak mówi Gisela Zenz — tak krucha, jak młody jest jej historyczny rodowód. Używanie przemocy wobec dzieci jest jeszcze wciąż sprawą tak aktualną, że się ją wstydliwie przemilcza.

Milczy się więc nie tylko na temat znęcania się psychicznego — jak zastraszanie, upokarzanie i odmawianie miłości — co jest wciąż jeszcze uważane za rzecz normalną. Również większość przypadków znęcania się fizycznego jest przez lekarzy i sąsiadów niedostrzegana bądź przemilczana. Wciąż jeszcze bicie, czy inne formy stosowania siły, uważa się za legalne metody wychowawcze.

Jednakże absolutnie sprzeczne z naturą wydaje się dorosłym zawsze, gdy ich własne potomstwo posuwa się do rękoczynów wobec nich. Stanowi to wielki temat światowej literatury, od legendarnego Edypa, który zabił (nie wiedząc o tym) swego ojca, poprzez brutalną grę córek w szekspirowskim „Królu Learze", aż po braci Karamazowów którzy występowali przeciwko swemu starzejącemu się ojcu.

To, że dzieci i młodzież ważą się na bunt przeciwko dorosłym, nie jest bynajmniej zjawiskiem wyłącznie współczesnym Także w rzekomo zdrowej, tradycyjnej rodzinie wielopokoleniowej młodzi szczerzą zęby na starych. W pracy naukowej zatytułowanej „Życie na wsi", dwaj socjolodzy, Albert Ilien i Utz Jeggle ukazują, jak są tam traktowani starzy, dożywający swych lat rodzice: kopniakami i razami dorośli synowie i córki mszczą się nierzadko za wieloletnią zależność ekonomiczną i pozaekonomiczną.

Czym jednak należy tłumaczyć fakt, że we współczesnej, małej rodzinie chłopak nagle kopie ojca, czy rzuca się z pięściami na matkę?

15-letni uczeń szkoły średniej był od roku „panem domu" — tak rozpoczyna się opis jednego z przypadków, prezentowanych w książce francuskiego małżeństwa psychiatrów — Jean-Pierre'a i Laetitii Chartierów. Po powrocie ze szkoły — opowiadali szukający pomocy rodzice — rozwalał się w fotelu przed telewizorem. Z wiatrówką w ręku wyganiał rodziców do kuchni, gdzie musieli przyrządzać mu to, co sobie życzył do jedzenia. Aby uwolnić się od tyranii syna, ojciec — urzędnik pocztowy — poprosił o przeniesienie do innego miasta, ale bezradna matka wysłała chłopca za nim.

„Błagam, uwolnijcie mnie od syna!" — pisała inna klientka Chartierów, pani Jacoste, do sądu rodzinnego. Jej 13-letni syn przestał chodzić do szkoły, przestał się myć, groził i wymyślał matce, a nawet ją bił. W końcu, terroryzowana matka wyprowadziła się z domu i kazała odciąć dopływ prądu i wody. Wtedy zaczęła dostawać od syna pełne nienawiści listy, w których chłopak groził jej zemstą, a jednocześnie domagał się dostarczenia najrozmaitszych rzeczy.

Coraz częściej naukowcy francuscy spotykali się ze strony rodziców ze skargami, iż są szantażowani przez dzieci. Tak np. 15-letni Jean-Marie dokładnie wyliczał w liście, jakie szkody spowoduje w rodzicielskim mieszkaniu, jeśli nie dostanie żądanego skutera: „Firanki i parę waszych łachów już podarłem...".

Nierzadko — na to Chartierowie mają także wiele przykładów — nienawiść wyładowuje się w rękoczynach: Nancy zrywa się nagle, uderza matkę w twarz, biegnie do kuchni i wraca z nożem. 14-letni Marc tak długo potrafi bić babcię, aż ta napisze mu usprawiedliwienie nieobecności w szkole. Jego rówieśnica Carine dolała rodzicom do herbaty denaturatu, ponieważ nie pozwolili jej wyjść wieczorem.

Jak stwierdzają pracownicy poradni wychowawczej, przypadki, w których tradycyjna hierarchia rodzinna zostaje postawiona na głowie, zdarzają się we wszystkich warstwach społecznych. Najczęściej po poradę zgłaszają się posiniaczone matki, rzadziej ojcowie.

Jak zaobserwował prof. Thea Schoenfelder z Hamburga, również „bardzo kochający rodzice" są niekiedy trzymani w szachu przez własne dzieci: „ze strachu, aby nie wystąpił przeciwko nim, ojciec i matka tańczą wokół nastolatka, jak wokół złotego cielca" — pisze ona.

Kiedy nie dostanie czego chce — tak jest w przypadku pewnego 15-latka z jej praktyki — synalek roznosi cały dom. Ponieważ przed laty przechodził on bardzo ciężką chorobę, rodzice nigdy niczego mu nie odmawiali. Teraz usiłują ująć go w karby, ale jest to już niewykonalne „Cóż za potwora wychowaliśmy?!" — pytają siebie rodzice.

Z małymi potworami, pełnymi agresywności, spotykał się w swej poradni psychologicznej także pedagog i socjolog Hans-Peter Wolf z Marl. Jak wynika z jego obserwacji, agresywność ta nie zawsze przejawia się w ciosach i kopniakach — w licznych rodzinach panuje terror psychiczny.

Oto przykład z Marl: 14-letnia dziewczynka przyprawia matkę o histerię ekstrawaganckimi pomysłami, np. balansując na balustradzie mostu 16-letni chłopak — również rozmyślnie — rozbił kompletnie samochód swego ojca.

Wielu rodziców najchętniej oddałoby swe niesforne latorośle do internatu. Do Karl-heinza Kohla, psychologa w zachodnioberlińskim Instytucie Johannesstift, stale zgłaszają się podobne rodziny. Młodzi — stwierdza on — pozwalają sobie nie tylko w szkole, ale także wobec rodziców, na wiele więcej, niż jeszcze w latach sześćdziesiątych. Zaszokowani tym rodzice mają nadzieję, że w internacie ich dziecko zostanie „oduczone" agresywności.

Kohl opisuje przykład 16-letniego Petera, którego rodzice zwrócili się do niego o ratunek: inteligentny, dobrze zbudowany chłopiec, uczeń szkoły ogólnokształcącej, jeszcze kilka miesięcy temu „nie wykazywał żadnych odchyleń od normy". A potem nagle wykoleił się: wagaruje, wraca późno do domu i skumał się z grupą chłopaków, z którymi razem wydziera torebki samotnym starszym kobietom. Wieczorami włamują się do barakowozów na budowach i do biur, co Peter tłumaczy tym, że 10 marek kieszonkowego nie wystarcza mu nawet na papierosy.

Pewnego wieczoru ojciec wytropił go w klubie młodzieżowym. Przed drzwiami doszło między nimi do kłótni. Kiedy ojciec uderzył Petera (tak, jak to czynił wiele razy przedtem przy podobnych okazjach), ten oddał mu. Cios był tak silny, że mężczyzna upadł na ziemię zamroczony.

— Ojciec — pracownik domu handlowego i matka — maszynistka biurowa — czują się całkowicie bezsilni i chcieliby oddać syna do internatu.

Jak wynika z obserwacji dr Angeli Beisert, pracującej w psychiatrycznej poradni młodzieżowej w hamburskiej dzielnicy Wandsbek, brutalnie zachowują się dziś już nie tylko młodzi ludzie, 18-, 20-letni, również 16-latki coraz częściej zadają swym rodzicom ciężkie obrażenia ciała. Tam, gdzie ojcowie rozstrzygają konflikty za pomocą bicia, również młodzi sięgają po ten środek, nierzadko ostatnie zahamowania spłukuje alkohol. Matki żyją w nieustannym strachu przed synami. Opiekun społeczny wzywany jest niby straż pożarna — jak np. przez pewną 43-letnią ekspedientkę, której syn po alkoholu zawsze demoluje mieszkanie. Kiedy zastał drzwi zamknięte, wybił je kopniakiem. Do matki zwraca się najwulgarniejszymi słowami, rzuca w nią butelkami, krzesłami. Chłopiec jest dobrze ubrany, sympatyczny, ma łatwość wysławiania się (z raportu opiekuna społecznego).

„Proszę, aby chłopiec przebywał w zamknięciu" — pisze matka 16-letniego chłopaka, który już od kilku lat terroryzował ją, zrzucając ze stołu talerze, kiedy nie smakował mu obiad, a — po kilku piwach — podtykał jej pięść pod nos.

O wszelkich tego rodzaju scenach wiedzą jednak w większości przypadków tylko członkowie najbliższej rodziny i bliscy znajomi. Podobnie jak znęcanie się nad żonami lub dziećmi, również fakt używania przemocy przez młodych wobec starych, wychodzą na jaw dopiero wówczas, gdy ich skutkiem są ofiary śmiertelne Jak wynika ze statystyk policyjnych, prawie co trzecie morderstwo czy zabójstwo rozgrywa się w rodzinie.

Największe jest oburzenie opinii publicznej, jeśli czynu tego dopuścił się syn, córka. Tak też było w 1979 roku, w przypadku 18-letniego hamburczyka Axela Vossa, który zapłacił swemu przyjacielowi, aby ten zastrzelił jego rodziców, właścicieli sklepu mięsnego. Później okazało się, że zamordowana matka zawsze mówiła o swym synu jako o „niezwykle posłusznym, złotym chłopcu".

„Zabijają, bo gardzą ludźmi — pisał wkrótce po tym zachodnioniemiecki tygodnik QUICK. Coraz częściej młodzi ludzie dopuszczają się wyjątkowo brutalnych zbrodni, tak jak Harald R., który — z nienawiści — zabił swego ojca łomem".

Zdaniem psychiatry, prof Thei Schoenfelder, nie istnieje coś takiego, jak „niszczenie z powodu zwykłego nadmiaru sił, niszczenie dla zwykłej przyjemności destrukcji, po prostu nie istnieje. Nigdy jeszcze nie spotkano w swej praktyce agresywnego dziecka, które samo nie byłoby w jakiś sposób ofiarą agresji. Ze zwierzeń nieletnich, którzy dopuścili się zbrodni matko- lub ojcobójstwa, pani Schoenfelder, która występuje także w charakterze biegłej sądowej, poznaje wewnętrzne życie zainteresowanych rodzin. Często jest to — pisze ona — emocjonalne piekło, w którym żyje się tylko pozornie, gdzie nie ma miejsca na żadne uczucia. Banalny powód pozornie pozbawionego motywów czynu — jak np. uwaga zwrócona przez ojca, bywa przysłowiową ostatnią kroplą, która przepełnia naczynie. Nagle chłopiec chwyta za nóż, a potem mówi: „nie wiem, jak to się stało, tylko uderzałem, uderzałem...".

Dopiero w długich, poufnych rozmowach z panią psycholog młodzi ludzie zaczynają mówić o „swoim całkowitym osamotnieniu", o „latach rozpaczy"

W pracy naukowej, w której przeanalizował 80 przypadków przestępstw, popełnionych przez nieletnich, psychiatra z Tuebingen, prof. Reinhart Lempp — dochodzi do wniosku, że większość spośród tych przypadków należy zaliczyć do kategorii „nieszczęśliwych wypadków z zakresu stosunków międzyludzkich". Młodociani mordercy są to właściwie tacy sami młodzi ludzie, jak wszyscy inni, ale jednocześnie są to młodzi ludzie, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji i nie mogą sobie z nią poradzić.

Zabójstwo rodziców z reguły poprzedzone bywa używaniem przemocy w rodzinie — twierdzi Sol Waserman z kliniki psychiatrycznej w San Jose w Kalifornii. Typowy pod tym względem jest przykład rodzeństwa Johnke: 16-letni Richard i jego 17-letnia siostra Deborah z Cheyenne w stanie Wyoming, zastrzelili swego ojca, który przez wiele lat bił matkę, gwałcił córkę i maltretował syna.

Zarówno w przypadkach morderstwa i zabójstwa w rodzinie, jak i w takich przypadkach, których efektem są tylko guzy i sińce, aby dotrzeć do korzeni agresji, trzeba często rozwikłać cały splot przyczyn i uwarunkowań. Zawsze jednak — stwierdza Thea Schoenfelder — agresja u dziecka jest tylko objawem, w którym uzewnętrznia się chory system rodzinny.

Za przykład może tu posłużyć przypadek 17-letniego mieszkańca Berlina Zachodniego, Bernda. Rozpieszczony syn bogatych rodziców, który frustrację i depresję próbował zwalczyć zażywaniem narkotyków, a po wypadku motocyklowym usiłował popełnić samobójstwo, w rozmowie z psychologiem, sam dokonuje analizy swej agresywności: stwierdza, że była ona skutkiem rozpaczliwej samotności, iż ani ojciec, ani matka nigdy go nie rozumieli.

„Matka zalewała mnie wprost swoją miłością, zwłaszcza zawsze wtedy, kiedy sądziła, że coś jest nie w porządku, że mam jakieś zmartwienie... dławiłem się formalnie w tej powodzi uczuć. Czasem nie mogłem się jej pozbyć inaczej, musiałem ją uderzyć... tłumaczenie nie pomagało, nie mogłem nawet dojść do słowa.. W moim pojęciu nie ma nic bardziej godnego pogardy, niż „Poddany", tak, jak go przedstawił Heinrich Mann... Taki typ, wypisz wymaluj, to mój ojciec: brutalny, despotyczny dla niższych od siebie i dopóki widzi, że można... usłużny i pochlebca wobec wyżej postawionych i zawsze wtedy, kiedy wie, że ktoś nie pozwoli sobą pomiatać... Jeśli coś nie pasuje do jego obrazu świata, tego nie widzi, nie przyjmuje do wiadomości... a przecież jeśli idzie o stosunki w naszej rodzinie, to ten piękny świat dawno już jest diabła wart..."

Ojciec Bernda, 52-letni urzędnik, jeszcze do niedawna — według jego własnych zeznań — sprawował w swej rodzinie despotyczne rządy. Teraz przejawia raczej rezygnację Zdaniem psychiatrów, zarówno jedna, jak i druga postawa stanowi doskonałą pożywkę, na której rozwija się agresywność dzieci.

Rodzice — jak to było również w przypadku 16-letniego Petera, który znokautował swego ojca — poświęcają swym latorośloom bardzo mało czasu. Jednocześnie usiłują — często za pomocą gróźb i razów — utrzymać zewnętrzne pozory wzorowej rodziny. Chłopiec buntował się przeciwko tym skostniałym, czysto formalnym ramom, szukał — jak pisze Kohl — „materialnej namiastki, która mogłaby wyrównać jego deficyt emocjonalny". Kiedy ojciec skompromitował go wobec kolegów z klubu, Peter przekroczył ostatnią barierę: wyszła na jaw kruchość stosunków rodzinnych.

Tacy „autorytatywni" rodzice z wielkim trudem godzą się z koniecznością rezygnacji ze swej władzy — stwierdza socjolog Hans-Peter Wolf, na podstawie licznych rozmów z interesantami w poradni rodzinnej. Większość rodziców postępuje wobec własnych dzieci tak jak z nimi samymi postępowali ich rodzice, bądź też usiłują uzyskać od nich to, czego sami nigdy nie zaznali.

Fakt, że również czyjaś agresja przekazana jest tą drogą z pokolenia na pokolenie wykazały badania socjologów amerykańskich. Murray Strauss wraz z zespołem naukowców przebadał 306 małżeństw, mających dzieci w wieku od 13 do 17 lat. Więcej niż połowa tych rodziców stosowała w ostatnich miesiącach wobec swych dzieci kary cielesne — dokładnie tyle samo ojców i matek przyznało się, że w wieku kilkunastu lat sami byli bici przez swych rodziców Wielu też ludzi, którzy jako dzieci byli w domu świadkami używania przemocy, sami także stosują te metody: kobiety bite przez mężów stwierdzały w rozmowie z socjologiem, że ich dzieci za przykładem ojca traktują je tak samo.

W takich rodzinach zjawisko agresywności dzieci może się jeszcze wydawać rzeczą normalną. Cóż jednak powiedzieć o przypadkach, gdy obiektem agresji stają się rodzice, którzy podchodzą do swych dzieci w sposób wielkoduszny i wolny od przesądów? „W dążeniu do doskonałości — twierdzi psychiatra von Villiez — wielu rodziców tłumi w sobie gniew i złość: zgodnie z zaleceniami najnowszych podręczników pedagogiki, wykazują oni bezgraniczną wyrozumiałość i idą na totalne partnerstwo". Pedagodzy i psycholodzy, którzy ostatnio robią wszystko, aby bronić dzieci przed rodzicami, zapomnieli widać, że równie konieczne powinno być zachęcanie rodziny do samoobrony.

Całkowicie zdezorientowani, pełni poczucia winy liczni rodzice przestają więc zakazywać swym pociechom czegokolwiek. Inaczej mówiąc — nie kierują nimi w ogóle i już 3- lub 5-letnie traktują jak dorosłych partnerów. Dzieci takie wywracają potem do góry nogami całą rodzinną hierarchię. Stają się tyrańskimi treserami własnych rodziców, wydają polecenia, grożą rodzicom i wreszcie faktycznie podnoszą na nich rękę.

Zdaniem von Villieza, agresywne dzieci, atakując rodziców, pragną właśnie „dać im szansę, aby wreszcie raz okazali się prawdziwymi rodzicami". Ale często matka siedzi wtedy cicho, pozwala się bić i kopać. Jednakże przyczyn tego, że ojcowie i matki są tyranizowani przez własne dzieci rzadko tylko trzeba doszukiwać się wyłącznie w mikrokosmosie rodzinnym. Jak stwierdzono podczas obrad Kongresu Europejskiego Stowarzyszenia Psychiatrii Dzieci i Młodzieży, który odbył się na początku lipca br. w Lozannie, dzieci i młodzież jako aktorzy, lub ofiary aktów agresji, „są odbiciem szarpanego wewnętrznymi sprzecznościami współczesnego społeczeństwa". Najmłodsi członkowie rodziny są zagrożeni wzorcami agresywnych i destrukcyjnych zachowań.

„Świat dorosłych uczy przecież, że agresywne formy zachowania są najbardziej skuteczne — w życiu zawodowym, w sporcie, w ruchu ulicznym, w polityce" — stwierdza profesor psychologii Hans-Dietrich Dann. Reklama i telewizja nawołują stale do identyfikowania się z agresywnymi wzorcami. Na pierwszym miejscu stawiane jest zaspokojenie potrzeb materialnych; życzliwość, dobroć i tym podobne pojęcia z zakresu stosunków międzyludzkich znalazły się na znacznie dalszych miejscach w skali wartości.

Typowe są tu sceny, jakich świadkami bywają opiekunowie społeczni i psycholodzy, którzy odwiedzają domy swych podopiecznych. Coraz częściej całkowicie bezradni ojcowie i matki mówią im, że ich dzieci stały się „dziwne": „Proszę, niech pan zajrzy do jego pokoju, ma przecież wszystko: nowe meble, piękne firanki, owoce, słodycze, kolorowy telewizor..." Ale wieczorem rodzice zasiadają przed telewizorem, z butelką piwa w zasięgu ręki, nie ma mowy o jakiejś wymianie zdań. Chłopak u siebie też gapi się w telewizor, każdy jest sam w pokoju...

W tej sytuacji przesycenia dobrami materialnymi, wśród wielu młodych ludzi — zdaniem psychologa Konrada Sprai'a — szerzy się poczucie bezsensu, które, skierowane do wewnątrz, może znaleźć ujście w depresji, zaś skierowane na zewnątrz — w agresywności.

O tym, jak bardzo w opinii młodych obniżył się stopień wiarygodności dorosłych, świadczą wyniki ankiety przeprowadzonej w 1982 roku przez instytut badania opinii publicznej INFAS wśród młodzieży w Północnej Nadrenii-Westfalii, ale które są reprezentatywne dla całej Republiki Federalnej.

68 proc. ankietowanych młodych ludzi w wieku od 16 do 23 lat uważa np., że partiom politycznym nie chodzi bynajmniej o zaspokojenie potrzeb obywateli, lecz wyłącznie o głosy wyborców. 40 proc. jest przekonanych, że użycie siły jest czasem konieczne, dla wzbudzenia zainteresowania dla jakiejś sprawy, 74 proc. wykazuje zrozumienie dla agresywnych reakcji młodych ludzi.

Większość ankietowanych opowiada się wprawdzie za poszukiwaniem „nowych form i nowego stylu życia", ale wspólnota rodzinna, w której sami czują się dziś tak wyobcowani, pozostaje jednak dla nich celem marzeń. Większość — 54 procent zapytanych — chciałaby w przyszłości mieć „miły dom i harmonijne życie rodzinne".

(„DER SPIEGEL")

W kręgu fantastyki

Zapis piąty

„Czerń, która szczelnie wypełniała cały jego umysł, ustępowała bardzo wolno. Najpierw pojawiły się w niej upiorne majaki, bezkształtne chybotliwe formy nic nie znaczące, a mimo to budzące na nowo strach — ostatnie uczucie, jakie towarzyszyło mu przed utratą świadomości. Potem biel, a na niej czerwone krzepnące smugi wraz z nimi stłumiony ból, jakby niesiony gasnącą falą z odległego źródła i znów mrok. Koszmar sączył się powoli: był dotykiem ciepłych rąk, mieszaniną ciężkich odurzających woni, głuchym łomotem...

Wreszcie wszystko przeminęło. Ujrzał nad sobą chmury podświetlone blaskiem księżyca, nagie gałęzie drzew i ciemną pochyloną postać.

— Teraz już chyba dobrze się pan czuje — usłyszał cichy, a mimo to mocny głos.

— Tak, czuję się dobrze — odrzekł bez przekonania. — Miałem wypadek — dodał po chwili.

Przypomniał sobie zakręt, pisk opon ślizgających się na mokrym asfalcie i drzewo — gruby omszały pień w świetle reflektora.

— Rozbił się pan niedaleko stąd — powiedział nieznajomy tym samym spokojnym tonem.

Kowalski poruszył się ostrożnie: ręce, nogi, kręgosłup — wyglądało na to, że najważniejsze kości ma całe. Usiadł i rozejrzał się wokoło. W ciemnościach ledwo rozproszonych księżycowym światłem dostrzegł zarys alei obramowanej krzewiastymi tujami, a między nimi prostokątne bryły płyt nagrobnych. Obok niego na rozgrzebanej stercie gliny, leżały wieńce i wiązanki kwiatów.

— Cmentarz ? — szepnął wstrząśnięty niesamowitością otoczenia. — Boże! dlaczego ja jestem na cmentarzu?

Nieznajomy skrzywił się jakby przerażenie Kowalskiego wzbudziło w nim niesmak.

— Wolałby pan leżeć na drodze? — odpowiedział pytaniem.

— Nie, ale... — nie dokończył zdania; przez chwilę milczał, a potem zapytał z pozornym spokojem: — Pan mnie tu przyniósł?

— Inni pana przynieśli.

Mężczyzna skinął głową w kierunku ledwo widocznej w oddali cmentarnej bramy.

— Ale oni już poszli.

— Czy ktoś zawiadomił milicję lub pogotowie? — Kowalski uświadomił sobie, że badanie jego krwi wykaże spora zawartość alkoholu.

— Pomoc lekarska nie jest już panu potrzebna — powiedział nieznajomy. — Niech pan wstanie, trzeba rozprostować kości.

Kowalski niepewnie podniósł się z ziemi. Z trudem utrzymywał chwiejną równowagę: kolana mu drżały, były zbyt słabe, aby unieść ciężar ciała. Bólu nie odczuwał, chociaż wiedział, że jest bardzo potłuczony. Poprawił bandaż nad czołem, napiął zwiotczałe mięśnie i postąpił kilka kroków na nieistniejących nogach — tak było mu łatwiej, tyle że przypominał napędzany sprężyna mechanizm.

— Zupełnie nieźle pan sobie radzi — powiedział mężczyzna z uznaniem, również na sztywnych nogach podchodząc do Kowalskiego.

Wolno ruszyli aleją. W mrocznych zaułkach cmentarza nieznajomy czuł się jak na własnym podwórku: znał dosłownie każdy kamień, każdy wystający korzeń, każdy grób. Wiedział gdzie kto leży, na jaką chorobę i w jakim wieku zmarł; był znakomitym przewodnikiem umiejącym skupić na sobie uwagę słuchacza. Kowalski zainteresowany barwną opowieścią, zapomniał niemal o wypadku i o tym, że noca spaceruje po miejscu budzącym zwykle dreszcz grozy.

Tak doszli do zabytkowej kaplicy przy bramie, gdzie mężczyzna rozpoczął wykład na temat jej konstrukcji przytaczając daty, nazwiska budowniczych i inne szczegóły, ale Kowalski na inną rzecz zwrócił uwagę. Usłyszał zbliżające się w ich stronę kroki. Podszedł do żelaznej kraty oddzielającej cmentarz od ulicy i wtedy nadchodząca kobieta i on zobaczyli się nawzajem. Twarz kobiety wykrzywił grymas śmiertelnego przerażenia, na sekundę skamieniała z rozwartymi szeroko oczyma, a potem, histerycznym krzykiem wzywając pomocy, pognała na oślep, byle dalej od cmentarza.

Nieznajomy przerwał wykład i z lekkim rozbawieniem obserwował tę scenę.

— Niestety, musi się pan przyzwyczaić do tego, że żywi się nas boją — powiedział uśmiechając się dyskretnie.

Kowalski zachwiał się. Gdyby nie marmurowy krzyż, na którym udało mu się wesprzeć, runąłby na ziemię.

— Co to znaczy „żywi"... — wybełkotał nie panując nad własnym głosem.

— Gdzie ja jestem? — zapytał, roztrzęsiony jeszcze po cmentarnych przejściach.

— Teraz nie jesteś nigdzie — odpowiedziała dziewczyna. — Musisz stanąć w tej kolejce — wskazała długi rząd dusz, wolno przesuwających się w stronę odległego światła — tam dopiero zapadnie decyzja w twojej sprawie. Masz trochę czasu; przygotuj sobie rachunek sumienia, łatwiej będziesz mógł się wytłumaczyć ze swoich czynów.

Kowalski posłusznie stanął w kolejce, a dziewczyna zajęła się nową duszą, która też opuściła swoją cielesną powłokę".

Ta relacja spisana własnoręcznie przez doktora Żużla dotyczy jednego z najbardziej sensacyjnych eksperymentów, jakie przeprowadzono w XIII Laboratorium. Oto krótki, ale niezbędny komentarz do tego dokumentu.

Doktor Żużel większą część swego długiego życia spędził w prosektorium, pełniąc obowiązki anatomopatologa w jednym ze stołecznych szpitali. Był pracownikiem wzorowym, ale stałe obcowanie z majestatem śmierci nie pozostało bez wpływu na jego charakter i poczucie humoru, które z biegiem lat stało się tak specyficzne, że nie każdy właściwie pojmował jego żarty. Z tej właśnie przyczyny, jeden z inspektorów stacji sanitarno-epidemiologicznej, w trakcie pełnienia obowiązków służbowych, wszedł do prosektorium o własnych siłach, a wyjechał stamtąd na wózku, prosto na oddział intensywnej terapii. Ten wypadek stał się momentem przełomowym w karierze doktora Żużla. Nie pomogły prośby, groźby ani odwołania; doktor ze łzami w oczach musiał opuścić swoje stanowisko, ale w tej tragicznej dla niego chwili los okazał mu przychylność. Fus przystępował właśnie do organizowania XIII Laboratorium i szukał kandydata na kierownika Działu Tanatologii, a Żużel miał ku temu idealne predyspozycje, wiedzę i doświadczenie.

Nazwa działu — nieco pochopnie ustalona w pierwszym okresie tworzenia schematu organizacyjnego laboratorium — nie odzwierciedlała właściwie zakresu badań naukowych tej komórki, bo nie istotą śmierci zajmował się Żużel ze swoimi asystentami, a tym, co oczekuje człowieka za jej progiem. Ale ponieważ żadna propozycja zmiany nazwy nie przypadła doktorowi do gustu, postanowiono więc jej nie zmieniać.

Zgromadzono wszystkie istotne pozycje literatury światowej traktujące o życiu pozagrobowym, skatalogowano zwierzenia osób reanimowanych, doktor Żużel wyjechał nawet na kilka miesięcy do Indii aby tam u źródeł przestudiować teorię reinkarnacji i, mniej więcej po roku, Dział Tanatologii przystąpił do własnych oryginalnych prac badawczych.

Elektronicy zatrudnieni w laboratorium (działo się to przed ich zwolnieniem w wyniku ujawnienia afery szpiegowskiej w Dziale Telekinezy) na bazie elektroencefalografu oraz tomografu komputerowego skonstruowali według projektu Żużla i Fusa aparaturę nazwaną ŻUF scannerem, która miała udzielić odpowiedzi na wszystkie pytania dotyczące życia po śmierci.

Problemem zasadniczym stało się wówczas znalezienie obiektu spełniającego specyficzne wymagania eksperymentu czyli, mówiąc prościej, trzeba było znaleźć człowieka gotowego do przeprowadzki na tamten świat, który jednocześnie zgodziłby się, aby Żużel ze swoją ekipą tę przeprowadzkę podglądali. Pierwszą barierę — gwałtowny sprzeciw lekarzy ze wszystkich szpitali, w których doktor chciał przeprowadzać doświadczenia — przełamano stosunkowo łatwo; Fus użył swoich wpływów i orydnatorzy musieli ustąpić. Gorzej było z pacjentami. Nikt nie lubi być podglądany, a tym bardziej w chwili tragicznego spotkania ze śmiercią. W końcu, po długich namowach, udało się przekonać jednego z nieuleczalnie chorych pacjentów kliniki onkologicznej, aby dla dobra nauki zezwolił na sondaż swojego umysłu w agonii i post mortem. Ale ów pacjent, gdy asystenci doktora zaczęli go podłączać do ŻUF scannera, doznał tak ciężkiego szoku, iż nastąpiło u niego samoistne zatrzymanie rozwoju nowotworu. Rozwścieczony Żużel nie przyjął nawet kwiatów od wdzięcznego ozdrowieńca i zrezygnował z dalszej współpracy z placówkami służby zdrowia. Swoje zainteresowania skierował w stronę cmentarzy. Uznał — i zupełnie słusznie — że po pogrzebie żadne ekscentryczne wybryki ze strony nieboszczyków mu nie grożą. Nasunęło to oczywiście dodatkowe problemy techniczne, no bo przecież trudno krążyć między grobami z aparaturą, do której przewiezienia kilku ciężarówek by nie starczyło. Wtedy Żużel wysunął projekt, aby na dachu laboratorium zamontować superczułą antenę paraboliczną do odbioru fal emitowanych przez umysły osób świeżo pochowanych, a ŻUF scanner, po drobnej przeróbce, miał zarejestrowane sygnały przełożyć na dźwięki i obrazy. Wprawdzie szef elektroników zgłosił poważne wątpliwości do tej propozycji, ale ponieważ Żużel słabo orientował się w teorii detekcji sygnałów, a inżynier niewiele wiedział na temat życia pozagrobowego, obaj po dwugodzinnej dyskusji utwierdzili się tylko w swoich przekonaniach. W końcu inżynier machnął ręką i antenę wykonano zgodnie z życzeniem doktora.

Pierwszy eksperyment przeprowadzono w pogodną noc listopadową. Członkowie rady naukowej zasiedli w fotelach otaczających wąski tapczan i z cieniem grozy w oczach patrzyli na leżącego Żużla, któremu asystenci nakładali na głowę baniasty hełm najeżony setkami platynowych elektrod. Potem w grobowej ciszy adiunkt kierujący techniczną stroną doświadczenia przekręcił wyłącznik ŻUF scannera i doktor stracił kontakt z rzeczywistością.

Gdy po godzinie przerwano seans, twarz Żużla promieniała szczęściem.

— Szanowni państwo! — rzekł uroczyście do zniecierpliwionych oczekiwaniem i zdenerwowanych członków rady. — Zasłona kryjąca tajemnicę śmierci została uchylona; za nią jest drugie życie.

Naukowcom ciarki przebiegły po grzbietach. Platinstein zbladł; wyglądał tak, jakby chciał osobiście zweryfikować oświadczenia Żużla, ale po zażyciu cardiamidu zmienił zamiar. Dopiero kiedy po chwilowym zamieszaniu spowodowanym niedyspozycją egzosocjologa znów wszyscy usiedli w fotelach, Fus zwrócił się do Żużla drżącym nieco głosem:

— Co pan tam widział? Niech pan opowiada, doktorze.

— To trudno opowiedzieć. Ale ja państwu pokażę tamten świat; sami go zobaczycie — i skinął na asystentów.

Członkowie rady, spłoszeni tą zapowiedzią, zaczęli oglądać się w stronę drzwi, docent Kaptzovitz nawet wstał, lecz zatrzymał go głos doktora.

— Moje doznania w czasie seansu zostały zarejestrowane na taśmie magnetowidu i możemy je zaraz odtworzyć.

Podszedł do wbudowanego w ścianę ekranu telewizyjnego i wcisnął klawisz wyłącznika. Ekran rozjarzył się po chwili; przebiegło po nim kilka ciemnych zygzaków, jakby negatywów błyskawic, w głośniku coś zatrzeszczało, ale trwało to krótko. Potem obraz i dźwięk zmieniły się w monotonny blask i szum. Twarz Żużla przybrała barwę królewskiej purpury; spojrzał na adiunkta, który bez słowa wybiegł do drugiego pokoju i tam miotał się wśród plątaniny kabli — nic to nie pomogło: ekran pozostał martwy.

— Panie adiunkcie, może nam pan wyjaśni, co się stało?! — ryknął Żużel.

— Nie wiem, panie doktorze — adiunkt bezradnie rozłożył ręce. — Magnetowid jest sprawny i wszystkie połączenia są prawidłowe.

— Teraz już nic nie rozumiem — jęknął Żużel. — Dlaczego magnetowid niczego nie zarejestrował?

Fus wskazał pusty ekran i rzekł cicho:

— A może tylko to nas czeka.

— Ale przecież ja widziałem tamten świat. Jaka więc jest prawda?

Na to pytanie nikt nie potrafił odpowiedzieć.

KONIEC

ANDRZEJ MERCIK

Zapis śmierci

Z Raptularza XIII Laboratorium

Co czytelnicy sądzą o SF w „Odgłosach"

I. KTO NAS CZYTA, KTO ODPOWIEDZIAŁ NA ANKIETĘ?

W odpowiedzi na naszą ankietę dotyczącą kolumny SF wpłynęło blisko sto odpowiedzi. Około 30 proc. nadeszło spoza Łodzi, m.in. ze Świnoujścia, Gdyni, Olsztyna, Sosnowca, Tarnowskich Gór, Wrocławia. Większość odpowiedzi nadesłali mężczyźni. Jedynie siedem kobiet odpowiedziało na ankietę. Średnia wieku Czytelników kolumny SF wynosi — według odpowiedzi — 26 lat. Najwięcej listów otrzymaliśmy od studentów; ponad 50 proc. respondentów ma wykształcenie średnie, ok. 25 proc. — wyższe, ponad 20 proc. — podstawowe.

Z miast liczących powyżej 500 tys. mieszkańców nadeszło ok. 70 proc. odpowiedzi, z miast liczących od 50 do 500 tys. mieszkańców — 25 proc., poniżej 50 tys. i ze wsi — łącznie ok. 5 proc. Prawie wszyscy ankietowani interesują się fantastyką naukową od wielu lat.

Zdecydowana większość respondentów nie jest zrzeszona w organizacjach miłośników SF. Do PSMF należy 15 osób, do Śląskiego Klubu Fantastyki — 2 osoby, do Gorzowskiego KMFN — 1 osoba, do klubu SF w Krakowie — 1 osoba.

II. JAK NAS OCENIAJĄ?

Prawie połowa respondentów uważa, że „W kręgu fantastyki" wyróżnia się na łamach „Odgłosów". Około 35 proc. uważa kolumnę za najciekawszą część tygodnika, zaś około 15 proc. twierdzi, że kolumna niczym się nie wyróżnia. Dodajmy, że 80 proc. piszących zaznaczyło, że czyta nas regularnie.

Ponad 75 proc. Czytelników uważa jedną kolumnę za niewystarczającą i proponuje powrót do dwóch stron — przynajmniej od czasu do czasu. Pozostałym obecna objętość wystarcza.

Zróżnicowane odpowiedzi padły na pytania, w których prosiliśmy o podanie rodzaju najchętniej czytanych tekstów. Czytelnicy wyróżnili: **opowiadania polskie — 25 proc.; tłumaczenia — 30 proc.; recenzje literackie — 15 proc.; recenzje filmowe — 10 proc.; szkice z teorii literatury SF — 3 proc.; szkice z teorii filmu SF — 1 proc.; artykuły popularnonaukowe — 4 proc.; artykuły paranaukowe — 7 proc.; kronika wydarzeń z ruchu SF — 5 proc.**

Niektórzy Czytelnicy proponowali wprowadzenie poezji SF. Pisali o tym m.in.: **Tomasz Piotrowski z Łodzi** i **Krzysztof Wolff z Glinika Charzewskiego.** Inne propozycje dotyczą druku powieści odcinkowej SF **(Danuta Mlińska z Tuszyna, Maciej Misztal z Krakowa)** oraz zapowiedzi wydawniczych **(Joanna Turant z Łodzi. Robert Hanus z Brzozowa).**

Nasi czytelnicy preferują opowiadania kończące się w tym samym numerze. Jednak około 40 proc. respondentów nie ma nic przeciwko odpowiadają im również dłuższe teksty w odcinkach.

III. CO SIĘ PODOBAŁO?

Z opowiadań podobały się „Łzy słońca" Briana Stablefor'a, „Prezydent" Rafała A. Ziemkiewicza. Następnie „Cmentarne szczury" H. Kuttnera, „Nieśmiertelny" J. Długosza, „Twierdza trzech studni" J. Grzędowicza, „I znowu walka" J. Rożnieckiego, „Pieśń śmierci" S. J. Van Scyoca, „Metro Möblusa" A. J. Deutscha. Wymieniano też szkice: „2001: Odyseja kosmiczna" oraz „Zagadkowa nauka Majów".

Niektórzy z Czytelników nie ograniczyli się tylko do wypełnienia ankiety, ale nadesłali również swoje uwagi i propozycje.

„Jeszcze nigdzie nie spotkałem się z pomysłem rozpisania ankiety na temat SF. — pisze **Maciej Misztal z Krakowa.** — Wydawnictwa, które posiadają monopol na powieści z tego gatunku, prawie wcale nie interesują się gustami czytelników. Dowodem niech będzie wieloletnia, nie wiem czy tak „fantastyczna" działalność Krajowej Agencji Wydawniczej („czarna seria"). (...) Bardzo cieszy, że obok typowej SF znalazło się miejsce dla fantasy, grozy i wielu innych podgatunków. Smuci natomiast to, że rubryka fantastyki zajmuje w „Odgłosach" tak mało miejsca. Dlatego też bezsensowne staje się zajmowanie go przez artykuły paranaukowe, a co dopiero popularnonaukowe (w nr 41 „Odgłosów" Romuald Szoka ganił za to „Fantastykę"). (...) Szkice z zakresu SF były przeze mnie mile widziane. Gdyby jednak objętość rubryki SF nie została powiększona, zrezygnowałbym z nich na korzyść opowiadań. (...) Proponuję otworzyć giełdę na łamach „Odgłosów". Byłbym bardzo wdzięczny za odstąpienie następujących numerów, bądź samych rubryk „W kręgu fantastyki": od pierwszych opowiadań do nr 2/83 włącznie oraz 6/83, 23/83, 27/83, 29/83, od 32/83 do 37/83. W zamian oferuję „Fantastykę" nr 7, 8 i 10".

„Kupuję „Odgłosy" głównie ze względu na kolumnę poświęconą SF — napisał **P. A. Ćwiertnia z Górek W.** — Muszę jednak obiektywnie przyznać, że są artykuły, które warto przeczytać... Uważam, że SF nie może zająć dwóch lub więcej kolumn... Preferuję przekłady. Opowiadania polskie spotyka się w różnych zbiorach i czasopismach, a dobrych tłumaczeń autorów obcych brak. Artykuły paranaukowe — to domena kilku panów. W większych dawkach — niestrawne."

IV. CO DALEJ?

Wszystkie uwagi dotyczące naszej kolumny dokładnie przestudiowaliśmy i będą nam one pomocne w dalszej pracy. Zaprosiliśmy do redakcji tych Czytelników, którzy wylosowali nagrody, a mieszkają w Łodzi. Chcemy z nimi przedyskutować problemy dotyczące literatury i publicystyki SF. **Spotkanie odbędzie się w redakcji „Odgłosów" (Łódź, al. Mickiewicza 11), 24 listopada 1983 r. o godz. 15.30.**

Nagrody dla Czytelników spoza Łodzi wysłane zostaną pocztą. **Fundatorem nagród jest Łódzki Klub Fantastyki, Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki.**

V. NAGRODY

1. Nowości wydawnicze SF wylosowali:

JAN MIKSA, Łódź, PIOTR SITARSKI, Łódź, JERZY SYGULSKI, Łódź, KRZYSZTOF WOLFF, Glinik Charzewski (woj. rzeszowskie); DARIUSZ ZUCHMAŃSKI, Kielce.

2. Firmowe znaczki Łódzkiego Klubu Fantastyki PSMF wylosowali:

WIKTOR CZUBA, Szczecin; MAŁGORZATA DOWLASZ, Łódź; MAŁGORZATA KOTOŃSKA, Łódź; TOMASZ KRÓLIKOWSKI (Łódź); TOMASZ JAN KUDREWICZ, Bydgoszcz; JAN MAKROCKI, Łódź; JAROSŁAW NOWAKOWSKI, Łódź; JOANNA TURANT, Łódź; MAREK WIDLICKI, Łódź; WALDEMAR WIESZYŃSKI, Katowice.

Nagrodzonym gratulujemy, wszystkim respondentom dziękujemy serdecznie za udział w ankiecie.

1 Lewym okiem

Przegląd prasy

„Dialog" jest słowem, które zrobiło karierę. Wszyscy z wszystkimi pragną nawiązać dialog, aż się z tego zrobi jeden wielki nieskładny chór. Handel nawiązuje dialog z konsumentem, służba zdrowia z pacjentem, kierowca z pasażerem, pisarz z czytelnikiem. A ja właśnie chcę mówić o dialogu czytelnika, czyli moim własnym, z prasą.

Czytam i czytam i coraz to mam coś do powiedzenia. A jak mam, to mówię. — Do kogo tam gadasz? — pyta żona z drugiego pokoju. — Do prasy — I odpowiada ci? — Raczej nie — mówię, ale gadam dalej

Bo na przykład redaktor numer 213 w „Tu i Teraz" pisze — czyli mówi do mnie — tak: „Faktu, że literatura z góry i wyłącznie jest przeznaczona tylko dla garstki wybranych, nic a nic nie zmieni. Nie zmieni tym bardziej szkoła. Wiara w to, że po przeczytaniu w domu czy na lekcji pewnej sumy książek, uczeń po wyjściu ze szkoły będzie chciał te dzieła dalej rozumieć i czytać — jest wiarą w cuda, piękną wiara pedagogów w cuda".

Redaktor numer 213 jednym pociągnięciem pióra załatwił odmownie sprawę po prostu fundamentalną. Jeżeli szkoła nikogo nie przyzwyczai do sięgania po książkę, jeżeli nie wywoła stałego apetytu na książkę — to po cóż do wielkiej anielki budować szkoły? Jeżeli literatura musi pozostać na wieki zabawką garstki wybranych, to co my tu wszyscy razem (razem nawet z „Tu i Teraz") głędzimy o umasowieniu, o powszechności, o podnoszeniu? Jako wyznawcy światopoglądu racjonalistycznego powinniśmy przecież odrzucić wiarę w cuda — choćby i piękną — i zostawić wybrańców z ich niepoważną nieprzydatną do niczego zabawką. Nieprzydatną?

No tak. Przecież w tym samym numerze „Tu i Teraz" pisze redaktor Jacek Wojciechowski: „Któż zaręczy, że któregoś dnia również i literatura **jako wytwór nieużytkowy,** nie zostanie skazana na bezużyteczność i zagładę?" Wytwór nieużytkowy skazany na bezużyteczność to co prawda fatalny pleonazm; w jego głębi (o ile pleonazm może mieć coś jeszcze oprócz pozoru twarzy) kryje się chyba jednak przekonanie, że literatura to takie sobie byle co, psu na budę niezdatne, więc kto wie...

Fakt, że nakłady książek dzisiaj przekraczają stokrotnie nakłady sprzed pięćdziesięciu lat, świadczy zapewne o tym, że z garstki wybranych zrobiła się ogromna garść. Dlaczego tak się stało? „Niezależnie od szkoły — jak pisze autor numer 213 — na przekór programom lekcyjnym". Jeśli na przekór — to znaczy, że trzeba było jeszcze pokonywać opór szkoły. To gdzie są ci, co nawoływali do upowszechnienia oświaty? Pod sąd z nimi! Gdyby było mniej szkół, słabszy byłby „przekór", czyli większa garść wybranych miłośników książki. Tak mówiłem, ale odpowiedzi nie było

Potem czytam sobie „Odgłosy" i oto widzę obrazek, a na obrazku stoi starszy pan z bródką, w towarzystwie bardzo typowych oficerów japońskich. A pod obrazkiem napis: „W. W. Worowski, M. M. Litwinow i W. Cziczerin w Genui". Czy to Litwinow z Cziczerinem przebrali się za Japończyków, czy może Worowski z Litwinowem? Nie, to tylko nie ten podpis, albo nie to zdjęcie. Cóż, walczyliśmy w październiku o prawo do błędu, to teraz z niego korzystamy. A spójrzcie na takie rewolwerowe, sensacyjne pisma jak paryski „Paris Match" i hamburski „Der Spiegel". Sto pięćdziesiąt stron co tydzień. Konia z rzędem, kto przez trzy miesiące znajdzie choć jeden błąd. Tam się jeszcze widocznie nie dowalczyli prawa do błędu, jeszcze lubią dobrą robotę.

W tych samych „Odgłosach" Stefan Życiowy kreśli obrazek sprzed sklepu monopolowego, tuż przed godziną trzynastą. Tę samą scenę wziął na warsztat w tym samym tygodniu Janusz Szostak w „Przeglądzie Tygodniowym": przed sklepem, przed trzynastą. Konwencja reportażu (bo to na liście honoracyjnej pewnie nazywa się reportaż) jest u Szostaka tak przejaskrawiona, tyle tu nagromadzono chamstwa, ohydy, brudu i nędzy ludzkiej, jakby to był ekstrakt z kopy opowiadań Marka Nowakowskiego i Janusza Głowackiego. Ja nie mówię, że to wszystko nie może być prawda. Chcę tylko powiedzieć, że po przeczytaniu nie kopy — pół tuzina odnośnych powieści mógłbym napisać od ręki pięć takich „reportaży", nie wychodząc z pokoju. Wystarczy nazwać bohaterów tak jak u Szostaka: Kropa, Krosta, Indyk, Paproch, Kryśka Przepióra, Supeł. Wystarczy taki styl: „Od Szczapy w brzuch, od Wichury w łopatkę, od Pokracznego w bark". Mamy „reportaż" obyczajowo-demaskatorski. Jeszcze go sobie uzupełnimy lekturą felietonu Mariusza Dastycha w tymże „Przeglądzie Tygodniowym" — o pociągu wracającym z Berlina — ta sama konwencja, to samo „świadectwo epoki". Do bani z taką epoką. Już mi się odechciało dialogu. Może powieść w odcinku? Ta w „Odgłosach" Zb. Nienackiego, dzieje się w Skiroławkach. Ta w „Tu i Teraz", A. Minkowskiego, też działa się częściowo w Skiroławkach (parę tygodni temu — sprawdźcie, kto nie wierzy). Nie ma ucieczki od Skiroławek.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2 Z tej strony lady

Bawmy się modą, czyli o tym, czego w sklepach nie kupimy

Niedawno miałam okazję obejrzeć pokaz mody, na którym prezentowały swe kolekcje spółdzielcze laboratoria odzieżowe z Łodzi, Warszawy, Poznania i Gdyni. Pokazano okrycia i ubiory dla pań, panów i dzieci, jakie powinniśmy nosić wiosną 1984 r. oraz w sezonie jesień — zima 84/85. Powinniśmy, ale czy będziemy? Teoretycznie bowiem cykl „od projektu do sklepu" przebiega następująco: plastycy projektują modele, laboratorium szyje je i prezentuje na pokazie, spółdzielnie, wchodzące w skład Krajowego Związku Odzieżowego i Włókienniczych Spółdzielni Pracy wybierają z kolekcji to, co mieści się w ich profilu produkcyjnym, zamawiają gdzie trzeba takie same tkaniny i szybko, zanim moda się zmieni, produkują. Handlowcy wybierają, kupują i dostarczają do sklepów.

To tyle o teorii. W praktyce rzecz wygląda nieco inaczej. Jedynie początek jest podobny, tzn. spółdzielnie wybierają, a następnie... Materiały są takie, jakie uda się zdobyć, nie zaś takie, jakie przewidział projektant. Napy, których akurat nie było, zastępuje się guzikami, miękką, lekką włókninę — sztywną, ciężką watoliną, zamiast kilku zabawnych kieszeni-mieszków szyje się jedną kieszeń wpuszczaną, zmniejszając w ten sposób pracochłonność. I już mamy — to, co na pokazie było funkcjonalną, ładną, lekką kurtką z madery w kolorze zgaszonego kobaltu zmieniło się w ponadczasowy, ciężki tułub ze złej jakości ortalionu w kolorze brudnogranatowym. Handlowcy nie wybierają, bo nie ma z czego, a zresztą cieszą się, jeśli uda się im dostać cokolwiek, a i my, klienci, wybór mamy tylko jeden: kupić obrzydliwy paltot albo połatać nasz stary, równie brzydki. Mimo to warto wiedzieć, co w modzie słychać — bo przecież od czasu do czasu jakiemuś zakładowi jednak udaje się wyprodukować krótką serię naprawdę udanych rzeczy.

Tu chciałabym się przyznać, że bardzo nie lubię oglądać pokazów mody Patrząc na postrojone i doskonale „zrobione" modelki czuję się — a sądzę, że podobnie wiele kobiet — zaniedbana, za gruba i zupełnie źle ubrana. Wrażenie to na szczęście mija i już zupełnie spokojnie mogę stwierdzić, że wielu z prezentowanych rzeczy nie chciałabym nawet za darmo. A więc nie chciałabym np. modnych ubiorów w stylu wagabunda — luźnych sukienek-tunik z różnokolorowych łat, nie chciałabym również męża ustrojonego w najmodniejsze spodnie ogrodniczki z „przodzikiem roboczym", okręcone od kostek do kolan sznurkiem, uzupełnione o kilka numerów za dużą rubaszką. Chciałabym natomiast — również prezentowany, luźny trencz z miękkiej, bardzo dobrej wełny i cały zestaw ubiorów i okryć w stylu sportowym, nadających się jednak także do codziennego użytku w mieście, wykonanych z bawełnianych lekko błyszczących tkanin, ocieplanych puszystą włókniną. Myślę, że każdemu odpowiadać powinien ciągle modny — zarówno dla pań, jak i dla panów, styl ubierania się „na cebulkę", w którym jedną, solidną jesionkę zastępuje się cienkim, nawet bez podszewki, płaszczem, plus kurtka, plus kamizelka, a na wierzch jeszcze duża, wełniana chusta. Wszystko to w różnych odcieniach jednego koloru.

Na szczęście dla nas od kilku lat w modzie panuje spora dowolność, równoprawnie występuje wiele stylów — od wspomnianego już wagabundy, poprzez safari, copacabana, romantyczny, oparty na bieliźnie babci, sportowy, aż po klasyczny.

Z trudem więc, ale jednak można uzbierać rzeczy, w których wyglądać będziemy modnie nie tylko dziś, ale również za rok (a może nawet dłużej?). Przy okazji warto zastanowić się również nad naszym (tj. kobiet) stosunkiem do mody. W młodym wieku wiele pań surowo potępia wszystkich, którzy nie są odziani według najnowszych przykazań. Potem następuje moment, gdy te same panie uznają za dziwadło swoją koleżankę, tylko dlatego, że skróciła lub wydłużyła spódnicę. I to właśnie jest pierwszy objaw starości! Moda bowiem, bez względu na to, czy akurat znajdujemy się w okresie kryzysu, czy też prosperity, nie służy do tego, aby dostarczać nam zmartwień, przeciwnie — może i powinna stać się źródłem dobrej zabawy. Także i wtedy, gdy w sklepach brak ładnych ubrań, a te, które się pojawią, są zbyt drogie na nasze kieszeni. Wtedy wystarczy z resztek włóczki wydziergać modne, kolorowe getry i... już jest dobrze. Zwłaszcza, jeśli przy okazji uda nam się uwierzyć, że pani, która tak modnego dodatku do garderoby nie posiada wcale nie jest gorsza od nas, podobnie, jak my nie jesteśmy gorsze od właścicielki kurtki z polarnych lisów.

KLIENTKA

3 Nagle zastępstwo

Dziczejemy?

Niedawno na łamach „Rzeczywistości" felietonista Janisławski zastanawiał się nad użyciem słowa „kurwa" we współczesnej polszczyźnie. Nie jestem purystą językowym, zapewniam, że kiedy rąbnę się młotkiem w palec podczas wbijania gwoździa w ścianę nie wygłaszam modlitw ani nie wznoszę okrzyków zawierających np. nazwy egzotycznych kwiatów. Mówię to, co normalny człowiek powie w tej sytuacji... Nadmieniam także, że znam dosyć skomplikowane wiązanki i to nie tylko w języku ojców, ale także po rosyjsku, po angielsku, po włosku, po francusku i po serbochorwacku. Używam w miarę potrzeb, nie jestem taki znowu poliglota.

To jednak, co zdarza mi się słyszeć w tramwajach, na ulicach, ba! w kawiarniach nawet, zdumiewa mnie i zastanawia. Swoisty rekord obserwowałem niedawno pod kinem. Młodzian lat około siedemnastu opowiadał grupce kolegów wydarzenia ostatniej soboty. Zdanie w jego wykonaniu brzmiało mniej więcej tak:

— K..., k... wczoraj, k..., k..., idę, k... do dyskoteki, k..., k..., z Jurkiem, k..., k...

Wiadome słowo rzadko było używane pojedyńczo, najczęściej jako „dublet" Oczywiście, było przerywnikiem po każdym innym słowie. Jak łatwo policzyć, w powyższym zdaniu na cztery słowa informacyjne wypada aż dziewięć ozdobników zaczynających się na „K", a kończących na „A". Nadużycie tego ozdobnika, który przecież służy jakiejś tam ekspresji języka, prowadzi do wytarcia go, do zobojętnienia słuchacza, wreszcie do pozbawienia wypowiedzi właśnie jakiejkolwiek ekspresji. Więc po co?

Miłośnik mocnego słowa osiąga skutek przeciwny zamierzonemu. Jego ulubione słowo traci swoją wagę, staje się zwykłe, znaczy tyle co czkawka na przykład.

Słyszałem niedawno dowcip o Polaku, schwytanym przez ludożerów Kiedy pakują go już żywcem do kotła nasz rodak pyta gorączkowo swoich przyszłych konsumentów:

— Kryzys u was jest?
— Nie — odpowiadają dzicy
— Reglamentacja jest?
— Też nie!
— Kolejki są?
— Nie ma.
— To coście tak zdziczeli?

Coś w tym jest. Młodego człowieka ustępującego miejsca w tramwaju schorowanej staruszce widziałem jakieś pięć sześć lat temu. O złodziejach, odsyłających pocztą skradzione w portfelu dokumenty słyszałem w opowieściach sprzed wojny. Nawet w tym zawodzie upadła wszelka moralność.

Inne przykłady daruję sobie i czytelnikom. Wszyscy znają.

Powszechne zdziczenie nie omija i prasy, a w tym tygodników tzw. „literackich". Oto w tym samym numerze „Rzeczywistości", w którym Janisławski biada nad zachwaszczeniem języka naszego powszedniego, jego redakcyjny kolega Olbromski publikuje zjadliwy paszkwil na prywaciarzy pt. „Milioner z Ameryki". Ponieważ poprzedni jego znakomity utwór „Prywaciarze" spotkał się z krytyką, pan Olbromski wyposażył bohatera swojej nowej epopei w fizyczne cechy swego krytyka i taką samą pierwszą literę nazwiska.

Niezależnie od tego w tekście kilkakrotnie wymienia swego adwersarza po nazwisku i pseudonimie, żeby broń Boże czytelnik nie przegapił sprawy. Nasuwa się, podczas lektury dzieła Olbromskiego, pytanie: Czy autor napisał a redakcja puściła ów poemat po to, aby obnażyć prawdziwe oblicze prywaciarzy i ukazać czytelnikowi ich moralną degrengoladę, czy też tylko po to, aby odegrać się na krytyku?

Całkiem efektownie zdziczał jakiś pracownik reklamy Centrali Rozpowszechniania Filmów, który anonsuje w stołecznej prasie film „Klakier" sugerując, że jest to obraz poświęcony ostatniej roli i okolicznościom śmierci znanej aktorki Mieczysławy C.

Wszyscy wiedzą o kogo chodzi. Dopełnieniem miary zdziczenia naszych obyczajów może być tylko wyrok sądowy, który uniewinniłby dystrybutora filmów w procesie wytoczonym przez rodzinę zmarłej aktorki...

ANDRZEJ KAROL

4 Przejście podziemne

Towarzyska konsultacja ex post

Ajentowi Mrówce przywrócono wyszynk — na razie tylko browarniany. W związku z tym radosnym faktem pomyśleliśmy z Mareczkiem, że Mrówka porzuci raz na zawsze niewczesne rojenia o honorowym wystąpieniu z szeregów ajentury. Co by nam dogadzało ze względu na nasze przyzwyczajenia kulinarne (Mrówka jest mistrzem w dziedzinie małych, szybkich dań, przekąsek „na stojąco" itp.), a także upodobania towarzyskie, albowiem — co tu gadać — polubiliśmy ajenta Mrówkę.

Nie zastanawialiśmy się, jak Mrówka wywojował koncesję w dobie ustawowego nakazu zmniejszania ilości rozpijalni na statystyczny łeb obywatelski. Zresztą to sprawa pomiędzy sumieniami Mrówki i urzędnika, który mu bumagę podpisał...

Zaglądamy tedy któregoś z ostatnich dni przez szybę — nad szynkwasem wisi dzieło sztuki literniczej, sugestywny op-art „Alkohol szkodzi twojemu zdrowiu", wykonany zapewne przez malarza Grunta, który od czasu do czasu w naszym przejściu podziemnym spuszcza, gdy mu zabraknie na połówkę, jakieś trzy ikonki albo trumienne portreciki sarmackich przodków. Pod tym wszystkim siedzi Mrówka cóś niezbyt szczęśliwy. Więcej nie widać, bo zasłania barykada kontenerów z flaszkami piwa.

Na to wszystko popatrzywszy, wchodzimy ze szmukierem Mareczkiem do środka. Ożywiony Mrówka stawia na blat trzy autentyczne żywce. (Zresztą z tym żywcem — normalnie nie do zdobycia — ciekawa jest historia: szwagier Mrówki ma pieczarkarnię, Mrówka za pieczarki załatwia w pewnej warszawskiej knajpie lux legalne dostawy żywca, albowiem knajpa ma z browarem funkcjonującą w najlepsze, zapomnianą przez Boga, ludzi i kontrole antyspekulacyjne umowę tzw. patronacką. Akademicki przykład międzysektorowych więzi kooperacyjnych...).

— Powiedzcie mi, chłopaki — wystartował ostro ajent Mrówka, odkapslowawszy flaszki — czy nie wydaje się wam, że antyalkoholową ustawę napisał jakiś deliryk w krótkim okresie nawrotów wyrzutów sumienia, w duecie ze złośliwym, skangurowanym odwykowcem? (Uwaga dla niedostatecznie wprowadzonych w realia: skangurowany znaczy z zaszytym esperalem).

— Wydaje nam się. A właściwie mamy pewność, że był to tzw. pies ogrodnika... Ale co się stało?

— Piwo mi nie idzie. Już tydzień stoi i kwaśnieje.

Wziąłem do ręki pękatą buteleczkę z nalepką swojskiej, lokalnej firmy piwowarskiej. W środku bulgotała jakaś mętna ciecz. Z etykietkowej reklamy wynika, że to „jasne, pełne niepasteryzowane", ale znawcy przedmiotu kwalifikowali zawartość butelki (i tysięcy jej sióstr) jako płyn wydalany przez człekokształtne, i to nie całkiem zdrowe. Słusznie...

— Dlaczego nie idzie? — z kolei Mareczek rzucił kluczową kwestię, krasząc ją oznakami szczerego, niewymuszonego zdziwienia.

— Klasyczna klientela na piwo to skacowani, budowlańcy, studenciaki, wagarowicze. A te grupy objawiają swą aktywność w poszukiwaniu zdroju r a n o, przed trzynastą i to grubo. Potem przyłażą najwyżej jacyś zabłąkani smakosze, ale dla nich musiałbym trzymać nie ten mocz, a przynajmniej warkę, sierpeckie albo okocim, czy leżajsk. Skąd to brać? Żywca starczy ledwie dla was. Poza tym ten miejscowy szajs już jest całkiem nie do picia...

— No cóż, Mrówko, przegrywasz z prawodawcą, którego „chłopski rozum" nie obowiązuje.

— Piwowary też cię olewają, wciskając do handlu ten ohydny kwas.

— I o to chodzi. Ustawa działa.

— Pełną parą działają też bimbrownicy. A kiedy ranne wstają zorze, razem z nimi meliniorze... — fałszywie zanucił Mareczek.

— Wymyślili też specjalną firmę, co zamiast sprzedawać wódę, ma ją ludziom obrzydzać...

— Cały urodzaj jabłek przerobili na gorzałkę...

— Za to odwyk jest dobrowolny! Ludzie, dobrowolny — kto tam pójdzie?

— No cóż, drogi przyjacielu Mrówko — spiritus flat ubi vult... Nasz szanowny ustawodawca skonstatowawszy ów niebezpieczny objaw samowoli, postanowił rzecz całą nieodwołalnie skanalizować. Ale cała para — jak to na ogół się mu zdarza — poszła górą, w gwizdek. Dołem płynie przybierająca rzeka wódy. Płyną z nią pieniążki, omijające państwowe monopolowe kasy. Miało być trzeźwo, jest głupio, drogi Mrówko...

I tymi słowy zakończyliśmy towarzyską konsultację nad ustawą, co nas miała zbawić ode złego. Drugą buteleczkę żywca każdy z nas wypił już pod inne, jesienne smutki.

I. ROTACYJNY

Redaguje zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwaniecki, Teresa Jerzykowska Andrzej Karoleszak (sekretarz redakcji), Jerzy Kwieciński Bogda Madej Andrzej Makowiecki Grażyna Olechnowicz (z-ca sekretarza redakcji) Tomasz Sas (z-ca redaktora naczelnego) Igor Sikirycki (kier. działu literackiego) Karol J. Stryjski Janusz Szymański (zastępca redaktora naczelnego) Paweł Tomaszewski Lucjusz Włodkowski (redaktor naczelny) Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler (fotoreporter).

Stale współpracują Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda Bohdan Gadomski Witold Kasperkiewicz Włodzimierz Krzemiński Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Pauasewicz, Ewa Pankiewicz, Henryk Sroczyński, Jerzy Wilmański.

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652 44, sekretarz redakcji 680 89. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. — osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 83, kod 90-103 Łódź. Druk: Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 3017, L-2.

Raz w roku w Skiroławkach (5)

ZBIGNIEW NIENACKI

Dokończenie rozdziału: „O tym, że tylko z pozoru łatwo odróżnić kobietę od mężczyzny"

— Ale one o panu słyszały. Ba, one słyszały o każdym z nas. Powiem więcej, one żyją w każdym z nas. A są to niezwykle przewrotne bydlaki. Ktoś tam zapisuje w Urzędzie Stanu Cywilnego, że urodziło się dziecko płci żeńskiej, a owe gonady aż turlają się ze śmiechu, choć pan tego ich szatańskiego śmiechu nie słyszy, ba, nawet pan nie wie, że istnieją jakieś tam gonady. A są to ni mniej ni więcej, tylko bardzo specyficzne komórki, a raczej gruczoły rozrodcze, które mają wpływ na produkcję jaj u kobiety i plemników u mężczyzny, i w ogóle decydują o tym, czy ktoś staje się kobietą czy mężczyzną. Otóż owe gonady, panie Porwasz, potrafią niekiedy popadać w tak zwaną „dysgenezję", po prostu dostają, jak się to u was malarzy mówi, swojego rodzaju fioła. I wówczas istota ludzka zapisana w Urzędzie Stanu Cywilnego j ko płci żeńskiej, nie ma miesiączki, brakuje jej drugo- i trzeciorzędowych cech płciowych. Dlatego my, lekarze, wyróżniamy także i „płeć gonadalną". Ale to jeszcze nie wszystko, kolego i przyjacielu. Czy słyszał pan o hormonach? No tak, to dobrze. To nawet bardzo dobrze. Hormony określają rozwój pierwszo-, drugo- i trzeciorzędowych cech płciowych człowieka. Ale bywa hormony męskie i bywają hormony żeńskie. Człowiek musi je produkować, aby stać się mężczyzną lub kobietą. I to produkować w odpowiednich proporcjach i w odpowiednim wieku. A czy pan wie, że owe hormony posłuszne są stwierdzeniom, które poczynił urzędnik stanu cywilnego? One w ogóle nie mają pojęcia, że istnieje jakiś urzędnik stanu cywilnego i z potwierdzonej okrągłą państwową pieczęcią istoty płci żeńskiej umieją uczynić mężczyznę. Tak więc my, lekarze, wyróżniamy jeszcze „płeć hormonalną". Czy przyjrzał się pan dokładnie owej panience w barze kawowym, tej, o której raczył pan wspomnieć, że ma małą dupkę?

— Wspaniała dziewczyna. Wysoka, długonoga — cmoknął ustami malarz Porwasz, choć w skroniach znowu go zaczęło łupać, a także na moment doznał uczucia strachu.

— Ach, znowu te miraże i fatamorgany — Niegłowicz stanowczo pokiwał swoją siwiejącą głową. — Trzeba panu wiedzieć, panie Porwasz, że u kobiety przy braku estrogenów czyli hormonów żeńskich, chrząstki nasadowe kości długich późno się zamykają, stąd też i następuje wysoki wzrost. Domyśla się więc pan, że ta dziewczyna niewątpliwie wyprodukowała hormonów żeńskich, a więc pod względem płci hormonalnej nie jest to zapewne jeszcze kobieta, ale coś na pograniczu kobiety i mężczyzny, coś, co zapewne stanie się kobietą, ale nie jest nią jeszcze w pełnym tego słowa znaczeniu. Albowiem, jak już wspomniałem, kobietę od mężczyzny tylko z pozoru odróżnić łatwo, w istocie rzeczy jest to zagadnienie niezwykle skomplikowane. Trzeba także panu wiedzieć, że wyróżniamy również „płeć chromatynową", którą określa obecność lub brak ciała Barra w jądrach komórkowych. Płeć chromosomalna i chromatynowa stanowią tak zwaną „płeć genetyczną". Czy z ręką na sercu mógłby mi pan powiedzieć: owe dwie damy, siedzące na stołkach w barze, posiadają ciało Barra w swoich jądrach komórkowych?

— Bzdury — warknął malarz Porwasz. — Niechby mi tak pozwolono zdjąć z tej starszej kobiety suknię i rajstopy, a z tej młodszej jej wytarte dżinsy, już ja bym wiedział czy to kobiety czy mężczyźni.

— O jakże pan pewny siebie, panie Porwasz! Dokonawszy owego czynu, potrafiłby pan co najwyżej określić płeć genitalną" obu tych osób. A przecież o tym, czy ktoś jest mężczyzną, czy kobietą wcale nie decyduje wygląd narządów płciowych, ale to, co nazywamy „płcią wewnętrznych narządów płciowych"? Nie opakowanie jest ważne, ale wnętrze paczki. Nie karoseria samochodu ma najistotniejsze znaczenie, ale silnik ukryty pod maską. Bo a nuż okaże się, że owa kobieta ma ślepy zachyłek pochwy. I co pan wtedy pocznie? Kobieta może mieć ładny, okrągłutki tyłeczek, biuścik i wszystko, jak to się mówi, we właściwym miejscu, czyli używając lekarskiego języka, tworzy fenotyp żeński, ale na litość Boską, któż może zaręczyć panu, czy nie kryje się w niej „zespół feminizujących jąder". W istocie rzeczy choć wygląda jak kobieta, to przecież kobietą nie jest.

Doktor Niegłowicz ukroił sobie starannie kawałek befsztyka, żuł go przez chwilę w milczeniu, potem połknął i stwierdził:

— Zapomnieliś y jednak o najważniejszym, panie Porwasz. O tym, że ktoś jest kobietą czy mężczyzną decyduje w dużym stopniu „płeć psychiczna", a więc psychiczne poczucie własnej płci. To poczucie pozwala osobnikowi na jego orientację psychoseksualną. Innymi słowy, jeśli będzie pan miał kiedykolwiek ochotę dopełnić się z jakąś kobietą, nie należy sugerować się ani jej wyglądem, ani zachowaniem, ale po prostu podejść, ukłonić się grzecznie i zapytać: czy pani czuje się kobietą, bo co do mnie, to ja czuję się mężczyzną. W ten sposób uniknie pan wielu przykrych rozczarowań.

Malarza Porwasza coraz mocniej łupało w skroniach, a do tego jeszcze zaczął mieć lekkie mdłości. Wiedział, gdzie leży ich źródło — wszelka fizjologia, a w szczególności fizjologia kobiety napawała go wstrętem. W dzieciństwie jego siostry dość bezceremonialnie obchodziły się ze swoją bielizną w okresie menstruacji, poplamione majtki walały się po wszystkich kątach. W takich chwilach mały Porwasz czuł obrzydzenie, tracił apetyt, bolała go głowa. Potem, gdy był dorosły, wystarczyło, że jakaś bliska mu dziewczyna informowała go, że akurat ma miesiączkę, a natychmiast odsuwał się od niej, nie mogąc opanować wstrętu. Miał zbyt bujną malarską wyobraźnię, aby nie narzucała mu się plastyczna i barwna wizja owych chronosomów, gonad, ciał komórkowych Barra, jakowychś chromatyn, które jawiły mu się na podobieństwo popl mionych majtek rozrzuconych po różnych kątach mieszkania.

— Miałem w życiu wiele kobiet.. — nie wiadomo dlaczego z uporem powracał do tego samego.

— To nie jest wcale takie pewne — odparł z powagą doktor. — Jak wspomniałem, kobietę dość trudno odróżnić od mężczyzny. Dla przykładu przypomnę panu ową mulatkę, która miała niski głos, śpiewała w lokalu na Picadilly Circus, pośladki bujnie porastał jej włos i mówiła do pana: „Połóż się, mój mały, a zrobię ci przyjemność". Owe owłosione pośladki nasuwają zaraz lekarzowi myśl, czy nie mamy w tym przypadku do czynienia ze zjawiskiem, które określa się mianem „Hirsutyzmu". Niechże pan sobie dokładnie przypomni, może również miała ona bardzo bujnie owłosione łono, zarost sięgał aż do pępka, włosy pokrywały jej rowek między piersiami, goliła się od czasu do czasu, a do pana mówiła ...ęskim głosem: „Połóż się, moja mała, a zrobię ci przyjemność"?

— Nie — zaprzeczył stanowczo malarz. — Jestem pewien, że mówiła do mnie „połóż się mój mały".

— W jakim języku tak do pana mówiła? — spytał Niegłowicz.

— Oczywiście po angielsku — obruszył się Porwasz. — Przecież wspomniałem, że to było w Londynie.

— Nie zna pan angielskiego.

— Nie znam — przytaknął Porwasz. — Ale do diabła, nawet nie znając języka potrafię odróżnić, czy ktoś do mnie mówi „mój mały", czy „moja mała".

— No cóż — westchnął doktor. — Może ma pan rację. Ostrzegam jednak, aby nie sugerował się pan wyłącznie płcią metrykalną oraz zewnętrznym wyglądem jakiejś istoty ludzkiej. Ileż to kobiet tylko z pozoru jest kobietami, cierpią bowiem na brak pochwy i brak macicy albo zgoła mają niedorozwój macicy. Bywają też i takie, u których istnieje przegroda między macicą i pochwą, narządy płciowe są zarośnięte, mamy do czynienia z tak zwanym „wierzchniactwem" albo „spodziectwem", i tak dalej i tym podobne. Godzi się też wspomnieć o takich, u których macica bywa dwurożna lub podwójna, jako też zdarza się podwójna pochwa, ale niech pan sobie nie wyobraża, panie Porwasz, że z taką kobietą będzie pan miał podwójną przyjemność. Mówiłem kilkakrotnie, że mężczyzna jest jak samotny wędrowiec na pustyni, widzi miraże i fatamorgany, a nigdzie źródła, gdzie mógłby się czystej wody napić. Pamiętam, kiedyś zapałałem żądzą do pewnej niewiasty, która, jak mi się zdawało, była w istocie rzeczy kobietą. Zaprosiłem ją na zabawę, a kiedy przyszło nam tańczyć skocznego oberka, niewiasta owa zatrzymała się raptownie i oświadczyła mi, że gubi owe rzeczy, które stanowiły przedmiot mego pożądania. Niech pan sobie nie wyobraża, panie Porwasz, że kobieta może zgubić te rzeczy tak, jak ktoś gubi dwudziestozłotówkę przez dziurawą kieszeń, choć pewne podobieństwo oczywiście istnieje. Tym niemniej była to dla mnie przykra niespodzianka. Winę za to ponoszą źli położnicy, którzy podczas porodu idą na łatwiznę...

Czoło malarza Porwasza zrosił pot. Mdłości podchodziły mu aż do krtani, a ból w skroniach pulsował coraz mocniej i szybciej.

— Poproszę o trochę wody mineralnej — rozkazał doktor kelnerowi, dostrzegając bladość twarzy Porwasza i pot na jego czole.

— Miałem w życiu dużo kobiet... — zaczął znowu Porwasz.

Doktor mu przerwał:

— Niezwykle fascynującym zjawiskiem, panie kolego, bywa sprawa interseksualizmu. Dopóki kobieta nosi sukienkę i ma na sobie rajtuzy, wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Jeszcze jest lepiej, kiedy nosi spodnie i ma krótko ucięte włosy, bo wówczas i rozczarowanie u mężczyzny bywa mniejsze. Ale przecież zawsze należy brać pod uwagę możliwość spotkania damy z anomaliami chromosomów płciowych oraz nabytymi zaburzeniami płciowymi, osoby, u której nastąpiło odwrócenie płci psychicznej albo takiej, u której pod wpływem heteroseksualnej czynności gonad lub nadnerczy wystąpiły już po urodzeniu wtórne cechy płciowe właściwe dla płci przeciwnej. Cóż można wiedzieć o damach siedzących w barze kawowym na wysokich stołkach, jeśli tylko zerka się na nie dyskretnie i z ukosa? Może któraś z nich kryje w sobie zarówno pewną ilość tkanki jajnikowej, jak i tkanki jądrowej? Zawsze bowiem w takich przypadkach, to jest w obojnactwie rzekomym płeć gonadalna nie jest zgodna z płcią genitalną. Tak więc, jeśli zechce pan na chwilę podejść do którejś z tych dam, niech pan ma na uwadze owe przewrotne gonady drogi przyjacielu.

Kelner przyniósł butelkę wody mineralnej i malarz Porwasz chciwie wypił jedną szklankę, a potem nalał sobie drugą. Uczucie mdłości minęło na chwilę, ale ból w skroniach nie ustępował.

Doktor zaś ciągnął dalej:

— Nie chcę panu obrzydzać życia, wspominając o zjawisku, które zwie się „wirylizmem", bo jak sama nazwa wskazuje, określenie to pochodzi od słowa „vir", czyli mąż, mężczyzna, małżonek. Lecz wirylizm dotyczy kobiet. Nie każda kobieta, panie Porwasz, która chlubi się wspaniałym owłosieniem, jak już o tym mówiliśmy, budzi entuzjazm i radość lekarza. Znamy bowiem zjawisko zwane „hypertrichiosis", które świadczy o niewłaściwych procesach gruczołów wydzielania wewnętrznego. Nie każdy też mężczyzna, panie Porwasz, który chlubi się wspaniałym owłosieniem na piersiach, na plecach i na wielu innych częściach ciała jest zaraz nadmężczyzną. Ba, może okazać się, że w ogóle mężczyzną nie jest albo bywa nim rzadko.

Spostrzegł malarz Porwasz, że wzrok doktora kieruje się ku jego piersiom i czarnej koszuli, gdzie w miejscu, w którym malarz nie zapiął guzików, dumnie puszyły się pukle jego męskiego owłosienia. I pośpiesznie, jak gdyby wstydliwie, zapiął Porwasz guziki u swej koszuli.

— O, niech się pan nie martwi swymi włosami na piersiach, panie kolego — stwierdził pojednawczo doktor. — Wprawdzie nadmierne owłosienie, jak już zaznaczyłem, związane jest z pracą gruczołów wydzielania wewnętrznego, ale, jak do tej pory, nie udało się lekarzom stwierdzić najistotniejszych przyczyn tego zjawiska. Czy zresztą jest pan rzeczywiście nadmiernie owłosiony? Prawdziwe powody do niepokoju mielibyśmy wówczas, gdyby w ogóle nie miał pan włosów.

Znowu ogarnęły malarza mdłości. Nabrał w usta potężny haust powietrza, aby je powstrzymać.

A doktor skończył jedzenie i zapalił papierosa. Uśmiechnął się pogodnie do Porwasza i przymrużywszy porozumiewawczo prawe oko, zapytał go:

— No, niech pan mówi prawdę. Która z tych dam w barze kawowym bardziej się panu podoba?

— Ta młodsza — wyszeptał Porwasz.

— Tam, do licha — zdumiał się doktor. — Sądziłem, że jako artysta szuka pan w kobiecie przede wszystkim piękna.

— Jest szczupła i wysoka. Ma długie nogi..

— A pański zmysł estetyczny? — zapytał doktor. — Czy piękno kobiety nie wynika także ze wspaniałych i właściwych proporcji całego ciała? Ostatnimi czasy ciągle czytam w powieściach zachwyty autorów nad pięknem długonogich kobiet. Czy tym autorom nic nie wiadomo o tym, że u prawidłowo zbudowanej kobiety rozpiętość ramion powinna równać się wzrostowi ciała, a wymiar podłużny górnej części ciała powinien być taki sam, jak wymiar dolnej części ciała? Innymi słowy, jeśli kobieta ma bardzo długie nogi, a tym samym zazwyczaj nieco krótszy tułów, to jest po prostu źle zbudowana. Taką kobietą może cieszyć oko jakiegoś tam powieściopisarza, ale nie artysty lekarza i chyba także rzeźbiarza.

— Ta dziewczyna nie jest piękna? — zaniepokoił się Porwasz.

— Ona nie może być piękna, ponieważ jest źle zbudowana — stwierdził doktor. — Zapomniał pan już o tym, czego uczono pana w Akademii Sztuk Pięknych, podobnie jak mnie uczono w Akademii Medycznej. U prawidłowo czyli pięknie zbudowanej kobiety wymiar dwukrętarzowy bywa tylko o 5 centymetrów mniejszy od wymiaru dwuramiennego, natomiast u mężczyzny jest on mniejszy o 10 centymetrów. Mówiąc po prostu: kobieta powinna mieć o 5 centymetrów mniej w biodrach niż w ramionach, mężczyzna zaś o 10 centymetrów. Jeśli kobieta wygląda podobnie jak ta oto dziewczyna, jest w biodrach węższa niż w ramionach tak na oko przynajmniej o 11 centymetrów, to należy stwierdzić, że posiada męską budowę ciała. Wspomniałem panu, że wzrost kobiety zależy od ilości produkowanych w organizmie estrogenów czyli żeńskich hormonów. Tedy pytam pana: czy naprawdę chciałby pan iść do łóżka z kobietą zbudowaną jak mężczyzna i do tego nie produkującą w odpowiednich ilościach hormonu żeńskiego.

— Ależ, doktorze... — jęknął malarz.

— Tu nie ma żadnego „ależ", panie kolego — oświadczył stanowczo Niegłowicz. — Proszę zwrócić uwagę, że dziewczyna, która panu wpadła w oko, ma, jak słusznie to pan dostrzegł, niezwykle długie nogi i stosunkowo krótki tułów. Nadmiernie długie są jej ręce. A trzeba pamiętać, że gdy dolny wymiar ciała kobiety większy bywa niż górny, a rozpiętość ramion, czyli ich zasięg, jest większa niż wzrost ciała, wtedy mówimy, że taka osoba ma budowę eunochoidalną. Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć, że ta panienka jest jakimś kobiecym eunuchem, ale jeśli się weźmie pod uwagę, że tak mało produkowała hormonów żeńskich...

— Dość! Dość! — wrzasnął Porwasz.

Ból w skroniach stał się nie do zniesienia. Porwasz, nawet nie zapłaciwszy rachunku, poderwał się od stolika i prawie słaniając się na nogach przebiegł bar, wspiął się po schodach, wcisnął klucz w zamek w drzwiach swego pokoju i jak nieżywy upadł na tapczan.

Doktor Niegłowicz ze zdumieniem pokręcił głową. Potem przywołał kelnera, zapłacił rachunek za obiad swój i Porwasza, a następnie, wytarłszy starannie usta serwetką, powstał od stolika i posuwistym krokiem ruszył do obydwu kobiet. Zanim jednak zasiadł obok nich na wysokim stołku, szarmancko skłonił się starszej i młodszej — i rzekł:

— Jestem doktor Jan Krystian Niegłowicz ze Skiroławek. Czy panie pozwolą, że w ich towarzystwie wypiję filiżankę czarnej kawy?

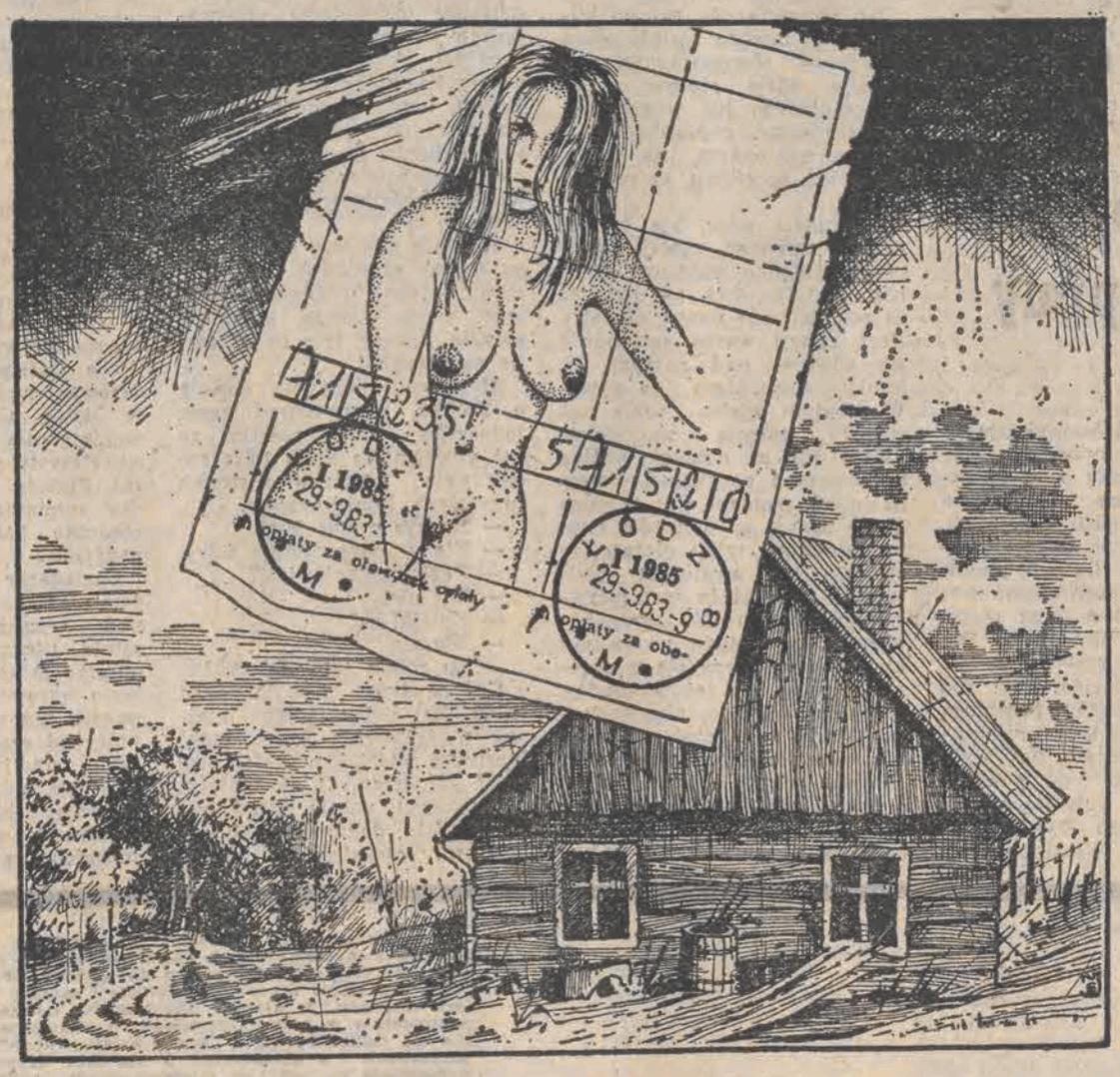

Rys. Janusz Szymański-Glanc